

AGATHA CHRISTIE

DWANAŚCIE PRAC HERKULESA

**TLUMACZYŁA GRAŻYNA JESIONEK
TYTUŁ ORYGINAŁU THE LABOURS OF
HERCULES**

SCAN-dal

WPROWADZENIE

Mieszkanie Herkulesa Poirot było w wystroju z gruntu nowoczesne. Lśniło chromem. Nawet fotele, choć wygodnie wyściełane, miały kanciaste, zdecydowane kształty. W takim to właśnie fotelu - jak zawsze pedantycznie, na samym środku - zasiadał Herkules Poirot. Naprzeciw niego, również w fotelu, siedział doktor Burton, członek najszacowniejszych towarzystw, z uznaniem pociągając Château Mouton Rothschild z piwniczki Poirota. Doktor był zażywny, rozczochrany, a spod strzechy jego białych włosów promieniało rumiane, dobrotliwe oblicze. Miał zwyczaj chichotać donośnie, acz nieco astmatycznie, oraz obsypywać siebie i wszystko dookoła popiołem z papierosów. Na próżno Poirot obstawiał go popielniczkami.

Doktor Burton zadawał właśnie pytanie:

- Dlaczego akurat Herkules? - mówił. - Skąd się to wzięło?

- Chodzi ci o imię, które nadano mi na chrzcie?

- Nie ma w nim nic chrześcijańskiego - zaprotestował doktor. - Jest pogańskie, zdecydowanie pogańskie. Ale skąd się wzięło? Kaprys ojca? Widzimiś się matki? Względy rodzinne? Jeśli dobrze pamiętam - choć pamięć już u mnie nie ta, co kiedyś - miałeś brata imieniem Achilles, dobrze mówię?

Poirot przebiegł w myślach szczegóły kariery Achillesa Poirot. Czy to wszystko naprawdę miało miejsce?

- Przez bardzo krótki okres - odparł. Doktor Burton taktownie zmienił temat. - Ludzie powinni ostrożniej wybierać dzieciom imiona - oświadczył po namyśle. - Sam mam wnuki, to wiem. Jedna jest Blanche - a ciemna jak Cyganka! Dalej Deirdre, smutna Deirdre, która okazała się wesoła jak ptaszek. Co do małej Patience, to na dobrą sprawę powinna się nazywać Impatience!* A Diana... hm, Diana... - stary znawca literatury klasycznej wzruszył ramionami. - Waży osiemdziesiąt kilogramów, a ma dopiero piętnaście lat! Mówią, że to szczenięca otyłość, ale wcale mi na to nie wygląda. Diana! Chcieli jej dać Helena, ale tu już wtrąciłem swoje trzy grosze. Wiedząc, jak wyglądają jej rodzice! Czy jej babka, jeśli już o tym mowa!

Namawiałem usilnie na Martę, Dorcas, na coś rozsądnego, ale gdzie tam... szkoda było słów. Rodzice to dziwni ludzie...

Zaczął lekko posapywać, a na jego małej, puciołowatej twarzy wystąpiły zmarszczki.

Poirot spojrział na niego pytająco.

- Wyobraziłem sobie następującą sytuację: twoja matka siedzi sobie z nieboszczką panią Holmes, szyją śpioszki lub stukają drutami i recytują - "Achilles, Herkules, Sherlock, Mycroft..."

Poirot nie podzielał rozbawienia przyjaciela.

- Jeżeli dobrze zrozumiałem, chodzi ci o to, że wyglądem nie przypominam Herkulesa?

Doktor Burton obrzucił wzrokiem Herkulesa Poirot, małą schludną postać odzianą w sztuczkowe spodnie, nienaganny czarny żakiet i starannie zawiązany krawat, i przesunęły się z lakierków na jajowatą głowę i olbrzymie wąsy, które były ozdobą górnej wargi.

- Jeśli już mam być szczery, to nie, Poirot! - wyznał doktor Burton. - Jak rozumiem - dorzucił po chwili - nigdy nie miałeś czasu zapoznać się z klasyką?

- To prawda.

- Szkoda. Wielka szkoda. Dużo straciłeś! Gdyby to ode mnie zależało, każdy

powinien studiować klasykę.

Poirot wzruszył ramionami.

- Eh bien, i bez niej radziłem sobie wcale nieźle.

- Radziłeś sobie! Radziłeś! Nie w tym rzecz, żeby sobie radzić. Cóż za mylny punkt widzenia! Klasyka to nie drabina prowadząca do szybkiego sukcesu, jak te obecne kursy korespondencyjne! Nie jest ważne to, co dzieje się w godzinach pracy, istotny jest czas wolny. Wszyscy popełniamy ten sam błąd. Weźmy ciebie - starzejesz się, będziesz chciał rzucić pracę, zwolnić tempo... i co wtedy poczniesz z wolnym czasem?

Poirot miał odpowiedź pod ręką.

- Zamierzam zająć się - nie żartuję! - uprawą dyń.

Doktor Burton na chwilę zaniemówił.

- Uprawą dyń? Co masz na myśli? Te wielkie, rozdęte paskudztwa, które smakują jak woda?

- O! - podchwycił Poirot z entuzjazmem. - Właśnie w tym rzecz. One nie muszą smakować jak woda.

- Uhm, wiem... posypuje się je serem, siekaną cebulą albo polewa białym sosem,

- Nie, nie, mylisz się. Ja zamierzam poprawić smak samej dyni. Można z niej wydobyć - przytknąć oczy - bukiet...

- Bój się Boga, człowieku, przecież dynia to nie claret! - Słowo "bukiet" przypomniało doktorowi o kieliszku. Pociągnął z niego, delektując się trunkiem. - Bardzo dobre to wino. Mocne. Uhm. -- Pokiwał głową z uznaniem. - Ale z tymi dyniami... chyba nie mówisz tego poważnie? Czyżbyś miał zamiar się schylać?! - zakrzyknął przerażony, ze współczuciem obejmując swój wydatny brzusek.

- Schylać się, okopywać te rośliny, karmić je wełną moczona w wodzie i tak dalej?

- Odnoszę wrażenie, że jesteś całkiem dobrze obeznany z uprawą dyń - zauważył Poirot.

- Widziałem to na wsi. Ale poważnie, Poirot, cóż to za rozrywka? Porównaj to tylko - jego głos przeszedł w pochwalny pomruk - z fotelem przed kominkiem w długim, niskim pokoju o ścianach wyłożonych książkami... to musi być długi pokój, nie kwadratowy. Dookoła same książki. Kieliszek porto... i otwarta książka w dłoni. Czas biegnie wstecz, gdy czytasz... Tu zaczął powoli skandować po grecku, a potem: przetłumaczył: I znów zręcznością swoją na morzu ciemnym jak wino sternik prostuje chyży statek miotany wiatrami. Naturalnie, niepodobna oddać w pełni ducha oryginału.

Opanowany entuzjazmem, na chwilę zapomniał o Poirocie. Ten zaś, obserwując swojego gościa, poczuł nagle zwątpienie... niemiłe wyrzuty sumienia. Czyżby oto coś stracił? Bogactwo ducha? Ogarnął go smutek. Tak, powinien był zapoznać się z klasyką... przed laty... niestety, teraz już na to za późno...

Doktor Burton przerwał jego melancholijną zadumę.

- Czy mam rozumieć, że naprawdę chcesz się wycofać z zawodu?

- Tak.

Doktor Burton zachichotał.

- Nie zrobisz tego!

- Ależ zapewniam cię...

- Nie uda ci się to, mój stary. Za bardzo lubisz swoją pracę.

- Nic, wierz mi... czynię wszystko w tym kierunku. Jeszcze tylko kilka spraw... ale specjalnie wybranych, rozumiesz, a nic to, co mi się nawinie pod rękę... wyłącznie problemy, które będą miały jakiś wydźwięk osobisty.

Doktor Burton uśmiechnął się szeroko.

- Tak to jest. Jeszcze tylko jedna czy dwie sprawy, a potem następna... i tak to leci.

Ostatni występ prima-donny w porównaniu z twoim będzie niczym, Poirot!
Zachichotał i bez pośpiechu wstał z fotela - przemęły, siwowłosey chochlik.
- To, co robisz, to nie są prace Herkulesa - powiedział. - To prace miłości. Przekonasz się, że mam rację. Idę o zakład, że za dwanaście miesięcy wciąż będziesz tutaj, a dynie - wzruszył ramionami - wciąż będą tylko dyniami.

I żegnając się z gospodarzem, doktor Burton opuścił surowy w wystroju pokój.
Odszedł on już z tych kart, by na nie więcej nic wrócić. Nas jednak zajmuje tylko to, co po sobie zostawił - pomysł.

Po wyjściu gościa Herkules Poirot usiadł bowiem niespiesznie w fotelu, niczym pogrążony we śnie, i mruknął:

- Prace Hrkulesa... Mais oni, c'est une idee, ça...*

Następny dzień zasiał Herkulesa Poirot ślęczącego nad ogromnym, oprawnym w cielecą skórę tomiskiem oraz kilkoma innymi, cieńszymi książkami. Od czasu do czasu Poirot spoglądał z udreką na liczne, zapisane na maszynie karteluski.

Jego sekretarka, panna Lemon, została wydelegowana w celu zebrania materiałów na temat Herkulesa i przedłożenia mu ich do rąk własnych.

Bez cienia zainteresowania (ona nie z tych, co pytają: "dlaczego"), za to nadzwyczaj sprawnie, panna Lemon wywiązywała się z zadania.

Herkules Poirot zatopił się w oszalamiającym morzu wiedzy klasycznej, związanej przede wszystkim z "Herkulesem, sławnym herosem, który po śmierci wszedł do grona bogów i któremu oddawano należną im cześć". Jak dotąd nie najgorzej - dalej jednak przestało mu iść jak po maśle. Przez dwie godziny Poirot czytał pilnie, robiąc notatki i marszcząc brwi, porównywał je z literaturą fachową. W końcu rozparł się w fotelu i potrząsnął głową. Jego nastrój z poprzedniego wieczoru prysł bezpowrotnie. Co za ludzie!

Weźcie takiego Herkulesa... tego bohatera! Bohatera, a to dobre! Przecież to tylko wielki, muskularny osiłek o śladowej inteligencji i zbrodniczych skłonnościach! Poirotowi przyszedł na myśl niejaki Adolf Durand, rzeźnik, którego proces odbył się w Londynie w 1895 roku. Był to osobnik o sile niedźwiedzia, który zabił kilkoro dzieci. Podstawową linią obrony była epilepsja, na którą Durand niewątpliwie chorował, chociaż roztrząsanie kwestii, czy była to padaczka petit mal, czy grand mal, zajęło kilka dni. Starożytny Herkules bezsprzecznie cierpiał na grand mal. Poirot potrząsnął głową. No, jeżeli tak wyglądał grecki ideał bohatera, to w warunkach współczesnych nie miał szans. Poirot był wstrząśnięty klasycznymi ideałami. Ci bogowie i boginie... mieli chyba nic mniej różnych wcieleń niż współcześni zbrodniarze. Zresztą faktycznie sprawiają wrażenie osobników o wyraźnie zbrodniczych skłonnościach. Pijaństwo, rozpusta, kazirodztwo, gwałty, szabrownictwo, morderstwa i szykany - starczyłoby tego, żeby juge d'instruction* miał pełne ręce roboty. Brak normalnego życia rodzinnego, brak ładu, brak metody. Brak ładu i metody nawet w zbrodniach! Też mi Herkules! -- parsknął Herkules Poirot, z rozwianymi złudzeniami wstając z fotela.

Rozejrzał się dookoła z aprobatą. Kwadratowy pokój z solidnymi kwadratowymi meblami o nowoczesnej linii... nawet jedna rzeźba nowoczesna, przedstawiająca kostkę na kostce, na niej zaś kompozycję z drutu miedzianego. A w środku tego lśniącego, uporządkowanego pokoju - on! Przejrzał się w lustrze. Oto współczesny Herkules, jakże odmienny od tego niesmacznego wizerunku nagiego osobnika z przerostem mięśni, wywijającego maczugą. Ot, mała, zwarta postać, tak bardzo na miejscu, w wielkomijskim ubraniu i z wąsem - wąsem o zapuszczeniu jakiego antyczny Herkules nie mógłby nawet marzyć, wąsem wspaniałym, a zarazem wyszukany.

A jednak między Herkulesem Poirot a Herkulesem starożytnym istniało pewne

podobieństwo - i jeden, i drugi miał bez wątpienia znaczny udział w uwalnianiu świata od chwastów... I jednego, i drugiego można by nazwać dobroczyńcą społeczności, w której przyszło mu żyć...

Jak to powiedział doktor Burton przed wyjściem? "To, co robisz, to nie są prace Herkulesa..."

Ha, i tu się pomylił, stary piernik! Jeszcze raz należy wykonać dwanaście prac Herkulesa... współczesnego Herkulesa. Dowcipny concept, a i zabawny! Zanim wycofa się ostatecznie, podejmie się dwunastu spraw, ni mniej, ni więcej. Powinny to być sprawy wybrane specjalnie pod kątem związku z dwunastoma pracami starożytnego Herkulesa. Tak, to będzie nie tylko zabawne... będzie to dzieło natchnione, ba - artystyczne.

Poirot sięgnął po Encyklopedię starożytności i ponownie zagłębił się w wiedzy klasycznej. Nie zamierzał zbyt wiernie naśladować swojego pierwowzoru. Obejdzie się bez kobiet, koszul Dejaniry... prace i tylko prace.

A zatem, pierwszą jego pracą powinien być lew z Nemei.

- Lew z Nemei - powtórzył, obracając słowa w ustach.

Naturalnie, nic spodziewał się, że będzie zmuszony stanąć oko w oko z lwem z krwi i kości. Gdyby dyrekcja jakiegoś ogrodu zoologicznego zwróciła się do niego w sprawie związanej z prawdziwym lwem, uznałby to za przesadny zbieg okoliczności. Nie, tu trzeba odwołać się do symboliki. Pierwsza sprawa powinna mieć związek z jakąś powszechnie znaną osobistością, musi być sensacyjna, a także wagi najwyższej! Jakiś przestępca doskonały... albo przeciwnie, ktoś, kto w świadomości społecznej uchodzi za lwa. Głośny pisarz, polityk lub malarz... może nawet członek jakiejś rodziny panującej?

Ktoś z rodziny królewskiej... Spodobala mu się ta myśl...

Nie będzie się spieszył. Zaczeka... zaczeka na tę nader ważną sprawę, która zapoczątkuje serię jego dobrowolnych prac.

LEW Z NEMEI

I

- Jest coś ciekawego, panno Lemon? - zapytał rankiem następnego dnia od progu gabinetu.

Miał pełne zaufanie do panny Lemon. Brakowało jej wyobraźni, ale miała intuicję. Wszystko, co uznała za godne uwagi, zwykle okazywało się interesujące. Była urodzoną sekretarką.

- Niewiele, panie Poirot. Tylko jeden list, który, jak sądzę, może pana zainteresować. Położyłam go na samym wierzchu.

- Cóż to za list? - Z zaciekawieniem postąpił krok w przód'.

- Od człowieka, który chce, żeby zajął się pan zniknięciem pekińczyka jego żony.

Poirot zatrzymał się z nogą w powietrzu i rzucił pannie Lemon spojrzenie pełne gorzkiego wyrzutu. Nie zauważyła tego, zajęta pisaniem na maszynie. Pisała z szybkością i precyzją szybkostrzelnego czołgu.

Poirot był wstrząśnięty; wstrząśnięty i rozgoryczony. Panna Lemon, niedościgniona panna Lemon zawiodła go! Pekińczyk. Pe-kiń-czyk! I to po tym, co mu się śniło tej nocy. Kiedy służący przyniósł mu poranną czekoladę, Poirot wychodził właśnie z pałacu Buckingham, gdzie osobiście odbierał wyrazy podziękowania!

Słowa cisnęły mu się na usta - słowa zgryźliwe, uszczypliwe. Nie wypowiedział ich jednak, wiedząc, że panna Lemon i tak nic nie usłyszy poprzez błyskawiczny stukot maszyny.

Chrząknął z niesmakiem i sięgnął po list, leżący na wierzchu stosu z boku jego biurka.

Tak, dokładnie tak, jak mówiła panna Lemon. Adres ze śródmieścia i zwięzłe, suche, niezbyt wyszukane żądanie. Temat - porwanie pekińczyka. Jednego z tych spasionych stworzeń o wylupiastych oczach, pieszczoszków bogatych dam. Czytając list, Herkules Poirot wykrzywił usta.

Nic znalazł nic niezwykłego. Nic nieszablonowego, czy... ależ tak, tak, panna Lemon miała jednak rację. Istotnie, jeden szczegół był raczej niezwykły.

Herkules Poirot usiadł. Przeczytał list powoli i dokładnie. Nie takiej sprawy oczekiwał, nie taką sprawę sobie przyrzekł. Nie była to sprawa ważna w żadnym tego słowa znaczeniu, przeciwnie - błaha w najwyższym stopniu. Nie nadawała się - i w tym tkwiło sedno jego zastrzeżeń - na pracę Herkulesa.

Pech chciał, że dręczyła go ciekawość...

O tak, był ciekawy...

Podniósł głos, by panna Lemon mogła dosłyszeć go przez stukot maszyny.

- Niech pani zadzwoni do tego sir Josepha Hoggina - polecił - i umówi mnie z nim na spotkanie w jego biurze, tak jak proponuje.

Jak zwykle, panna Lemon miała rację.

Jestem prostym człowiekiem, panie Poirot oświadczył sir Joseph Hoggin.

Herkules Poirot wykonał prawą ręką dyplomatyczny gest, wyrażający (jak kto woli) podziw dla niezaprzeczalnej wartości kariery sir Josepha lub uznanie dla jego skromności, ale równie dobrze można go było traktować jako pełen wdzięku przejaw odmiennego zdania. W każdym razie gest ten w niczym nie zdradzał prawdziwych uczuć Poirota, który rozmyślał właśnie o tym, że sir Joseph rzeczywiście jest człowiekiem nadzwyczaj prostym (w potocznym tego słowa znaczeniu). Oczy Herkulesa Poirot spoczęły krytycznie na wydatnych szczękach, małych świńskich oczkach, bulwiastym nosie i zaciśniętych wargach. Ogólny obraz przypominał mu coś lub kogoś, ale chwilowo nie mógł sobie tego uprzytomnić. Coś niejasno drgnęło mu w pamięci. Przed laty... w Belgii... z całą pewnością miało to związek z mydłem...

- Ja tam nie stroję żadnych lochów - ciągnął sir Joseph. - Nie owijam w bawełnę.

Większość ludzi, panie Poirot, machnęłaby na to ręką. Spisała na straty jak przedawniony dług i zapomniała o tym. Ale to nie w stylu Josepha Hoggina. Jestem bogaty i, że tak się wyrażę, dwieście funtów w te czy wewte to dla mnie nie różnica...

- Gratuluję - wtrącił żywo Poirot.

- He?

Sir Joseph przerwał na chwilę. Jego małe oczka zwięzły się jeszcze bardziej.

- Nie znaczy to, że mam zwyczaj wyrzucać pieniądze w błoto - rzekł ostro. - Jak wymagam, to płacę. Ale płacę cenę rynkową... ani grosza więcej.

- Zdaje pan sobie sprawę, że moje honoraria są wysokie? - powiedział Poirot.

- Tak, naturalnie. Ale ta sprawa - sir Joseph zerknął na niego chytrze - to przecież bagatelka.

Herkules Poirot wzruszył ramionami.

- Ja się nie targuję - oświadczył. - Jestem ekspertem. A usługi eksperta kosztują.

- Wiem, że w tych sprawach jest pan pierwsza klasa - wyznał szczerze sir Joseph. -

Popytałem tu i tam i dowiedziałem się, że jest pan najlepszym z najlepszych.

Zamierzam dotrzeć do sedna tej historii i grosza nie poskapię. Właśnie dlatego pana tu wezwałem.

- Ma pan szczęście - rzekł Herkules Poirot.

- He? - powtórzył sir Joseph.

- Wyjątkowe szczęście - dorzucił Poirot z naciskiem.

- Osiągnąłem, mogę to powiedzieć bez fałszywej skromności, szczyt kariery. Wkrótce zamierzam się wycofać... zamieszkać na wsi, od czasu do czasu podróżować i

zwiedzać świat, a także, być może, zająć się uprawą ogródka... zwłaszcza uszlachetnianiem odmian dyni. To wspaniałe warzywa, tyle że bez smaku. Ale nie w tym rzecz. Chciałem tylko wyjaśnić, że przed wycofaniem się z zawodu muszę jeszcze wykonać pewne zadanie, które sobie narzuciłem. Postanowiłem podjąć się dwunastu spraw, ni mniej, ni więcej. Dobrowolnych "dwunastu prac Herkulesa", jeśli można to tak określić. Pańska sprawa, sir Joseph, będzie jedną z nich. Zafrapowało mnie to, że jest zupełnie niepoważna.

- Poważna? - wtrącił sir Joseph.

- Niepoważna - powiedziałem. Zwracano się do mnie w różnych sprawach - morderstw, tajemniczych zgonów, rozbojów, kradzieży biżuterii... 'Po raz pierwszy jednak mam spożytkować mój talent do wyświeatlenia porwania pekińczyka.

Sir Joseph chrząknął.

- Zdziwiał mnie pan! - oświadczył. - Sądziłem, że nie może pan opędzić się od kobiet nagabujących pana w sprawie zaginionych psów.

- Słusznie. Ale to jest pierwszy wypadek, kiedy w takiej sprawie zwraca się do mnie mężczyzna!

Małe oczka sir Josepha zwięziły się z uznaniem.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego mi pana polecono. Bystry z pana jegomość, panie Poirot.

- Może byłby pan łaskaw podać mi teraz takty - mruknął detektyw. - Pies zniknął... Kiedy?

- Dokładnie tydzień temu.

- Domyślam się, że pańska żona przez cały ten czas szaleje?

Sir Joseph wytrzeszczył oczy.

- Nic pan nie rozumie. Psa zwrócono.

- Zwrócono? A zatem, wybaczy pan, że pytam, do czego jestem panu potrzebny?

Twarz sir Josepha spurpurowiała.

- Bo niech mnie diabli, jeżeli dam się oszwindlować! No, panie Poirot, opowiem to panu po kolei. Psa skradziono tydzień temu... ktoś go buchnął w Kensington Gardens, gdzie dama do towarzystwa mojej żony zabrała go na spacer. Następnego dnia żona dostała list, w którym żądano dwustu funtów. Dwieście funtów, dobre sobie! Za takiego ujadającego zwierzaka, który w dodatku wiecznie włazi pod nogi!

- Naturalnie, odmówił pan zapłacenia takiej sumy - mruknął Poirot.

- Oczywiście... a raczej odmówiłbym, gdybym cokolwiek o tym wiedział! Milly - moja żona - doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Nic mi nie powiedziała. Po prostu wysłała pieniądze - w jednofuntowych banknotach, tak jak żądano - pod podany adres.

- I psa zwrócono?

- Tak. Wieczorem rozległ się dzwonek do drzwi i to bydłatko siedziało na schodach. Poza tym nie było widać żywego ducha.

- Doskonale. Proszę dalej.

- Oczywiście, Milly przyznała się wtedy do tego, co zrobiła, a mnie trochę poniosło.

No, ale po chwili ochłonałem... co się stało, to się stało, a trudno oczekiwać od kobiety, żeby postępowała zgodnie ze zdrowym rozsądkiem. I pewnie machnąłbym na to ręką, gdybym nie spotkał w klubie starego Samuelsona.

- Tak?

- Do diaska, przecież to jawna granda! Jego spotkało dokładnie to samo. Naciągnęli jego żonę na trzysta funtów! No, tego już było za wiele. Uznałem, że trzeba położyć temu kres i posłałem po pana.

- Czy nie sądzi pan, sir Joseph, że właściwym (i znacznie oszczędniejszym) krokiem byłoby zawiadomienie policji?

Sir Joseph potarł nos.

- Czy jest pan żonaty, panie Poirot? - zapytał.

- Niestety, ominęło mnie to szczęście.

- Hmm - mruknął sir Joscph. - Nie wiem, jak to z tym szczęściem, ale gdyby pan był żonaty, to by pan wiedział, że kobiety to śmieszne istoty. Na pierwszą wzmiankę o policji moja żona dostała ataku hysterii... wbiła sobie do głowy, że gdybym się do nich zwrócił, to coś mogłoby się przydarzyć jej bezcennemu Shan Tungowi. Nawet nie chciała o tym słyszeć... prawdę mówiąc, na pomysł zwrócenia się do pana także zareagowała niezbyt przychylnie. Tyle, że tu już nie ustąpiłem i wreszcie zgodziła się. Ale powtarzam - wcale jej się to nie podoba.

- Rozumiem, że sytuacja jest delikatna - mruknął Poirot. - Czy nie byłoby wskazane, żebym sam porozmawiał z pańską małżonką i uzyskał dalsze informacje, a jednocześnie uspokoił ją co do bezpiecznej przyszłości jej psa?

Sir Joseph skinął głową i wstał.

- Zawiozę pana moim samochodem.

II

W wielkim, gorącym i zagraconym salonie siedziały dwie kobiety.

Kiedy sir Joseph wprowadził Herkulesa Poirot, mały pekińczyk rzucił się ku nim, szczekając zawzięcie i niebezpiecznie krążąc wokół nóg detektywa.

- Shan... Shan, wracaj. Wracaj do mamy, skarbie... Panno Carnaby, niech go pani złapie.

Druga kobieta pośpiesznie zerwała się z miejsca.

- Istny lew - mruknął Herkules Poirot.

- Tak, rzeczywiście - przyznała bez tchu pogromczyni Shan Tunga. - To taki dobry stróż. Nikogo i niczego się nic boi. Moje śliczne maleństwo.

Dokonawszy niezbędnej prezentacji, sir Joseph oświadczył:

- No, panie Poirot, to ja już pana zostawiam - po czym szybko skinął głową i opuścił salon.

Lady Hoggin - korpulentna kobieta o farbowanych na rudą włosach - sprawiała wrażenie osoby wielce drażliwej. Jej dama do towarzystwa, rozedrgana panna Carnaby, była pulchną osóbką o miłej powierzchowności, między czterdziestką a pięćdziesiątką. Odnosiła się do lady Hoggin z najgłębszym szacunkiem i najwyraźniej bała się jej panicznie.

- Proszę mi podać, lady Hoggin, wszystkie okoliczności tej ohydnej zbrodni - zagaił Poirot.

Lady Hoggin splonęła rumieńcem.

- Bardzo mnie cieszy, że pan to mówi, panie Poirot. To rzeczywiście była zbrodnia. Pekińczyki są tak strasznie wrażliwe... wrażliwe jak dzieci. Biedny Shan Tung mógł umrzeć już z samego strachu.

- Tak, to było niegodziwe... niegodziwe! - wtrąciła bez tchu panna Carnaby. - Proszę mi podać fakty.

- No więc to było tak: panna Carnaby wyszła z Shan Tungiem do parku na spacer...

- O mój Boże, tak, wszystko to moja wina - zakwilila dama do towarzystwa. - Jak mogłam być tak głupia... tak niedbała...

- Nie chcę pani robić wymówek, panno Carnaby, ale uważam, że mogła pani zachować większą czujność - oświadczyła cierpko lady Hoggin.

Poirot przeniósł wzrok na damę do towarzystwa.

- I co się tam wydarzyło?

Panna Carnaby potoczyła i z lekkim podnieceniem zaczęła zdawać relacje:

- O, to było coś zupełnie niezwykłego! - wybuchnęła. - Przechodziliśmy koło kwietnika - Shan Tung był oczywiście na smyczy, już wcześniej pohasał po trawie - i właśnie kiedy miałam zawrócić do domu, moją uwagę przykuło dziecko w wózku... takie śliczne maleństwo... Uśmiechało się do mnie, miało takie śliczne różowitkie policzki i takie loczki. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie spytać piastunki o jego wiek... ona na to, że siedemnaście miesięcy... i jestem pewna, że rozmawiałam z nią najwyżej minutę czy dwie, a potem spojrzałam nagle w dół i Shana już nie było. Smycz przecięto...

- Nikomu nic udałooby się podkraść i przeciąć smyczy, gdyby pani należycie wypełniała swoje obowiązki - wtrąciła lady Hoggin.

Wyglądało na to, że panna Carnaby w każdej chwili gotowa jest wybuchnąć płaczem.

- I co było dalej? - zapytał pośpiesznie Poirot.

- Naturalnie, szukałam go. Wszędzie. I wołałam! Pytałam też dozorcę, czy nie widział kogoś niosącego pekińczyka, ale on nikogo takiego nie zauważył... więc nie wiedziałam, co robić... dalej go szukałam, ale w końcu musiałam oczywiście wrócić do domu...

Panna Carnaby urwała raptownie. Poirot wyobrażał sobie doskonale, co działo się po jej powrocie.

- A potem dostała pani list? - zapytał. Opowieść podjęła lady Hoggin:

- Nazajutrz, poranną pocztą. W tym liście pisano, że jeżeli chcę jeszcze ujrzeć Shan Tunga żywego, mam wysłać dwieście funtów w banknotach jednofuntowych na nazwisko kapitana Curtisa, Bloomsbury Road Square numer trzydzieści osiem. Pisano, że jeżeli pieniądze będą znaczone albo jeżeli zawiadomimy policję, t... to odetną Shan Tungowi uszy i ogon!

Panna Carnaby zaczęła pochlipywać.

- Cóż za okropność! - wybąkała. - Jak ludzie mogą być tacy podli?!

- I było tam napisane - ciągnęła lady Hoggin - że jeżeli natychmiast wyślę pieniądze, to Shan Tung wróci do mnie zdrów i cały jeszcze tego samego dnia, ale jeżeli... jeżeli później zawiadomię policję, to Shan Tung za to zapłaci...

- O Boże, tak się boję, że nawet teraz... oczywiście pan Poirot nie jest właściwie z policji... - wymamrotała przez łzy panna Carnaby.

- Widzi pan więc, panie Poirot, że musi pan być nadzwyczaj ostrożny - powiedziała lady Hoggin z niepokojem.

Herkules Poirot czym prędzej rozproszył jej obawy.

- Ależ ja nie jestem policjantem. Będę prowadził dochodzenie wyjątkowo dyskretnie i bez rozgłosu. Zapewniam panią, lady Hoggin, że Shan Tungowi absolutnie nic nie grozi. Gwarantuję to pani.

Wyglądało na to, że owo magiczne słowo uspokoiło obie kobiety. - Czy ma pani jeszcze ten list? - ciągnął Poirot. Lady Hoggin potrząsnęła głową.

- Nie. Kazano mi dołączyć go do pieniędzy.

- I pani usłuchała?

- Tak.

- Hm, a to szkoda.

- Ale ja mam smycz - wtrąciła żywo panna Carnaby. - Mam ją przynieść?

Kiedy wyszła z salonu, Herkules Poirot skorzystał z jej nieobecności, by zadać kilka istotnych pytań.

- Amy Carnaby? Nie, nie podejrzewam jej. Jest poczciwa, chociaż, rzecz jasna, głupia. Miałam kilka dam do towarzystwa i wszystkie były beznadziejnie głupie. Ale Amy jest bardzo przywiązana do Shan Tunga i - co zrozumiałe - była strasznie zmartwiona całą tą historią, tym że marudziła nad wózkiem, zaniedbując moje słodkie maleństwo! Te stare panny są wszystkie takie same, zwariowane na punkcie dzieci!

Nie, jestem pewna, że ona nic miała z tym nic wspólnego.

- Rzeczywiście, to mało prawdopodobne - przyznał Poirot. - Ale skoro w chwili porwania pies znajdował się pod jej opieką, należy upewnić się co do jej uczciwości. Od dawna u pani pracuje?

- Prawie rok. Miała doskonałe referencje. Pracowała u starej lady Hartingfield aż do jej śmierci... zdaje się, że dziesięć lat. Później przez pewien czas zajmowała się kaleką siostrą. To naprawdę poczciwa dusza... ale, jak mówiłam, głupia jak but.

W tej samej chwili Amy Carnaby wróciła do salonu jeszcze bardziej zadyszana, niosąc smycz, którą niezwykle uroczyście wręczyła Poirotowi, spoglądając na niego z pełnym nadziei wyczekiwaniem.

Poirot z uwagą obejrzał smycz.

- Mais oni - bąknął. - Niewątpliwie została przecięta.

Obie kobiety nadal czekały z nadzieją.

- Zatrzymam ją.

Uroczyście schował smycz do kieszeni. Obie kobiety odetchnęły z ulgą. Herkules Poirot najwyraźniej zachował się tak, jak tego po nim oczekiwano.

III

Poleganie na nie sprawdzonych informacjach nic leżało w naturze Herkulesa Poirot. Mimo iż wydawało się nieprawdopodobne, by panna Carnaby była kim innym niż niezbyt rozcigniętą kobietą, na jaką wyglądała, Poirot postarał się o rozmowę z nieco odpychającą damą, siostrzenicą świętej pamięci lady Hartingfield.

- Amy Carnaby? - powiedziała panna Maltravers. - Oczywiście, pamiętani ją doskonale. Poczciwa z niej dusza, służyła u ciotki Julii aż do jej śmierci. Uwielbiała psy i była niezrównana w czytaniu na głos. No i taktowna, nigdy się nie sprzeczała z kaleką. Co się z nią stało? Mam nadzieję, że nie wpadła w żadne tarapaty? Mniej więcej rok temu dałam jej referencje dla jakiejś kobiety... zdaje się, że jej nazwisko zaczynało się na "H"...

Poirot pośpieszył z wyjaśnieniem, że panna Carnaby nadal pracuje tam, gdzie przedtem. Wyniknęły, powiedział drobne kłopoty w związku z zaginięciem psa.

- Amy Carnaby kocha psy. Moja ciotka miała pekińczyka. Zostawiła go przed śmiercią pannie Carnaby, która była do niego bardzo przywiązana. Kiedy zdechł, zupełnie się załamała. O tak, to poczciwa dusza, choć oczywiście nie jest intelektualistką.

Herkules Poirot zgodził się, że pannę Carnaby trudno byłoby uznać za intelektualistkę.

Następnym jego krokiem było odszukanie dozorca parku, z którym panna Carnaby rozmawiała owego fatalnego dnia. Nic sprawiło mu to większych trudności. Dozorca pamiętał całe zdarzenie.

- Kobieta w średnim wieku, tęgawa, mocno zdenerwowana. Zgubiła pekińczyka. Znam ją dobrze z widzenia, przychodzi z psem prawie co wieczór. Widziałem, jak wchodziła do parku. Nieźle ją wzięło, jak go zgubiła. Przybiegła do mnie, dowiedzieć się, czy nie widziałem kogoś z pekińczykiem! No sam pan powiedz! W parku jest pełno psów, różnych - terierów, pekińczyków, buldogów niemieckich... nawet tych chartów rosyjskich... jakie chceć. I jak tu odróżnić jednego pekińczyka od drugiego? Herkules Poirot w zamyśleniu pokiwał głową.

Pojechał do Bloomsbury Road Square pod numer 38.

Domy oznaczone numerami 38, 39 i 40 połączono w pensjonat prywatny "Balaclava". Poirot wszedł po schodkach i otworzył drzwi. Przywitał go półmrok i zapach gotowanej kapusty, zmieszany ze wspomnieniami po śledziach ze śniadania. Po lewej

stronie ujrzał mahoniowy stół, na którym stała smętna chryzantema w doniczce. Nad stołem wisiała obita suknom tablica, do której przypinano listy. Przez pewien czas wpatrywał się w nią z namysłem, a następnie otworzył drzwi po prawej stronie, prowadzące do czegoś w rodzaju świetlicy, wyposażonej w kilka stolików i tak zwanych foteli, obitych kretonem w przygnębiający wzorek. Towarzystwo złożone z trzech leciwych dam i starszego pana o zapalczym wyglądzie uniosło głowy, spoglądając na intruza za śmiertelnym jadem w oczach. Herkules Poirot zarumienił się i wycofał.

Ruszył w głąb korytarza i dotarł do schodów. Po prawej stronie odgałęzienie korytarza prowadziło do sali, która ewidentnie spełniała rolę jadalni.

Nieco dalej znajdowały się drzwi z napisem: "Biuro".

Poirot zapukał do nich. Nie słysząc odpowiedzi, otworzył je i zajrzał do środka. W pokoju stało olbrzymie biurko, ale nikogo nie było widać. Detektyw wycofał się, zamykając za sobą drzwi. Wrócił do jadalni.

Krzątała się tam smutna dziewczyna z koszykiem sztućców, które układała na stołach.

- Przepraszam panią, czy mógłbym się widzieć z kierowniczką? - zapytał pokornie Herkules Poirot.

Dziewczyna spojrzała na niego mętym wzrokiem.

- A tego to ja nie wiem.

- W biurze nikogo nie ma - rzekł detektyw.

- A tego to ja nie wiem, gdzie ona jest.

- Być może udałoby się pani dowiedzieć - nalegał Poirot cierpliwie.

Dziewczyna westchnęła. Nowe zadanie, którym ją obarczono, dodatkowo upokorzyło jej i tak już ponure życie.

- Zobaczę, co się da zrobić - odparła ze smutkiem. Poirot podziękował jej i znowu wycofał się na korytarz, nie mając odwagi stanąć twarzą w twarz z wrogimi spojrzeniami ludzi w świetlicy. Przyglądał się właśnie krytej suknom tablicy na listy, kiedy szelest i silny zapach fiołków obwieściły przybycie kierowniczkii.

Panią Harte przepełniała wylewność.

- Najmocniej przepraszam, że nie było mnie w biurze - wykrzyknęła. - Życzy pan sobie pokój?

- Niezupełnie - mruknął Poirot. - Ciekaw jestem, czy nie bawił tu ostatnio pewien mój przyjaciel. Niejaki kapitan Curtis.

- Curtis! - krzyknęła pani Harte. - Kapitan Curtis? Gdzież ja słyszałam to nazwisko?

Potrząsnęła głową z irytacją, widząc, że Poirot nie zamierza przyjść jej z pomocą.

- A więc nie mieszkał u pani żaden kapitan Curtis? - zapytał detektyw.

- Nie, przynajmniej ostatnimi czasy. Ale wie pan, że to nazwisko jest mi dziwnie znajome. Czy mógłby pan opisać swojego przyjaciela?

- Byłoby to dość trudne - bąknął Poirot. - Zdarza się, jak sędzę, że przychodzą tu listy do osób, które faktycznie nie mieszkają w pensjonacie?

- Oczywiście, bywa i tak.

- Co pani robi z takimi listami?

- No cóż, trzymamy je przez jakiś czas. Widzi pan, zazwyczaj oznacza to, że adresat wkrótce się pojawi. Naturalnie, listy i paczki, których przez dłuższy czas nikt nie odbiera, zwracamy na pocztę.

Herkules Poirot w zamyśleniu pokiwał głową.

- Rozumiem - powiedział. - Chodzi o to, że wysłałem list do mojego przyjaciela właśnie na ten adres.

Pani Harte rozpromieniła się.

To wszystko tłumaczy. Widocznie zauważyłam jego nazwisko na kopercie. Ale gości u nas tyłu wojskowych, na stałe lub przelotnie, że doprawdy... Jedną chwilkę...

Spojrzała na tablicę.

- Tutaj nie ma tego listu - rzekł detektyw.

- Prawdopodobnie zwrócono go listonoszowi. Tak mi przykro. Mam nadzieję, że nie było w nim nic ważnego?

- Nie, nic ważnego - uspokoił ją Poirot. Skierował się do drzwi, ścigany przez panią Harte i gryzący zapach fiołków.

- Gdyby pański przyjaciel pojawił się...

- To nader wątpliwe. Musiałem się pomylić...

- Ceny u nas są bardzo umiarkowane - oświadczyła pani Harte. - W opłatę wliczona jest także kawa po śniadaniu. Bardzo bym chciała pokazać panu kilka naszych sypialni...

Nic było to proste, lecz w końcu Herkulesowi Poirot udało się uciec.

IV

Salon pani Samuelson był obszerniejszy, umeblowany z większym przepychem i - z powodu centralnego ogrzewania - jeszcze bardziej duszny niż salon lady Hoggin. Herkules Poirot lawirował niepewnie między połączanymi konsolami i wielkimi grupami rzeźb.

Pani Samuelson była wyższa od lady Hoggin, włosy zaś miała tlenione. Jej pekińczyk wabił się Nanki Poo. Z arogancją wlepił w detektywa wylupiaście ślepią. Panna Keble, dama do towarzystwa pani Samuelson, w przeciwieństwie do pulchnej panny Carnaby była chuda i koścista, ale opowiadała równie potocześnie i bez tchu. Także i na nią zrzucono odpowiedzialność za zniknięcie psa.

- Naprawdę, panie Poirot, to było coś zdumiewającego. Stało się w mgnieniu oka. Byliśmy przed domem towarowym Harrodsa i pielęgniarka spytała mnie, która godzina...

- Pielęgniarka? - przerwał Poirot. - Taka ze szpitala? - Nie, nie... mówię o piastunce do dziecka. To było takie słodkie maleństwo! Kruszynka kochana, miała takie śliczne różowitkie policzki. Powiadają, że w Londynie dzieci wyglądają niezdrowo, ale jestem pewna...

- Ellen! - rzuciła pani Samuelson.

Panna Keble oblała się rumieńcem, zająknęła i zamilkła.

- I kiedy panna Keble pochylała się nad wózkiem, który nie powinien jej obchodzić, ten bezczelny bandyta przeciął smycz Nanki Poo i go uprowadził - rzekła cierpko pani Samuelson.

- To się stało w mgnieniu oka - wyszeptwała panna Keble przez łzy. - Obejrzałam się, a kochanego psiaka już nie było... w ręku miałam tylko przeciętą smycz. Może chce pan ją obejrzeć, panie Poirot?

- Broń Boże - zaprzeczył detektyw pośpiesznie. Nie miał zamiaru kolekcjonować przeciętych smyczy. - Rozumiem, że wkrótce otrzymała pani list?

Historia ta była wiernym powtórzeniem pierwszej kradzieży - list i groźba odcięcia Nanki Poo ogona i uszu. Od poprzedniej różniła się tylko dwoma szczegółami - wysokością okupu (trzysta funtów) i adresem, na który należało przesiać pieniądze: tym razem odbiorcą był komandor Blackleigh, hotel Harrington, Clonmel Gardens 76, Kensington.

- Kiedy Nanki Poo wrócił bezpiecznie do domu, osobiście udałam się pod ten adres, panie Poirot - ciągnęła pani Samuelson. - Ostatecznie trzysta funtów piechotą nie chodzi.

- Z pewnością.

- Pierwszą rzeczą, jaką tam ujrzałam, był mój list z pieniędzmi nad czymś w rodzaju

tablicy w korytarzu. Czekaając na właścicielkę hotelu, schowałam go do kieszeni. Niestety...

- Niestety, kiedy go pani otworzyła, znalazła pani tylko czyste kartki - dopowiedział Poirot.

- Skąd pan to wie? - Pani Samuelson spojrzała na niego z przestraszeniem. Poirot wzruszył ramionami.

- To oczywiście, chere madame, że złodziej postarał się odebrać pieniądze, zanim oddał psa. Następnie w miejsce banknotów włożył czyste kartki i z powrotem przypiął list do tablicy, żeby nikt nie zwrócił uwagi na zniknięcie koperty.

- Żaden komandor Blackleigh nigdy tam nie mieszkał.

Poirot uśmiechnął się.

- Mój mąż był oczywiście niezwykle zdenerwowany całą tą historią. Właściwie to był wściekły... dosłownie wściekły!

- Pani, hm... nie zasięgnęła jego opinii przed wystaniem pieniędzy? - mruknął ostrożnie detektyw.

- Oczywiście, że nie - potwierdziła zdecydowanie pani Samuelson.

Poirot rzucił jej nieme pytanie.

- Wołałam nie ryzykować - wyjaśniła. - Kiedy chodzi o pieniądze, mężczyźni są tacy nieobliczalni. Jacob uparłby się, żeby zawiadomić policję. Nie mogłam do tego dopuścić. Mój biedny Nanki Poo, mogło mu się przydarzyć wszystko co najgorsze! Później, naturalnie, powiedziałam o tym mężowi, ponieważ musiałam wyjaśnić, dlaczego przekroczyłam stan konta.

- Właśnie, ano właśnie - mruknął Poirot.

- I niech mi pan wierzy, że nigdy dotąd nie widziałam go tak rozgniewanego.

Mężczyźni - oświadczyła pani Samuelson, poprawiając gustowną bransoletę z brylantami i obracając pierścionki na palcach - myślą tylko i wyłącznie o pieniądzu. Herkules Poirot wysiadł z windy i wszedł do biura sir Josepha Hoggina. Okazał swoją wizytówkę i dowiedział się, że sir Joseph jest właśnie zajęty, lecz wkrótce go przyjmie. Wreszcie z gabinetu sir Josepha wypłynęła wyniosła blondynka z rękami pełnymi dokumentów, która w przelocie posłała osobliwemu człowiekowi lekceważące spojrzenie.

Sir Joseph siedział przy olbrzymim mahoniowym biurku. Na podbródku miał ślady szminki.

- No co tam, panie Poirot? Niech pan siada. Ma pan dla mnie jakieś wiadomości?

- Cała ta sprawa jest ujmująco prosta - stwierdził detektyw. - W każdym wypadku pieniądze przekazywano na adres jednego z tych prywatnych hotelików czy pensjonatów, gdzie nie ma portierów i gdzie stale kręcą się goście, wśród których zdecydowanie przeważają emerytowani wojskowi. Nic prostszego, jak wejść do środka, wziąć list z tablicy i albo zabrać go ze sobą, albo wyjąć pieniądze, a w ich miejsce podłożyć czyste kartki. Tak czy owak. tutaj trop się urywa.

- Chce pan powiedzieć, że nie wie pan, czyja to sprawka?

- Mam pewne koncepcje. Sprawdzenie ich zajmie mi kilka dni.

Sir Joseph spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Dobra robota. No, to jak będzie pan miał dla mnie coś konkretnego...

- Zgłoszę się do pana do domu.

- Jeżeli dotrze pan do sedna tej historii, będzie to kawał solidnej roboty.

- Porażka nic wchodzi w rachubę - oświadczył detektyw. - Herkules Poirot nigdy nie przegrywa.

Sir Joseph spojrzał na małego człowieczka z rozbawieniem.

- Nie brak panu pewności siebie, co?

- Mam po temu wszelkie powody.

- Ba! - sir Joseph rozparł się na krześle. - Jak mówi przysłowie: krowa, która ryczy, mało mleka daje.

VI

Herkules Poirot, siedząc przed grzejnikiem elektrycznym (z którego uporządkowanej, geometrycznej formy czerpał poczucie błogiego zadowolenia) wydawał polecenia swojemu służącemu i totumfackiemu.

- Zrozumiałeś, Gorges?

- Tak, proszę pana.

- Najprawdopodobniej jest to mieszkanie albo niewielki domek. Z całą pewnością na ściśle ograniczonym terenie. Na południe od parku, na wschód od kościoła Kensington, na zachód od Knightsbridge Barracks i na północ od Fuhlam Road.

- Rozumiem doskonale.

- To ciekawy przypadek - mruknął Poirot. - Mamy tu dowody wybitnego talentu organizatorskiego. Dochodzi do tego, naturalnie, zadziwiająca niewidzialność gwiazdy programu... samego lwa z Nemei, jeśli wolno mi go tak nazwać. Tak, to interesująca sprawa. Mógłbym wprawdzie paść większą sympatią do mojego klienta... tak się jednak nieszczęśliwie składa, że nieodparcie przypomina mi on pewnego fabrykanta mydła z Liege, który otrul żonę, żeby poślubić swoją sekretarkę... blondynkę, nawiasem mówiąc. Jego przypadek był jednym z moich pierwszych sukcesów.

Georges potrząsnął głową.

- Te blondynki, proszę pana, one sprowadzają niemało kłopotów - obwieścił grobowym głosem.

VII

Trzy dni później nieoceniony Georges oświadczył:

- A oto ten adres, proszę pana.

Herkules Poirot wziął od niego kartkę.

- Znakomicie, mój drogi. A dzień tygodnia?

- Czwartki, proszę pana.

- Czwartki. Tak się szczęśliwie składa, że dziś akurat mamy czwartek. A więc nie należy zwlekać.

Dwadzieścia minut później Herkules Poirot wchodził po schodach ponurego bloku mieszkalnego, ukrytego na bocznej uliczce, odchodzącej od nieco bardziej reprezentacyjnej arterii. Mieszkanie numer 10 w Rosholm Mansions znajdowało się na trzecim i ostatnim piętrze. Windy nic było. Poirot mozolnie wspinał się po wąskich, spiralnych schodach.

Kiedy zatrzymał się na ostatnim podeście, aby nieco odsapnąć, ciszę przerwał nowy dźwięk, dolatujący zza drzwi mieszkania numer dziesięć - przenikliwe szczekanie psa.

Herkules Poirot pokiwał głową z uśmiechem i nacisnął dzwonek.

Szczekanie spotęgowało się, rozległy się czyjeś kroki, otworzyły się drzwi...

Panna Amy Carnaby cofnęła się, a jej dłoń spoczęła na wydatnym biuście.

Pozwoli pani, że wejdem? - zapytał Herkules i wszedł, nie czekając na odpowiedź.

Po prawej stronie zobaczył otwarte drzwi do pokoju. Skierował się tam, mając za sobą pannę Carnaby, która poruszała się niczym lunatyczka.

Był to mały, zagracony pokoik. W gąszczu mebli można było dostrzec niemłodą kobietę, leżącą na sofie przysuniętej do piecyka gazowego. Kiedy Poirot stanął w

drzwiach, z sofy zeskoczył pekińczyk i podbiegł do detektywa, obszczekując go podejrzliwie.

- Oho! Nasz gwiazdor! - rzekł Poirot. - Witam, mój mały przyjacielu.

Pochylił się, wyciągając rękę. Pies obwąchał ją, inteligentnym wzrokiem przyglądając się twarzy człowieka.

- A więc pan wie? - wyszeptała słabym głosem panna Carnaby.

Herkules Poirot pokiwał głową.

- Tak, wiem. - Spojrzał na leżącą na sofie kobietę.

- Przypuszczam, że to pani siostra?

- Tak - potwierdziła panna Carnaby machinalnie.

- Emily, to... to pan Poirot.

Emily Carnaby szybko wciągnęła powietrze.

- Och! - jęknęła.

- August... - rzekła Amy Carnaby.

Pekińczyk spojrział na nią, pomachał ogonem i wrócił do obwąchiwania ręki detektywa, wciąż merdając wesoło.

Poirot delikatnie podniósł psiaka, usiadł i położył sobie Augusta na kolanach.

- A więc pojąłem lwa z Nemci. Pierwsze zadanie wykonane.

- Czy pan naprawdę wie wszystko? - zapytała Amy Carnaby napiętym, suchym głosem.

Poirot skinął głową.

- W zupełności się z panią zgadzam - rzekł Poirot, kłaniając się lekko. - Jako przestępczyni, mademoiselle, jest pani nadzwyczajna.

- Przestępczyni! - krzyknęła Amy Carnaby. - Mój Boże, rzeczywiście chyba tak. Ale... ale ja nigdy tego tak nie odczuwałam.

- A jak?

- Oczywiście, ma pan rację. To było łamanie prawa. Ale widzi pan... jak mam to wyjaśnić? Prawie wszystkie kobiety, które nas zatrudniają, są takie grubiańskie i niemile. Na przykład lady Hoggin zupełnie nie zwraca uwagi na to, co i jak do mnie mówi. Kiedyś na przykład powiedziała, że jej lekarstwo ma nieprzyjemny smak i praktycznie oskarżyła mnie o to, że coś przy nim majstrowałam i tak dalej... - Panna Carnaby zarumieniła się. - To naprawdę bardzo nieprzyjemne. A jeszcze bardziej doskwiera to, że nie można nic powiedzieć, odgryźć się, jeśli pan mnie rozumie.

- Rozumiem - rzekł Herkules Poirot.

- A widok tego marnotrawienia pieniędzy... jakie to denerwujące. Taki sir Joseph, on nam czasami opowiadał, jakie to zrobił interesy... często wyglądało mi na to (choć wiem, że jestem tylko kobietą i nie znam się na finansach), że to było z gruntu nieuczciwe! I wie pan, panie Poirot, wszystko to... wszystko to mnie rozstroiło i poczułam, że odebranie części pieniędzy tym ludziom, którzy naprawdę tego nie odczują i którzy zdobywali je bez żadnych skrupułów... no naprawdę nie widziałam w tym nic złego.

- Współczesny Robin Hood! - mruknął Poirot. - Panno Carnaby, proszę mi powiedzieć, czy kiedykolwiek wcieliła pani w czyn te groźby, którymi straszyla pani w listach?

- Groźby?

- Czy kiedykolwiek była pani zmuszona okaleczyć jakieś zwierzę tak, jak to pani opisywała?

Panna Carnaby spoglądała na niego z przerażeniem.

- Ależ nigdy by mi się nawet nie śniło zrobić coś podobnego! To był tylko... efekt artystyczny.

- Bardzo artystyczny. Skutkował.

- No oczywiście, wiedziałam, że poskutkuje. Wiem, jak sama bym się czuła, gdyby to chodziło o Augusta, i naturalnie musiałam zadbać o to, żeby te kobiety nie powiedziały niczego swoim mężom, dopiero po wszystkim. Mój plan skutkowało za każdym razem. W dziewięciu wypadkach na dziesięć wysłanie listu z pieniędzmi zlecano damie do towarzystwa. Zwykle otwieraliśmy list nad parą, wyjmowałyśmy banknoty i na ich miejsce wkładaliśmy czyste kartki. Raz czy dwa właścicielka psa osobiście wysłała list. Wtedy, oczywiście, któraś z nas sama musiała pójść do -hotelu i zabrać list z tablicy. Ale to też było proste.

- A ten numer z piastunką? Zawsze z tego korzystałyście?

- Widzi pan, panie Poirot, stare panny znane są z tego, że mają głupi sentyment do dzieci. Wydawało się więc całkiem naturalne, że ujrzawszy dziecko, zapomną o bożym świecie.

Herkules Poirot westchnął.

- Jest pani wybitną znawczynią psychologii, organizatorką pierwszej klasy, a do tego wyśmienitą aktorką. Pani przedstawienie podczas odwiedzin u lady Hoggin było nienaganne. Niech pani nigdy nie myśli o sobie z lekceważeniem, panno Carnaby. Możliwe, że jest pani kobietą, jak to mówią, niewykwalifikowaną, ale intelektu i odwagi pani nie brakuje.

- A jednak zostałam złapana, panie Poirot - odparła panna Carnaby z bladym uśmiechem. - Przeze mnie. To było nieuchronne! W trakcie rozmowy z panią Samuelson zdałem sobie sprawę, że porwanie Shan Tunga było jednym z całej serii takich wypadków. Wiedziałem już wtedy, że kiedyś otrzymała pani w prezencie pekińczyka i że ma pani kalekę siostrę. Musiałem tylko polecić mojemu nieocenionemu służącemu, żeby rozejrzał się w najbliższej okolicy za mieszkaniem zajmowanym przez kalekę kobietę, która ma pekińczyka i siostrę, odwiedzającą ją co tydzień, kiedy ma wychodne. To było proste.

Amy Carnaby wyprostowała się.

- Taki pan jest uprzejmy, że ośmielę się prosić pana o przysługę. Wiem, że nie uniknę kary za to, co zrobiłam. Prawdopodobnie pójdę do więzienia. Ale gdyby mógł pan coś zrobić, żeby obyło się bez rozgłosu. Inaczej Emily się załamie... i ci, którzy nas znają z dawnych lat. Czy nie mogłabym pójść do więzienia pod fałszywym nazwiskiem? A może nie wypada o to prosić?

- Myślę, że będę mógł zrobić dla pani więcej. Ale najpierw jedno muszę postawić jasno. Ten proceder musi się skończyć. Koniec z porywaniem psów. Raz na zawsze!

- Ależ tak! Tak!

- A pieniądze, które wyłudziła pani od lady Hoggin, musi pani zwrócić.

Amy Carnaby przeszła przez pokój, otworzyła szufladę biurka i wróciła z paczką banknotów, którą podała Poirotowi.

- Właśnie dzisiaj miałam je wpłacić do wspólnej puli.

Detektyw przeliczył pieniądze. Powstał.

- Sądzę, panno Carnaby, że uda mi się przekonać sir Josepha, żeby nie oddawał sprawy do sądu.

- Och, panie Poirot!

Amy Carnaby zacisnęła dłonie. Emily krzyknęła z radości. August zaszczekał i zamerdał ogonem.

- Co do ciebie, mon ami - rzekł Poirot, zwracając się do pekińczyka - to chciałbym dostać od ciebie jedno. Twój niewidzialny płaszcz. We wszystkich tych przypadkach nikt ani przez chwilę nie podejrzewał, że w grę wchodzi drugi pies. Lwia skóra Augusta jest niewidzialna.

- Legenda mówi, panie Poirot, że pekińczyki były kiedyś lwami. Do tej pory zachowały lwie serce!

- Przypuszczam, że August to ten pies, którego dostała pani od lady Hartingfield, a który rzekomo umarł? Nie bała się pani, że może wpaść pod samochód?
- Ależ nie, panie Poirot, August świetnie potrafi sam chodzić po ulicach. Wytresowałam go bardzo starannie. Zrozumiał nawet zasady ruchu na ulicach jednokierunkowych.
- W takim razie - oświadczył Herkules Poirot - jest mądrzejszy od większości ludzi!

VIII

Sir Joseph przyjął Herkulesa Poirot w gabinecie.

- I co, panie Poirot? - zapytał. - Ma pan się czym pochwalić?
- Pozwoli pan, że najpierw o coś spytam - odrzekł detektyw, sadowiac się w fotelu. - Wiem, kto jest przestępcą, i sądzę, że mógłbym dostarczyć wystarczających dowodów do skazania tej osoby. Wątpię jednak, żeby w takim wypadku odzyskał pan pieniądze.
- Nie odzyskałbym własnych pieniędzy?

Sir Joseph spurpurowiał.

- Ja jednak nie jestem policjantem - ciągnął Herkules Poirot. - W tej sprawie działam wyłącznie w pańskim interesie. Myślę, że mógłbym odzyskać pańskie pieniądze, pod warunkiem, że nie będzie pan wszczynał dalszych kroków.

- He? - bąknął sir Joseph. - Trzeba by nad tym pomyśleć.
- Decyzja należy do pana. Szczerze mówiąc, sądzę, że w interesie publicznym powinien pan oddać sprawę do sądu. Większość ludzi byłaby tego zdania.
- A, na pewno - zareplikował ostro sir Joseph.
- W końcu to nie ich pieniądze diabli by wzięli. Jednego nie znoszę, żeby mnie ktoś okradał. Jeszcze nikt nigdy nie okradł mnie bezkarnie.

- Cóż więc pan postanowił?

- Wybieram forszę! Nikt nie powie, że dałem się naciąć na dwieście funtów!

Herkules Poirot wstał, podszedł do stolika i wypisał czek na dwieście funtów, który wręczył rozmówcy.

- Niech skonom! - rzekł sir Joseph słabym głosem.

- Któż to jest, do diabła?

Poirot potrząsnął głową.

- Jeżeli decyduje się pan na pieniądze, nie wolno panu o nic pytać.

Sir Joseph złożył czek i schował go do kieszeni.

- Szkoda. Ale grunt to forsa. Ile jestem panu winien, panie Poirot?

- Moje honorarium nie będzie wysokie. Jak posiedziałem, to była zupełnie niepoważna sprawa.

Przerwał. - Ostatnio zajmuję się niemal wyłącznie morderstwami... Sir Joseph wzdrygnął się.

- To pewnie ciekawe? - bąknął.

- Czasami. Dziwnym trafem przypomina mi pan jedną z pierwszych spraw, które prowadziłem jeszcze w Belgii... protagonista był nadzwyczaj podobny do pana. Był to bogaty fabrykant mydła. Otruł żonę, żeby poślubić swoją sekretarkę... Tak, podobieństwo doprawdy niezwykle...

Z ust sir Josepha wydarł się cichy dźwięk: wargi mu zsiniały, rumieńce odpłynęły z policzków, oczy wyszły z orbit. Osunąwszy się w fotelu, wpatrywał się w detektywa. Po chwili drżącą ręką sięgnął do kieszeni. Wyciągnął czek i podarł go na strzępy.

- Było, nie ma. Niech pan to potraktuje jako swoje honorarium.

- Ależ, sir Joseph, moje honorarium nie byłoby aż tak wysokie.

- Nie ma o czym mówić. To dla pana.

- Wyślę ten czek na jakiś cel dobroczynny.

- Niech go pan sobie wysyła, gdzie się panu żywnie podoba.
- Poirot pochylił się w fotelu.
- Nie muszę panu chyba tłumaczyć, sir Joseph, że w pańskiej sytuacji powinien pan zachować daleko idącą ostrożność.
- Może pan być spokojny - odparł sir Joseph ledwie dosłyszalnym szeptem. - Będę ostrożny.
- Herkules Poirot wyszedł.
- A jednak - mruknął pod nosem, schodząc po schodkach na ulicę. - Nie myliłem się.

IX

- Dziwne, to lekarstwo smakuje zupełnie inaczej - oznajmiła lady Hoggin mężowi. - Wcale już nie jest gorzkie. Ciekawe dlaczego?
- Same brakoroby, ci aptekarze - warknął sir Joseph.
- Za każdym razem wszystko robią inaczej.
- Chyba masz racje - przyznała lady Hoggin powątpiewająco.
- Oczywiście. Potrafisz znaleźć inny powód?
- Czy ten człowiek dowiedział się już czegoś w sprawie Shan Tunga?
- Tak. Odzyskał moje pieniądze.
- Kto go porwał?
- Tego nie powiedział. Małomówny gość, ten Poirot. Ale nie musisz się już więcej martwić.
- Zabawny z niego człowieczek, nie sądzisz?
- Sir Joseph zdrzął lekko i zerknął spod oka w górę, jak gdyby poczuł nad prawym ramieniem obecność niewidzialnego Herkulesa Poirot. Miał wrażenie, że nigdy się już od tego uczucia nie uwolni.
- To kawał spryciarza! - odparł, w duchu zaś pomyślał sobie: "Greta może się wypchać! Dla żadnej platynowej blondynki nie będę ryzykował własną głową!"

X

- Och!
- Amy Carnaby z niedowierzaniem oglądała czek na dwieście funtów.
- Emily! Emily, posłuchaj tylko!
- Szanowna panno Carnaby, niech mi będzie wolno przekazać cegiełkę na Pani jakże godny wsparcia fundusz, zanim zostanie ostatecznie zamknięty. Z wyrazami głębokiego szacunku
- Herkules Poirot.
- Miałaś niewiarygodne szczęście, Amy - powiedziała Emily Carnaby. - Pomyśl tylko, gdzie mogłabyś teraz być.
- W Wormwood Scrubbs... a może w Holloway? - mruknęła jej siostra. - Ale to już koniec... prawda, Augustcie? Nie będziemy już więcej zabierali do parku przyjaciółek mamusi i nożyczek.
- Jej oczy zaszyły mgiełką. Westchnęła z rozrzewnieniem.
- Kochany August! A jednak to szkoda. Jest taki mądry... Można go nauczyć dosłownie wszystkiego...

HYDRA LERNEJSKA

I

Herkules Poirot spoglądał na siedzącego przed nim mężczyznę wzrokiem pełnym

otuchy.

Doktor Charles Oldfield miał około czterdziestu lat, jasne lekko posiwiałe na skroniach włosy i niebieskie oczy, z których przebijało zatroskanie. Siedział przygarbiony i jakby trochę speszony. Wszystko wskazywało na to, że trudno mu jest przystąpić do rzeczy.

- Przyszedłem do pana, panie Poirot, z nieco dziwną prośbą - odezwał się w końcu, zacinając się lekko. - Teraz jednak, kiedy już "tu jestem, mam ochotę wycofać się. Nareszcie widzę wyraźnie, że w sprawie takiej jak ta nikt nic nie jest w stanie zrobić.

- Pozwoli pan, że o tym ja zadecyduję - mruknął Poirot.

- Sam nie wiem, dlaczego zdawało mi się... - bąknął Oldfield i zamilkł.

- Że będę w stanie panu pomóc? - dokończył za niego Poirot. - Eh bien, zobaczymy.

Niech mi pan opowie o swoich kłopotach.

Lekarz wyprostował się. Poirota znowu uderzył mizerny wygląd jego rozmówcy.

- Widzi pan, nie ma najmniejszego sensu zwracać się z tym do policji - rzekł Oldfield.

W jego głowie brzmiała nuta rozpacz. - Oni nic nie poradzą. A tymczasem... z dnia na dzień jest coraz gorzej. Ja... ja już sam nie wiem, co robić...

- Z czym jest coraz gorzej?

- Z plotkami... No więc, panie Poirot, to całkiem proste. Nieco ponad rok temu zmarła moja żona. Ostatnie kilka lat spędziła przykuta do łóżka. I mówią, oni wszyscy mówią, że to ja ją zabiłem... że ją otruję!

- Hm... - mruknął Poirot. - A otruił ją pan?

- Panie Poirot! - Doktor Oldfield zerwał się na nogi.

- Proszę się uspokoić i usiąść - rzekł detektyw. - A zatem przyjmujemy, że nie otruił pan żony. Ale że, jak mi się zdaje, praktykuje pan na prowincji...

- Właśnie. W Market Loughborough, w Berkshire. Zdawałem sobie sprawę, że w takich miasteczkach ludzie plotkują, ale nie wyobrażałem sobie, że jest to możliwe aż na taką skalę. - Przynal się z krzesłem do detektywa. - Panie Poirot, nie ma pan pojęcia, co ja ostatnio przeżyłem. Z początku nie bardzo wiedziałem, co się dzieje.

Zauważyłem, że ludzie odnoszą się do mnie mniej przyjaźnie, że starają się mnie unikać... ale kładłem to na karb... na karb mojej niedawnej żałoby. Później jednak stało się to jeszcze bardziej widoczne. Nawet na ulicy ludzie na mój widok przechodzą na drugą stronę. Policjanci uciekają ode mnie. Wszędzie, gdzie tylko się ruszę, mam świadomość przyciszonych głosów, wrogich oczu, które obserwują mnie, podczas gdy złośliwe języki szeptem sączą swój śmiertelny jad. Dostałem kilka listów... podłość! - Przerwał na chwilę. - I... i zupełnie już nie wiem, co począć. Nie wiem, jak z tym walczyć... z tą siecią nikczemnych kłamstw i podejrzeń. Jak można odeprzeć zarzuty, których nikt nie stawia prosto w oczy? Jestem bezsilny... osaczony... czeka mnie powolna, lecz nieuchronna zguba.

Poirot w zamyśleniu kiwał głową. - Tak' - przyznał. - Plotka to rzeczywiście hydra lernejska o dziewięciu głowach. Nie sposób jej zniszczyć, bo na miejscu jednej odciętej głowy wyrastają dwie nowe.

- Waśnie w tym rzecz - przytaknął Oldfield. - Nic nie mogę zrobić... nic! Pan jest moją ostatnią deską ratunku, ale ani przez chwilę nie łudzę się, że będzie mi pan mógł pomóc.

Przez dłuższy czas Herkules Poirot siedział w milczeniu.

- Nie jestem taki pewien - odezwał się w końcu. - Pańska sprawa mnie interesuje, doktorze. Chciałbym spróbować swych sił, przekonać się, czy uda mi się zniszczyć tego wielogłowego potwora. Na początek proszę mi powiedzieć coś więcej na temat okoliczności, które dały początek tym złośliwym plotkom. Powiedział pan, że pańska żona zmarła nieco ponad rok temu. Co było przyczyną śmierci?

- Choroba wrzodowa żołądka.

- Czy przeprowadzono autopsję?
 - Nie. Żona od lat miała kłopoty z żołądkiem. Poirot pokiwał głową.
 - A objawy zapalenia żołądka i zatrucia arsenikiem są bardzo podobne... dzisiaj już każdy o tym wie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat odnotowano przynajmniej cztery sensacyjne morderstwa, których ofiary pochowano bez cienia podejrzeń, wystawiając świadectwo zgonu z powodu zaburzeń żołądka. Czy pańska żona była młodsza od pana, czy starsza?
 - Starsza o pięć lat.
 - Jak długo byli państwo małżeństwem?
 - Piętnaście lat.
 - Czy żona zostawiła jakiś majątek
 - Tak. Była bardzo dobrze sytuowana. Zostawiła w przybliżeniu trzydzieści tysięcy funtów.
 - Sumka niczego sobie. To pan jest spadkobiercą?
 - Tak.
 - Czy był pan z żoną w dobrych stosunkach?
 - Naturalnie.
 - Żadnych awantur? Scen małżeńskich?
 - Cóż... - Charles Oldfield zawahał się. - Żonę można by zaliczyć do tak zwanych trudnych kobiet. Była schorowana i nieco przewrażliwiona na punkcie swojego zdrowia - stąd jej drażliwość. Trudno jej było dogodzić. Zdarzało się i tak, że czego bym nie zrobił, było źle.
- Poirot kiwnął głową.
- Tak, znam ten gatunek. Prawdopodobnie skarżyła się, że nikt o nią nie dba, nie docenia jej... że znudziła się już mężowi, który tylko czeka na jej śmierć.
- Wyraz twarzy Oldfielda potwierdzał trafność domysłów detektywa.
- Trafił pan w samo sedno! - stwierdził lekarz z wymuszonym uśmiechem.
 - Czy miała do pomocy pielęgniarkę? - ciągnął indagację Poirot. - Albo damę do towarzystwa? Może oddaną sobie, pokojówkę?
 - Miała pielęgniarkę, która była zarazem damą do towarzystwa. To bardzo rozsądna i fachowa kobieta. Naprawdę nie wierzę, żeby plotkowała.
 - Nawet rozsądne i fachowe kobiety le bon Dieu* wyposażył w język, z którego robią nie zawsze najmądrzejszy użytek. Nie ma wątpliwości, że ta pielęgniarka plotkowała, że plotkowała służba, że wszyscy plotkowali! Mieli pod ręką wszystko, co potrzebne do wywołania jakże przyjemnego prowincjonalnego skandalu. A teraz zadam panu jeszcze jedno pytanie. Kim jest ta kobieta?
 - Nie rozumiem - odparł doktor Oldfield, rumieniąc się z gniewu.
 - Ja myślę, że pan jednak rozumie - powiedział Poirot łagodnie. - Pytam, jak się nazywa kobieta, z którą ludzie łączą pańskie nazwisko?
- Doktor Oldfield powstał. Jego twarz była zimna, zacięta.
- W tej sprawie nie ma żadnej kobiety - oświadczył. - Przykro mi, panie Poirot, że zabrałem panu tyle czasu.
- Ruszył do drzwi.
- Ja również żałuję - rzekł detektyw. - Pańska sprawa mnie interesuje. Chciałbym panu pomóc. Nic jednak nie mogę poradzić, skoro nie znam całej prawdy.
 - Powiedziałem prawdę.
 - Nie...
- Doktor Oldfield zatrzymał się i odwrócił.
- Dlaczego upiera się pan, że jest w to zamieszana jakaś kobieta?
 - Mon cher docteur! Czy sądzi pan, że nie znam mentalności kobiet? Prowincjonalne plotki zawsze, zawsze oparte są na relacjach między obiema płciami. Jeżeli

mężczyzna otruje żonę dlatego, że chce się wybrać na Biegun Północny albo nacieszyć urokami stanu kawalerskiego, to ani przez sekundę nie wzbudzi zainteresowania otoczenia! Plotka powstaje i krąży tylko wtedy, gdy ludzie są przekonani, że mężczyzna dopuścił się morderstwa, by móc poślubić inną kobietę. To podstawy psychologii.

- Nie odpowiadam za to, co myśli kupa ciekawskich, plotkujących bab! - warknął zirytowany Oldfield.

- To oczywiście. A zatem może wróci pan, usiądzie i odpowie na pytanie, które panu przed chwilą zadałem.

Ociągając się, lekarz wrócił powoli i zajął swoje miejsce.

- Nie wykluczam, że mogli wziąć na języki pannę Moncrieffe - powiedział, rumieniąc się po same uszy. - Jean Moncrieffe to pielęgniarka, którą zatrudniam. Wspaniała dziewczyna.

- Od dawna pracuje u pana?

- Od trzech lat.

- Czy pańska żona ją lubiła?

- Eee... prawdę mówiąc, niezupełnie.

- Była zazdrosna?

- Też coś!

Poirot uśmiechnął się.

- Zazdrość żon jest przysłowiowa - oświadczył. - Coś panu jednak powiem. Wiem z doświadczenia, że zazdrość, choćby nawet najbardziej wydumana i szaleńcza, prawie zawsze znajduje oparcie w rzeczywistości. Jest takie powiedzonko, że klient ma zawsze rację, prawda? To samo tyczy się zazdrosnych mężów i żon. Oni także w zasadzie zawsze mają rację, nawet jeśli nie dysponują żadnymi konkretnymi dowodami.

- Bzdura - odparł doktor Oldfield stanowczo. - Nie powiedziałem panie Moncrieffe ani słowa, którego żona nie mogłaby, usłyszeć.

- Być może. Co jednak nie zmienia faktu, że to, co powiedziałem, to prawda. -

Herkules Poirot pochylił się. W jego głowie pojawiła się natarczywa, zniewalająca nuta. - Doktorze, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby panu pomóc. Ale musi pan być wobec mnie zupełnie szczerzy, bez względu na konwenanse czy pańskie prywatne uczucia. Czy nie jest prawdą, że żona przestała pana interesować już na długo przed śmiercią?

Przez pewien czas Oldfield nie odpowiadał. Wreszcie wyznał:

- Ta historia mnie wykończy. Ale muszę mieć nadzieję. Coś mi podpowiada, że będzie pan w stanie mi pomóc. Dlatego też będę z panem szczerzy, panie Poirot. Nie żywiłem w stosunku do żony głębokich uczuć. Myślę, że byłem dobrym mężem, ale tak naprawdę to nigdy jej nie kochałem.

- A tę dziewczynę, Jean?

Na czoło lekarza wystąpiły drobne krople potu.

- Ja... ja już dawno poprosiłbym ją o rękę, gdyby nie cały ten skandal i gadanie - wyznał.

Poirot odchylił się w fotelu.

- Nareszcie przeszliśmy do faktów! Eh bien, doktorze, podejmę się pańskiej sprawy. Ale proszę pamiętać... interesuje mnie wyłącznie prawda.

- Prawda mi nie zaszkodzi - odrzekł Oldfield z goryczą. Po chwili wahania dorzucił: - Wie pan, zastanawiałem się, czy nie wytoczyć procesu o zniesławienie! Gdybym tylko mógł przypisać komuś formalną zniewagę... wtedy z pewnością oczyściłbym się z zarzutów? Przynajmniej tak mi się czasami wydaje... A znów innym razem myślę, że to by tylko pogorszyło sytuację... nadało tej sprawie większego rozgłosu. Ludzie by

gadali: "Możliwe, że tego nie udowodniono, ale nie ma dymu bez ognia". - Spojrzał na detektywa. - Niech mi pan powie, ale szczerze, czy z tego koszmaru jest jakieś wyjście?

- Zawsze jest jakieś wyjście - oświadczył Herkules Poirot.

II

- Georges, wyjeżdżamy na wieś - oznajmił Herkules Poirot swojemu służącemu.
- Naprawdę, proszę pana? - odrzekł Georges, jak zwykle nieporuszony.
- A celem naszej wyprawy jest zgładzenie potwora o dziewięciu głowach.
- Doprawdy, proszę pana? Takiego w rodzaju potwora z Loch Ness?
- To coś jeszcze mniej namacalnego. Nie miałem na myśli istoty z krwi i kości.
- Niezupełnie rozumiem, proszę pana.
- Gdyby tak było, to nasze zadanie przedstawiałoby się prościej. Trudno o coś równie nieuchwytnego, równie trudnego do zlokalizowania, jak źródło plotki.
- Istotnie, proszę pana, to racja. Czasami trudno dociec, skąd się właściwie coś wzięło.
- Ano właśnie.

Herkules Poirot nie zatrzymał się u doktora Oldfielda, wybierając zamiast tego miejscowy zajazd. Następnego dnia po przyjeździe udał się z samego rana na pierwszą rozmowę z Jean Moncrieffe.

Powitała go wysoka dziewczyna o miedzianorudych włosach i spokojnych niebieskich oczach. Sprawiała wrażenia kogoś, kto stale ma się na baczności.

- A więc doktor Oldfield zwrócił się jednak do pana - powiedziała na wstępie. - Wiedziałam, że się nad tym zastanawia. - W jej tonie trudno było się doszukać cienia entuzjazmu.

- Pani była temu przeciwna? - spytał detektyw. Spojrzała mu prosto w oczy.
- A cóż pan może poradzić - powiedziała zimno.
- Być może znajdę jakieś wyjście z tej sytuacji - odparł Poirot spokojnie.
- Wyjście? Jakie wyjście? - rzuciła z pogardą. - Czy zamierza pan obejść po kolei wszystkie te stare baby i powiedzieć każdej: "Och, naprawdę, proszę przestać tak mówić. To tylko szkodzi biednemu doktorowi Oldfieldowi". Wie pan, co by panu odpowiedziały? "Oczywiście, ja w to ani przez chwilę nie wierzyłam!" Właśnie to jest w tym wszystkim najgorsze... żadna z nich nie powie: "Czy nie przyszło ci do głowy, kochana, że z tą śmiercią pani Oldfield to nie było całkiem tak, jak by się zdawało?" Nie, one mówią: "Ależ oczywiście, złociutka, że nie wierzę w to, co opowiadają o doktorze Oldfieldzie i jego żonie. Jestem pewna, że on nigdy by nie zrobił czegoś podobnego, chociaż prawdą jest, że troszeczkę ją zaniedbywał, i po prawdzie uważam, że nie był to mądry pomysł, zatrudniać młodą pielęgniarkę... A czy ja mówię, że między nimi coś było? Nie, jestem pewna, że tam było wszystko jak należy..." - Przerwała. Twarz miała zarumienioną, łapała powietrze szybkimi haustami.

- Wygląda na to, że jest pani doskonale zorientowana, o czym się tu mówi - powiedział Poirot.

Dziewczyna zacisnęła wargi w twardą linię. Po chwili odparła z goryczą:

- Aż za dobrze!
 - A czy pani widzi jakieś rozwiązanie?
 - Dla niego byłoby najlepiej, gdyby odstąpił swoją praktykę i przeniósł się gdzie indziej.
 - A czy nie sądzi pani, że ta historia ciągnęłaby się za nim wszędzie?
- Wzruszyła ramionami.
- Musi zaryzykować.

Poirot milczał przez pewien czas.

- Panno Moncrieffe - zapytał po chwili - czy wyjdzie pani za doktora Oldfielda?

Dziewczyna nie wykazała śladu zdziwienia tym pytaniem.

- Nie prosił mnie o rękę - odrzekła zwięźle.

- Dlaczego?

Spojrzała na detektywa swymi niebieskimi oczyma i zamrugła.

- Nie dałam mu dojść do głosu.

- Cóż to za szczęście spotkać kogoś, kto potrafi być szczerzy!

- Będę tak szczerą, jak pan tylko chce. Kiedy uświadomiłam sobie, że ludzie posądzają Charlesa o to, że pozbył się żony, by móc się ze mną ożenić, pomyślałam, że gdybyśmy się rzeczywiście pobrali, to by tylko dołało oliwy do ognia. Miałam nadzieję, że jeżeli okaże się, że między nami nie ma mowy o małżeństwie, to cały ten głupi skandal ucichnie.

- Ale nie ucichł?

- Nie.

- Czy nie wydaje się to pani dziwne?

- Oni nie mają tu wiele rozrywek - odrzekła Jean z goryczą.

- Czy chce pani wyjść za Charlesa Oldfielda? - zapytał Poirot.

- Tak, chcę - odparła dziewczyna spokojnym tonem. - Chciałam wyjść za niego niemal od chwili, kiedy go poznałam.

- Jednym słowem śmierć jego żony jest pani bardzo na rękę?

- Pani Oldfield była wyjątkowo antypatyczna. Szczerze mówiąc, jej śmierć bardzo mnie ucieszyła.

- O, tak - stwierdził detektyw. - Jest pani niewątpliwie szczerą.

Odpowiedziała mu tym samym co przedtem, pogardliwym uśmiechem.

- Mam pewną propozycję - rzekł detektyw.

- Tak?

- Trzeba tu będzie zastosować drastyczne metody. Proponuję więc, żeby ktoś - może to być pani - napisał do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

- A cóż takiego pan zamierza?

- Jestem zdania, że najlepszym sposobem na uwolnienie się od tej całej historii będzie ekshumacja zwłok i sekcja.

Cofnęła się o krok. Otworzyła usta i zamknęła je z powrotem. Poirot obserwował ją uważnie.

- A więc, mademoiselle? - zapytał po dłuższej chwili.

- Nie zgadzam się z panem - odparła Jean Moncrieffe spokojnie.

- Dlaczego? Bez wątplenia orzeczenie stwierdzające śmierć z przyczyn naturalnych uciszy wszystkie plotki.

- Tak... jeżeli zapadnie takie właśnie orzeczenie.

- Zdaje pani sobie sprawę z tego, co pani implikuje, mademoiselle?

- Wiem, co mówię - odrzekła dziewczyna niecierpliwie. Pan myśli o arszeniku... mógłby pan udowodnić, że nie została nim otruta. Są jednak inne trucizny... alkaloidy roślinne. Wątpię, żeby było możliwe wykrycie ich obecności w zwłokach po roku, nawet jeżeli kiedyś się tam znajdowały. Ja wiem, jacy są ci urzędowi laboranci. Mogą wydać wymijające orzeczenie i podać, że nie stwierdzono nic takiego, co mogło być przyczyną śmierci. Dopiero wtedy języki poszłyby w ruch!

Herkules Poirot milczał przez dłuższą chwilę. Następnie zapytał:

- Kto, zdaniem pani, jest najbardziej dokuczliwą plotkarką w miasteczku?

Dziewczyna zastanowiła się nad odpowiedzią. Po chwili stwierdziła:

- Moim zdaniem najgorszą sekutnicą jest stara panna Leatheran.

- Aha! A czy mogłaby pani przedstawić mnie jakoś pannie Leatheran... jeśli to

możliwe, przypadkowo.

- Nic łatwiejszego. O tej porze wszystkie te plotkary wychodzą na żer, niby załatwiając zakupy. Musimy tylko przejść się główną ulicą.

Jak to przewidziała Jean, zadanie nie należało do najtrudniejszych. Przed budynkiem poczty dziewczyna zatrzymała się i odezwała do wysokiej, chudej kobiety w średnim wieku, o długim nosie i bystrych, wścibskich oczkach:

- Dzień dobry, panno Leatheran.

- Dzień dobry, Jean. Piękny dziś dzień, prawda? Świdrujące oczka z wścibstwem biegały po postaci towarzysza Jean Moncrieffe.

- Pozwoli pani - rzekła Jean - to pan Herkules Poirot, który przyjechał tutaj na kilka dni.

III

Delikatnie skubiąc jęczmienny placuszek i balansując filiżanką herbaty na kolanie Herkules Poirot pozwolił sobie na pewne niedyskrecje w stosunku do gospodyni. Panna Leatheran w uprzejmości swojej zaprosiła go na herbatę i od samego początku przystąpiła do wyjaśniania, w jakim to celu przyjechał do nich ten egzotyczny mały cudzoziemiec.

Przez pewien czas detektyw zρέcznie odpierał ataki, wzmagając tylko jej apetyt.

Wreszcie, gdy uznał, że chwila już dojrzała, pochylił się w fotelu.

- Panno Leatheran, widzę, że jest pani dla mnie za sprytna! - powiedział. - Odgadła pani mój sekret. Przyjechałem tu na polecenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ale błagam - tu ściszył głos - niech pani zachowa tę informację wyłącznie dla siebie.

- Oczywiście... oczywiście - Panna Leatheran była podekscytowana i wstrząśnięta do głębi. - Ministerstwo Spraw Wewnętrznych... czy chce pan powiedzieć... chyba nie w sprawie biednej pani Oldfield?

Poirot pokiwał głową powoli.

- Aha! - W tym jednym krótkim słówku panna Leatheran zawarła całą gamę przyjemnych uczuć.

- To delikatna sprawa, rozumie pani - rzekł Poirot. - Mam się zorientować, czy istnieją dostateczne podstawy do ekshumacji.

- Chcecie odgrzebać tę biedaczkę! - wykrzyknęła panna Leatheran. - To okropne! Gdyby zamiast "to okropne" powiedziała "to wspaniałe", wówczas jej słowa lepiej odpowiadałyby brzmieniu jej głosu.

- A co pani myśli o tej sprawie, panno Leatheran?

- No... oczywiście, panie Poirot, dużo się tu o tym mówiło. Ale ja nigdy nie słucham takich rewelacji. Zawsze krąży tu mnóstwo plotek, zupełnie bezzasadnych. Bez wątplenia doktor Oldfield zachowuje się od tej pory nieco dziwnie, ale - jak to wiele razy mówiłam - nie musi to być wynikiem nieczystego sumienia. Może to tylko żal. Co nie znaczy, oczywiście, że jego pożycie z żoną układało się naprawdę dobrze. Wiem o tym... i to z pierwszej ręki. Pielęgniarka Harrison, która opiekowała się panią Oldfield przez trzy czy cztery lata, aż do jej końca, sama to potwierdziła. A wie pan, ja zawsze czułam, że siostra Harrison ma jakieś podejrzenia... nic wprawdzie na ten temat nie mówiła, ale przyzna pan, że można poznać takie rzeczy po czymś zachowaniu?

- Mamy tak mało konkretów, na których można by się oprzeć - odparł Poirot ze smutkiem.

- Tak, wiem, panie Poirot, ale jeżeli dojdzie do ekshumacji, to oczywiście wszystko się wyjaśni.

- To racja - przyznał detektyw. - Wtedy wszystko się wyjaśni.

- Oczywiście, znane są podobne wypadki - ciągnęła panna Leatheran. Jej nos drgał z przyjemnego podniecenia. - Armstrong, na przykład, i ten drugi człowiek... jakże on się nazywał?... no i Crippen, oczywiście. Zawsze byłam ciekawa, czy Ethel Le Neve była jego współniczką, czy nie. Oczywiście, Jean Moncrieffe to bardzo miła dziewczyna, na pewno... daleka jestem od twierdzenia, że to ona go do tego popchnęła... ale przecież mężczyźni zupełnie tracą głowę dla dziewcząt, czyż nie mam racji? No i, oczywiście, oni tyle czasu spędzali razem!

Poirot nie odezwał się. Spoglądał na nią niewinnym wzrokiem, mając nadzieję usłyszeć dalszy potok słów. W głębi duszy zabawiał się liczeniem, ile razy w rozmowie padło słowo "oczywiście".

- I, oczywiście, po dokonaniu sekcji zwłok i tak dalej wszystko wyszłoby na jaw, prawda? Wie pan, przepytywanie służby... Służący zawsze tyle wiedzą, prawda?; I, oczywiście, nie sposób ich powstrzymać od plotkowania. Beatrice Oldfieldów została odprawiona prawie natychmiast po pogrzebie... Zawsze uważałam, że to bardzo dziwne, zwłaszcza teraz, kiedy tak trudno o pokojówkę. Wygląda to tak, jakby doktor Oldfield obawiał się, że ona coś wie.

- Z całą pewnością wygląda na to, że istnieją dostateczne podstawy do wszczęcia śledztwa - powiedział Poirot uroczyście.

Panna Leatheran wstrząsnęła się z odrazą.

- Wzdragam się już na samą myśl o tym - powiedziała. - Nasze spokojne miasteczko na czołówkach gazet... cały ten rozgłos!

- Boi się pani tego? - spytał detektyw.

- Tak, trochę. Widzi pan, jestem starej daty.

- W dodatku, jak pani mówi, prawdopodobnie to tylko plotka.

- Noo... nie powiedziałabym tego z ręką na sercu. Widzi pan, uważam, że to takie prawdziwe... to powiedzenie, że "nie ma dymu bez ognia".

- Uważam dokładnie tak samo - rzekł Poirot. Powstał. - Czy mogę liczyć na pani dyskrecję, mademoiselle?

- Ależ oczywiście! Nikomu nie powiem ani słowa! Poirot uśmiechnął się i skierował do wyjścia.

W drzwiach zwrócił się do pokojówki, która podała mu płaszcz i kapelusz:

- Przyjechałem tu w celu wyświetlenia okoliczności śmierci pani Oldfield, ale byłbym wdzięczny, gdybyś zachowała tę wiadomość dla siebie.

Gladys, służąca panny Leatheran, omal nie przewróciła się na stojak na parasole.

- Och, proszę pana, to jednak doktor ją załatwił? - wydusiła z podnieceniem.

- Przecież myślałaś tak już od pewnego czasu, prawda?

- To nie ja, proszę pana, to Beatrice. Ona tam była, kiedy umarła pani Oldfield.

- I to ona myślała - Poirot celowo wybrał ten melodramatyczny zwrot - że miała tam miejsce jakaś nieczysta gra?

Gladys z ożywieniem pokiwała głową.

- Właśnie tak. I powiedziała, że tak samo myślała pielęgniarka, która tam wtedy była, siostra Harrison. Siostra była taka przywiązana do pani Oldfield, i taka zrozpaczona po jej śmierci, i Beatrice zawsze mówiła, że ona coś na pewno o tym wie, bo nie chce doktora widzieć na oczy, odkąd to się stało, a przecież gdyby wszystko było w porządku, to by tak nie zrobiła, nie?

- Gdzie teraz pracuje siostra Harrison?

- U starej pani Bristow... to na samym skraju miasteczka. Na pewno pan trafi. Dom ma kolumny i werandę.

Krótko potem Herkules Poirot siedział naprzeciw kobiety, która z pewnością wiedziała więcej niż ktokolwiek na temat okoliczności będących podstawą plotek. Siostra Harrison była niebrzydką jeszcze kobietą, dobiegającą czterdziestki. Miała spokojne, poważne rysy Madonny i wielkie ciemne oczy, w których malowało się współczucie. Słuchała swojego gościa cierpliwie i uważnie.

- Tak, wiem, że w miasteczku krążą te nieprzyjemne historie - przyznała. - Robiłam, co w mojej mocy, żeby temu zapobiec, ale to beznadziejna sprawa. Ludzie lubią tego rodzaju podniety, sam pan wie.

- Coś jednak musi leżeć u podstawy tych plotek? - rzekł detektyw.

Zauważył, że wyraz strapienia na jej twarzy jeszcze bardziej się pogłębił. Potrząsnęła jednak tylko głową z zakłopotaniem.

- A może państwo Oldfield nie żyli ze sobą w zgodzie i stąd się wzięły te plotki?

Siostra Harrison potrząsnęła głową zdecydowanie.

- O nie, doktor Oldfield zawsze był dla żony nadzwyczaj serdeczny i cierpliwy.

- Czy rzeczywiście ją kochał? Zawahała się. - Nie... tego bym nie powiedziała. Pani Oldfield była trudną kobietą i dogodzić jej wcale nie było łatwo. Wiecznie domagała się współczucia i troskliwości, co nie zawsze było usprawiedliwione.

- Chce pani powiedzieć, że przesadzała ze swoim zdrowiem?

Pielęgniarka skinęła głową.

- Tak, jej choroba była w dużej mierze wytworem jej wyobraźni.

- A jednak umarła... - rzekł Poirot poważnie.

- Tak, wiem...

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę; jej zażenowaniu, jej wręcz namacalnej niepewności.

- Myślę, a raczej jestem pewny, że pani wie, co legło u podstaw tych plotek - odezwał się po pewnym czasie.

Siostra Harrison zarumieniła się.

- No cóż... - bąknęła. - Mogę się tylko domyślać. Wydaje mi się, że to Beatrice, pokojówka, zaczęła rozpuszczać te pogłoski i sądzę, że wiem, skąd jej to przyszło do głowy.

- Tak?

- Widzi pan, było to coś, co usłyszałam zupełnie przypadkowo - strzęp rozmowy między doktorem Oldfieldem a panną Moncrieffe - i właściwie jestem pewna, że Beatrice także to usłyszała, tyle że nie chce się do tego przyznać - powiedziała siostra Harrison nieco bez związku.

- Czego dotyczyła ta rozmowa?

Pielęgniarka milczała przez chwilę, jak gdyby chciała sprawdzić, czy pamięć jej nie zawodzi, po czym rzekła:

- To się wydarzyło mniej więcej trzy tygodnie przed ostatnim atakiem, który zabił panią Oldfield. Oni byli w jadalni. Schodziłam po schodach, kiedy usłyszałam, jak Jean Moncrieffe mówi: "Jak długo jeszcze to będzie trwało? Dłużej już nie wytrzymam". A doktor odpowiedział jej: "Już niedługo, kochanie, przysięgam". Ona mu na to: "Nie zniosę tego wyczekiwania. Naprawdę wierzysz, że wszystko się uda?" A on powiedział: "Oczywiście. Musi się udać. Za rok o tej porze będziemy już małżeństwem"... Przerwała.

- Wtedy po raz pierwszy zorientowałam się, że między doktorem Oldfieldem a panną Moncrieffe coś jest, panie Poirot - ciągnęła po chwili. - Naturalnie wiedziałam, że on ją podziwia i że są bardzo dobrymi przyjaciółmi, ale myślałam, że to wszystko.

Wróciłam po schodach na górę - porządnie mną to wstrząsnęło -ale zauważyłam, że drzwi kuchni były otwarte i uważam, że Beatrice musiała wtedy podsłuchiwać. Jak pan widzi, rozmawiali w taki sposób, że można to było zrozumieć dwojako. Mogło to

oznaczać, że doktor zdawał sobie sprawę z poważnego stanu żony i wiedział, że ona nie ma przed sobą długiego życia - ja zresztą nie wątpię, że o to mu właśnie chodziło - ale komuś w rodzaju Beatrice mogło się wydawać inaczej... mogło to wyglądać tak, jakby doktor i Jean Moncrieffe... no... zamierzali raz na zawsze pozbyć się pani Oldfield.

- Ale pani tak nie uważa?

- Nie... oczywiście, że nie...

Poirot przypatrywał się jej badawczo.

- Siostrze Harrison, czy jeszcze coś pani wiadomo? Coś, o czym mi pani nie powiedziała?

Zarumieniła się i odrzekła gwałtownie:

- Nie. Z całą pewnością nie. O czym jeszcze mogłabym wiedzieć?

- Tego nie wiem. Ale myślałem, że jeszcze wie pani... coś.. Potrząsnęła głową, a wyraz z troską wrócił na jej twarz.

- Bardzo możliwe, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zażąda ekshumacji zwłok pani Oldfield! - rzekł nagle detektyw.

- Och, nie! - Pielęgniarka była przerażona. - To straszne!

- Myśli pani, że byłaby to szkoda?

- Myślę, że to byłoby okropne! Niech pan tylko pomyśli, jak by tu o tym plotkowano! Dla biednego doktora Oldfielda to by było straszne... straszne.

- A nie sądzi pani, że mogłoby mu to wyjść na dobre?

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Jeżeli jest niewinny, to jego niewinność zostanie dowiedziona - wyjaśnił Poirot.

Przerwał. Patrzył, jak myśl ta dociera powoli do siostry Harrison, ujrzał, jak pielęgniarka marszczy brwi z zakłopotaniem, i wreszcie jak jej twarz się rozjaśnia. Po chwili pielęgniarka odetchnęła głęboko i spojrzała na niego.

- Nie pomyślałam o tym - powiedziała po prostu. - Oczywiście, to najlepsze wyjście. Nad nimi ktoś zaczął stukać w podłogę. Pielęgniarka zerwała się na nogi.

- To moja pani, stara panna Bristow. Obudziła się z drzemki. Muszę iść ją wygodnie ułożyć, zanim podadzą jej herbatę i zanim będę mogła wyjść na spacer. Tak, panie Poirot, uważam, że ma pan zupełną słuszność. Sekcja zwłok raz na zawsze zakończy tę sprawę. Wszystko się wyjaśni i wreszcie te ohydne plotki o biednym doktorze Oldfieldzie ucichną.

Uścisnęła dłoń detektywa i pośpiesznie opuściła pokój.

Herkules Poirot skierował się na pocztę i zamówił połączenie z Londynem.

Po drugiej stronie sznura odezwał się rozdrażniony głos:

- Poirot, mój drogi, czy wciąż musi pan niuchać za takimi sprawami? Jest pan pewien, że to coś dla nas? Wie pan chyba, ile jest prawdy w tych prowincjonalnych plotkach? Tyle co nic.

- Ta sprawa jest wyjątkowa - oświadczył Poirot.

- No dobrze... skoro pan tak twierdzi. Ma pan wyjątkowo męczącą cechę, że zwykle ma pan rację. Ale jeżeli okaże się, że to niewypał, to niech pan się nie spodziewa, że będziemy zadowoleni.

Herkules Poirot uśmiechnął się do siebie.

- Nie, to ja będę zadowolony.

- Co pan powiedział? Nic nie słyszę.

- Nic, nic takiego.

Zakończył rozmowę, wyszedł z kabiny telefonicznej i nachylił się ku dziewczynie w okienku.

- Czy przypadkiem nie wie pani, madame - odezwał się swoim najbardziej ujmującym tonem - gdzie mieszka teraz pokojówka, która pracowała niegdyś u państwa

Oldfield... na imię ma Beatrice?

- Beatrice King? Od tej pory zmieniła dwie posady. Teraz jest u pani Marley, za bankiem.

Poirot podziękował, kupił dwie kartki pocztowe, znaczki i jakiś bibelot miejscowego wyrobu. W trakcie zakupów udało mu się sprowadzić rozmowę na temat śmierci pani Oldfield. Szybko zauważył dziwny, ukradkowy wyraz, który przemknął po twarzy urzędniczki. - Bardzo nagła ta śmierć, prawda? - powiedziała.

- Narobiła tu niemało szumu, jak pan już pewnie słyszał.

- W jej oczach pojawił się przeblask zaciekawienia, gdy po chwili spytała: - Może to właśnie dlatego chce się pan widzieć z Beatrice King? My tu wszyscy uważaliśmy, że to dziwne, wymówić jej tak jakoś ni stąd, ni zowąd. Ktoś myślał, że ona coś wiedziała... i rzeczywiście może coś wiedzieć. Dawała do zrozumienia to i owo. Beatrice King była niską dziewczyną o przebiegłym wyrazie twarzy i bełkotliwej wymowie. Sprawiała wrażenie chodzącej głupoty, ale jej oczy były bardziej inteligentne, niż można się tego było spodziewać po jej zachowaniu. Wyglądało jednak na to, że z Beatrice King nic się nie wydusi.

- Ja tam nic o niczym nie wiem - powtarzała w kółko. - Nie mnie oceniać, co tam się działo... Nie wiem, co ma pan na myśli, mówiąc, że podsłuchałam jakąś rozmowę doktora z panną Moncrieffe. Ja nie z tych, co to podsłuchują pod drzwiami, i nie ma pan prawa tak mówić. Nic nie wiem.

- Czy słyszałaś kiedyś o otruciu arsenikiem? Przez posepną twarz dziewczyny przemknął błysk tajonego zainteresowania.

- A więc to było w tej butelce z lekarstwem?

- W jakiej butelce?

- W jednej z tych butelek z lekarstwami, które panna Moncrieffe przygotowywała dla pani - wyjaśniła Beatrice. - Widziałam, że pielęgniarka była tym okropnie zdenerwowana. Posmakowała, a jakże, potem powąchała, a potem wylała to do zlewu i napełniła butelkę czystą wodą z kranu. To lekarstwo było zresztą przezroczyste jak woda. A raz, kiedy panna Moncrieffe zaniósła pani dzbanek herbaty, pielęgniarka zabrała go i zaparzyła świeżą... powiedziała, że woda nie była dobrze przegotowana, ale to niemożliwe! Myślałam, że ona tak tylko marudzi, jak to u pielęgniarek, ale sama nie wiem... może i coś w tym było. Poirot skinął głową.

- Lubiałaś pannę Moncrieffe, Beatrice? - zapytał.

- Nie miałam nic przeciwko niej... Chociaż trochę była zarozumiała. Oczywiście od początku wiedziałam, że kocha się w doktorze. Starczyło widzieć, jak na niego patrzy. Poirot znowu skinął głową i wrócił do zajazdu. Tam wezwał Georgesa i dał mu pewne instrukcje.

VI

Doktor Alan Garcia, laborant Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zatarł ręce i mruknął do Herkulesa Poirot:

- Spodziewam się, że jest pan zadowolony, panie Poirot? Pan, który ma zawsze rację.

- Jest pan nazbyt uprzejmy - mruknął detektyw.

- Co pana na to naprowadziło? Plotka?

- Jakby pan zgadł... Na scenę wchodzi Plotka, wymalowana od stóp do głów w języki. Następnego dnia Poirot raz jeszcze wsiadł w pociąg do Market Loughborough. W Market Loughborough huczało jak w ulu. Huczało tam już zresztą od czasu, kiedy przystąpiono do ekshumacji zwłok.

Teraz jednak, kiedy wyniki autopsji przedostały się do wiadomości publicznej, podniecenie osiągnęło stan wrzenia. Poirot był w zajeździe niecałą godzinę i właśnie

skończył obiad złożony ze steku i cynaderek popitych piwem, kiedy powiadomiono go, że chce się z nim widzieć jakaś kobieta.

Była to siostra Harrison. Twarz miała bladą i wymęczoną. Podeszła wprost do Poirota.

- Czy to prawda? Panie Poirot, czy to wszystko prawda?

Posadził ją łagodnie na krześle.

- Tak. Znalaziono arszenik, i to w ilościach większych niż potrzeba do spowodowania śmierci.

- Nigdy nie myślałam... ani przez chwilę nie sądziłam... - krzyknęła siostra Harrison i rozpłakała się.

- Prawda musiała wyjść na jaw - powiedział Poirot łagodnie.

Pociągnęła nosem.

- Powiesz go?

- Wiele rzeczy trzeba będzie jeszcze udowodnić. Okazja, dostęp do trucizny, sposób, w jaki ją podano...

- Przypuśćmy jednak, panie Poirot, że on nie miał z tym nic wspólnego... zupełnie nic.

- W takim wypadku - Poirot wzruszył ramionami - zostanie uniewinniony.

- Jest coś - oświadczyła pielęgniarka powoli - coś, o czym, jak sądzę, już wcześniej powinnam panu powiedzieć... ale naprawdę nie myślałam, że może to mieć jakieś znaczenie. To było po prostu dziwne.

- Wiedziałem, że jest coś jeszcze. Niech mi pani lepiej o tym teraz opowie.

- Niewiele tego. Tyle że pewnego dnia, kiedy zeszłam po coś do ambulatorium, Jean Moncrieffe robiła coś... dziwnego.

- Tak?

- To tak głupio brzmi. Chodzi o to, że napełniała swoją puderniczkę, taką emaliowaną na różowo...

- Tak?

- Ale nie napełniała jej pudrem... to znaczy nie był to puder do twarzy. Upychała ją czymś z jednej z tych buteleczek z szafki z truciznami. Kiedy mnie zobaczyła, wzdrygnęła się, zamknęła puderniczkę i schowała ją do torby, a potem szybko odstawiła buteleczkę do szafki, tak że nie zdążyłam zobaczyć, co to było. Prawdopodobnie to jest bez znaczenia, ale teraz, kiedy wiem, że pani Oldfield została naprawdę otruta... - Zawiesiła głos.

- Przepraszam panią na chwilę - powiedział Poirot. Wyszedł i zadzwonił do detektywa-sierżanta Greya z policji w hrabstwie Berkshire.

Po powrocie usiadł w milczeniu obok pielęgniarki. Przed oczyma miał obraz twarzy rudowłosej dziewczyny, a w uszach dźwięczał mu jej czysty, twardy głos, kiedy mówiła: "nie zgadzam się". Jean Moncrieffe nie chciała dopuścić do autopsji. Podała wprawdzie całkiem sensowne powody, ale fakt jest faktem. Dziewczyna zdolna, fachowa, Zdecydowana. Zakochana w mężczyźnie związanym z wiecznie utyskującą, chorą żoną, która - sądząc z tego, co mówiła siostra Harrison - spokojnie mogła żyć jeszcze całe lata. Herkules Poirot westchnął.

- O czym pan myśli? - zapytała siostra Harrison.

- O tym, że szkoda...

- Nigdy nie uwierzę, że on coś wiedział na ten temat - stwierdziła pielęgniarka stanowczo.

- Nie. Jestem pewny, że nie wiedział. Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł detektyw-sierżant Grey. W rękę trzymał jakiś przedmiot, zawinięty w jedwabną chusteczkę. Rozwinął chustkę i delikatnie położył przedmiot na stole. Była to różowa, emaliowana puderniczka,

- To ta, którą wtedy widziałam - powiedziała siostra Harrison.

- Znalazłem ją schowaną na samym dnie szuflady w biurku panny Moncrieffe - rzekł

Grey. - W torebce na chusteczki. Z tego, co widzę, nie ma na niej odcisków palców, ale będę ostrożny.

Trzymając puderniczkę przez chusteczkę, nacisnął zatrzask. Puderniczka otworzyła się.

- To nie jest puder do twarzy - powiedział. Zanurzył palec w proszku i ostrożnie spróbował czubkiem języka.

- Nie ma smaku.

- Biały arsenik nie ma smaku - powiedział Poirot.

- Natychmiast dam to do analizy - rzekł Grey i spojrzał na pielęgniarkę. - Może pani przysiąc, że to ta sama puderniczka?

- Tak. Jestem absolutnie pewna, że tak. To ta sama puderniczka, którą widziałam u panny Moncrieffe mniej więcej na tydzień przed śmiercią pani Oldfield.

Sierżant Grey westchnął. Spojrzał na detektywa i skinął głową. Poirot potrząsnął dzwonkiem.

- Proszę tu przysłać mojego służącego.

Georges, służący doskonały, dyskretny i nie rzucający się w oczy, wszedł i spojrzał pytająco na swojego pana.

- Zidentyfikowała pani tę puderniczkę, panno Harrison, jako tę, którą widziała pani u panny Moncrieffe ponad rok temu - powiedział Poirot. - Zapewne więc zdziwi panią wiadomość, że kupiono ją u Woolwortha zaledwie kilka tygodni temu, a co więcej, że puderniczki tego kształtu i koloru produkuje się dopiero od trzech miesięcy?

Siostra Harrison jęknęła. Wlepiła wzrok w Poirota. Ciemne oczy miała szeroko otwarte.

- Georges, czy widziałeś już kiedyś tę puderniczkę? George zrobił krok w przód.

- Tak, proszę pana. Widziałem, jak ta osoba, panna Harrison, kupowała ją u Woolwortha w piątek, osiemnastego. Zgodnie z pańskimi instrukcjami, śledziłem wszystkie kroki tej pani. W dniu, o którym mowa, pojechała autobusem do Darnington i nabyła tam tę puderniczkę. Zabrała ją do domu. Tego samego dnia, ale później, udała się do domu, który wynajmuje panna Moncrieffe. Działając zgodnie z pańskimi wytycznymi, byłem już wtedy w tym domu. Widziałem, jak ta osoba weszła do sypialni panny Moncrieffe i ukryła ten przedmiot w głębi szuflady biurka. Miałem dobry widok przez szparę w drzwiach. Następnie wyszła z domu, przekonana, że nikt jej nie zauważył. Dodam jeszcze, że nikt tu nie zamyka frontowych drzwi na klucz i że zapadał zmrok.

W głosie Poirota, kiedy odezwał się do panny Harrison, zabrzmiała twarda, jadowita nuta.

- Czy może nam pani wyjaśnić te fakty, siostrze? Chyba nie. W tej puderniczce nie było arszeniku, kiedy opuszczała sklep Woolwortha, ale był już, kiedy opuszczała dom pani Bristow. Nie był to mądry pomysł z pani strony - dorzucił cicho - żeby trzymać u siebie zapas arszeniku.

Siostra Harrison ukryła twarz w dłoniach.

- To prawda - wyznała cichym, matowym głosem. - To wszystko prawda. Zabiłam ją. I Wszystko to na nic... zupełnie na nic. Byłam szalona.

VII

- Musze pana prosić o wybaczenie, panie Poirot - powiedziała Jean Moncrieffe. - Taka byłam na pana zła... po prostu wściekła. Wydawało mi się, że pan tylko wszystko pogarsza.

- Na początku tak to właśnie wyglądało - przyznał Poirot z uśmiechem. - To tak, jak w tej starej legendzie o hydrze lernejskiej. Na miejscu każdej uciętej głowy wyrastały

jej dwie nowe. Dlatego też na początku plotki rosły i mnożyły się z każdą chwilą. Ale widzi pani, moje zadanie, tak jak zadanie mojego imiennika, Herkulesa, polegało na dotarciu do tej pierwszej, pierwotnej głowy. Kto zaczął rozpuszczać te pogłoski? Nie zabrało mi wiele czasu odkrycie, że ich źródłem była siostra Harrison. Wybrałem się do niej. Sprawiała wrażenie osoby bardzo miłej... inteligentnej i sympatycznej. Ale prawie na samym wstępie popełniła poważny błąd - powtórzyła mi rozmowę, która jakoby miała miejsce między panią a doktorem, tyle że w tej rozmowie nic się nie kleiło. Psychologicznie była zupełnie nieprawdopodobna. Oboje z doktorem jesteście zbyt inteligentni i rozsądni, żeby planując otrucie pani Oldfield rozmawiać o tym przy otwartych drzwiach, w pokoju, gdzie bez trudu można was było podsłuchać z kuchni czy ze schodów. Co więcej, słowa, które siostra Harrison pani przypisywała, zupełnie nie odpowiadały pani konstrukcji psychicznej. Były to słowa kobiety starszej, i to całkiem innej niż pani. Były to słowa, jakich w takiej sytuacji użyłaby siostra Harrison.

Wtedy jeszcze uważałem, że sprawa jest całkiem prosta. Pani Harrison, jak się przekonałem, była kobietą stosunkowo młodą i przystojną, przez prawie trzy lata blisko związaną z doktorem, no a doktor był z niej zadowolony i wdzięczny za jej takt i wyrozumiałość. Wyobraźnia podpowiedziała jej, że w wypadku śmierci pani Oldfield doktor prawdopodobnie poprosiłby ją o rękę. A tymczasem po śmierci pani Oldfield dowiedziała się, że doktor kocha panią! Natychmiast więc, powodowana gniewem i zazdrością, zaczyna rozpuszczać plotki, że to doktor otrul żonę. Jak powiadam, w ten sposób widziałem sytuację na samym wstępie. Był to przypadek zazdrosnej kobiety siejącej kłamliwe plotki. Ale ciągle chodziło mi po głowie stare wyświechtane powiedzonko, że "nie ma dymu bez ognia". Zacząłem się zastanawiać, czy siostra Harrison, oprócz rozpuszczania plotek, nie odegrała większej roli w tej sprawie. Niektóre rzeczy z tego, co mówiła, brzmiały trochę dziwnie. Na przykład, że choroba pani Oldfield była przede wszystkim wynikiem jej wyobraźni... że w rzeczywistości ona wcale tak bardzo nie cierpiała. Ale sam doktor nie miał wątpliwości co do choroby żony. Jej śmierć go nie zaskoczyła. Tuż przed tym zdarzeniem wezwał innego lekarza, który od razu docenił powagę sytuacji. Na wszelki wypadek wysunąłem propozycję przeprowadzenia sekcji zwłok... W pierwszej chwili siostra Harrison niemal dostała pomieszania zmysłów ze strachu. Ale prawie natychmiast zazdrość i nienawiść wzięły górę. Niech znajdą arszenik - na nią nie padnie najmniejsze podejrzenie. To doktor i Jean Moncrieffe na tym ucierpią. Pozostawała tylko jedna nadzieja. Doprowadzić do tego, żeby siostra Harrison przechytrzyła. Wydawało mi się, że jeżeli zaistnieje szansa, że Jean Moncrieffe uniknie kary, to siostra Harrison postara się zrobić wszystko, byleby tylko wplątać ją w tę zbrodnię. Poinstruowałem więc odpowiednio mojego zaufanego Georgesa - najmniej rzucającego się w oczy człowieka, którego zresztą ona nic знаła. Miał jej nie spuszczać z oka. No i wszystko skończyło się dobrze.

- Był pan wspaniały - powiedziała Jean Moncrieffe.

- O tak, to prawda - dorzucił doktor Oldfield. - Nigdy nie uda mi się panu odwdziżyć. Ależ ja byłem ślepy i głupi!

- Czy pani była równie ślepa, mademoiselle? - zapytał Poirot z ciekawością w głosie.

- Byłam strasznie zmartwiona - odparła Jean powoli. - Widzi pan, nie zgadzała się ilość arszeniku w szafce...

- Jean, chyba nie myślałaś... - krzyknął Oldfield.

- Nie, nie. Nie myślałam o tobie. Ja tylko myślałam, że pani Oldfield w jakiś sposób zdobyła ten arszenik... i że zażywała go, żeby pogłębić swoją chorobę i wzbudzać jeszcze większe współczucie. Sądziłam, że mimowolnie mogła wziąć za dużą dawkę. Ale bałam się, że jeżeli sekcja zwłok ujawni ślady arszeniku, to moja teoria nikomu

nie przyjdzie do głowy i ciebie uznają winnym śmierci żony. Dlatego nigdy nie powiedziałam ani słowa o brakującym arseniku. Sfalszowałam nawet wpisy w wykazie trucizn! Ale siostra Harrison była ostatnią osobą, którą bym o to podejrzewała.

- Ja również - powiedział Oldfield. - Taka była łagodna, taka kobieca. Jak Madonna.
- Tak - przyznał Poirot ze smutkiem. - Prawdopodobnie byłaby dobrą żoną i matką... Niestety, nie potrafiła pohamować swych uczuć. - Westchnął i raz jeszcze mruknął pod nosem: - Szkoda.

Po chwili uśmiechnął się do uradowanego mężczyzny w średnim wieku i siedzącej naprzeciw niego rozpromienionej dziewczyny.

- Tych dwoje wyszło z cienia na słońce - powiedział sobie w duchu. - A ja... ja wykonałem drugą pracę Herkulesa.

ŁANIA KERYNEJSKA

I

Herkules Poirot przytupywał i chuchał w dłonie, próbując się rozgrzać. Z koniuszków wąsów spływały mu stopniacie płatki śniegu.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła pokojówka

- ślamazarna, przysadzista wiejska dziewczyna. Z niemalym zdumieniem spojrzała na detektywa. Bardzo możliwe, że dotychczas nikogo podobnego nie spotkała.

- Pan dzwonił? - odezwała się.

- Tak. Czy byłaby pani uprzejma napalić w kominku? Wyszła z pokoju, a po chwili wróciła niosąc papier i szczapy. Przyklękła przed wielkim wiktoriańskim paleniskiem i zajęła się rozpalaniem ognia.

Herkules Poirot nadal przytupywał, zabijał ręce i chuchał w dłonie.

Był poirotowany. Jego limuzyna - luksusowy messarro gratz - nie sprawowała się z ową mechaniczną perfekcją, jakiej oczekiwał od samochodu. Jego szofer - sownie wynagradzany młody człowiek - nie potrafił doprowadzić jej do porządku. Samochód na dobre odmówił posłuszeństwa na trzeciorzędnej drodze, gdzie w promieniu półtorej mili nie było żywego ducha, a na dodatek zaczynał sypać śnieg. Herkules Poirot, jak zwykle w zgrabnych lakierkach, zmuszony był brnąć przez półtorej mili, by dotrzeć do leżącej nad brzegiem rzeki wioski Hartly Dene - wioski, która choć w lecie przejawiała wszelkie oznaki ożywienia, w zimie była kompletnie wymarła. W pensjonacie "Czarny łabędź" przybycie gościa wywołało coś na kształt przerażenia. Właściciel nieomal wzniosł się na szczyty elokwencji, dowodząc, że miejscowy garaż chętnie zapewni samochód, którym szanowny pan będzie mógł się udać w dalszą drogę.

Herkules Poirot ze wstrętem odrzucił ten pomysł. Taka zniewaga dla jego romańskiej oszczędności! Wynająć samochód? Przecież on już ma samochód - wielką luksusową limuzynę. I właśnie tym, a nie innym samochodem zamierza wrócić do miasta. A zresztą, gdyby nawet udało się go szybko naprawić, to i tak nie ma zamiaru nigdzie jechać w tej śnieżycy aż do jutra rana. Zażądał więc pokoju, ciepłego kominka i posiłku. Właściciel pensjonatu wzdychając zaprowadził go do pokoju, wydelegował dziewczynę do rozpalenia ognia, po czym wycofał się, by przedyskutować z żoną problem obiadu.

Godzinę później, siedząc z nogami wyciągniętymi w stronę kojącego ognia, Herkules Poirot z wyrozumiałością dumał nad dopiero co zjedzonym posiłkiem. Nie da się ukryć, że kotlet był twardy i z mnóstwem chrząstek, brukselka za duża, blada i zdecydowanie wodnista, ziemniaki zaś miały serca z kamienia. O pieczonych jabłkach i leguminie, które podano później, lepiej nawet nie mówić. Ser był twardy, a

biszkopty miękkie. A jednak, myślał detektyw, z wdzięcznością obserwując skaczące ogniki i delikatnie popijając z filiżanki błotnisty płyn, zwany eufemistycznie kawą, lepiej mieć brzuch pełny niż pusty, a jeśli w dodatku przemierzyło się w lakierkach zasypane śniegiem drogi, to siedząc przed kominkiem człowiek czuje się jak w niebie!

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła pokojówka.

- Ja przepraszam, jest tu chłopak z garażu i chce się z panem widzieć.

- Może wstąpić - oświadczył Herkules Poirot uprzejmie.

Dziewczyna zachichotała i wycofała się. Poirot pomyślał dobrodusznie, że opowieściami o nim będzie zabawiała przyjaciół przez wiele następnych zimowych dni.

Znowu ktoś zapukał do drzwi, tym razem inaczej.

- Proszę! - zawołał Poirot.

Z aprobatą spojrział na młodego człowieka, który zatrzymał się za progiem, ze skrzepowaniem miętosząc czapkę.

Oto, pomyślał, jeden z najbardziej urodziwych okazów człowieka, jakie kiedykolwiek widział, prosty młodzieniec o wyglądzie przywodzącym na myśl greckiego boga.

- Ja względem samochodu, proszę pana, już go ściągnęliśmy - odezwał się chłopak niskim, głębokim głosem. - Rozpatrzyliśmy się, w czym kłopot. To robota gdzieś tak na godzinę.

- I co z nim jest? - zapytał Poirot.

Młodzieniec ochoczo zagłębił się w szczegółach technicznych. Poirot łagodnie kiwał głową, lecz wcale nie słuchał. Doskonała aparycja było to coś, co ze wszech miar podziwiał. Uważał, że po świecie chodzi stanowczo za dużo okularników. "Tak, to grecki bóg - powiedział sobie w duchu. - Młody pasterz z Arkadii".

Mechanik przerwał raptownie. W tym momencie brwi Poirota ściągnęły się na sekundę. Jego pierwsza reakcja była natury estetycznej, druga zaś intelektualnej.

Podnosząc wzrok, zabawnie zmrużył oczy.

- Pojmuję - rzekł. - Tak, pojmuję. - Zamilkł, a po chwili dorzucił: - To samo już mi powiedział mój szofer. Zobaczył, jak twarz chłopaka pokrywa się rumieńcem, a jego palce nerwowo gniotą czapkę.

- Tak... e... tak jest, proszę pana - wyjąkał chłopak. - Wiem o tym.

- Ale uznałeś, że ty też powinienes przyjść i mi o tym powiedzieć - ciągnął gładko Poirot.

- Eee, tak, proszę pana, właśnie tak pomyślałem.

- Bardzo to skrupulatnie z twojej strony - oświadczył Poirot. - Dziękuję.

W ostatnim słowie zabrzmiała lekka, niemniej wyraźna nuta odprawy, ale detektyw nie spodziewał się, że chłopak odejdzie. Miał rację. Młody człowiek stał w miejscu, gorączkowo przebierając palcami i miętosząc tweedową czapkę.

- Eee... ja przepraszam, ale czy to prawda, że szanowny pan jest tym detektywem... pan jest Herkules Puarrit? - Nazwisko wymówił bardzo starannie.

- Istotnie - odparł Poirot.

Rumieniec wpelzł wyżej na twarz mechanika.

- Czytałem o panu w gazecie.

- Tak?

Chłopak był już purpurowy. Z jego oczu przebijała rozpacz... rozpacz i błaganie.

Herkules Poirot postanowił przyjść mu z pomocą.

- Słucham? O co takiego chciałeś mnie zapytać? Teraz słowa popłynęły strumieniem.

- Pan sobie pewnie pomyśli, że to straszna śmiałość, ale jak pan tu tak trafił przypadkiem... no, to za dobra okazja, żeby ją przepuścić, po tym, jak przeczytałem o panu i tych wszystkich rzeczach, które pan zrobił. No więc powiedziałem sobie, że w

końcu mogę pana spytać. To chyba nie zaszkodzi, no nie?

Herkules Poirot potrząsnął głową.

- Chcesz, żebym ci w czymś pomógł?

Mechanik skinął głową.

- Chodzi... chodzi o jedną młodą panią. Czy... czy może ją pan dla mnie odszukać?

- Odszukać? Czy to znaczy, że zniknęła?

- Właśnie, proszę pana.

Herkules Poirot wyprostował się w fotelu.

- Tak, zapewne mógłbym ci pomóc - powiedział ostro. - Ale byłoby właściwiej, gdybyś się zwrócił do policji. To zadanie dla nich, zresztą oni mają więcej środków do dyspozycji niż ja.

Chłopak przestąpił z nogi na nogę.

- Nie mogę tego zrobić, proszę pana - powiedział z zakłopotaniem. - To wcale nie tak.

Wszystko to jest raczej dziwne, że tak się wyrażę.

Herkules Poirot spoglądał na niego przez chwilę, po czym wskazał mu krzesło.

- Eh bien, no to siadaj... jak się nazywasz?

- Williamson, proszę pana. Ted Williamson.

- Usiądź, Ted, i opowiedz mi o wszystkim.

- Dziękuję panu. - Chłopak przysunął sobie krzesło i usiadł ostrożnie na samym skraju. Jego oczy wciąż miały ten sam błagalny, psi wyraz.

- Opowiadaj - zachęcił go łagodnie detektyw. Ted Williamson odetchnął głęboko.

- No więc, widzi pan, to było tak. Nigdy jej nie widziałem, poza tym jednym razem.

Nie wiem, jak się nazywa, nic o niej nie wiem. Ale wszystko to jakieś dziwne, i to, że moje listy wracają, i...

- Zaczynj od początku - wtrącił Poirot. - Nie śpiesz się. Powiedz mi tylko o wszystkim, co się wydarzyło.

- Tak jest. No więc zna pan może Grasslawn, ten wielki dom koło rzeki za mostem?

- Nie, nie znam.

- Należy do sir George'a Sanderfielda. Korzysta z niego w lecie, na weekendy i przyjęcia... normalnie on tam ma takie bardziej zabawowe towarzystwo. Aktoreczki i takie tam różne. No więc to było w czerwcu... wysiadło im radio i posłali po mnie, żebym się nim zajął.

Detektyw pokiwał głową.

- No więc pojechałem. Gospodarz był z gośćmi na rzece, kucharka miała wychodne, a lokaja zabrali ze sobą, żeby im podawał. W domu była tylko ta dziewczyna...

pokojówka jednej pani, co tam przyjechała. Wpuściła mnie do domu i pokazała, gdzie radio, i stała tam cały czas, jak je reperowałem. Zebrało nam się na rozmowę, no i tak... Powiedziała mi, że ma na imię Nita i że jest pokojówką rosyjskiej tancerki, co tam przyjechała.

- A jej narodowość? Była Angielką?

- Nie, proszę pana, tak myślę, że raczej Francuzką. Taki miała dziwny akcent. Ale po angielsku mówiła. Ona... ona była miła, więc w końcu spytałem, czy wieczorem mogłaby wyjść ze mną do kina, ale powiedziała, że będzie potrzebna swojej pani. A potem powiedziała, że mogłaby wyjść zaraz po południu, bo wie, że oni z tej rzeki nieprędko wrócą. No i stanęło na tym, że się urwałem po południu z pracy - o mało mnie za to nie wylali - i poszliśmy na spacer nad rzekę.

Zamilkł. Na jego wargach błąkał się nikły uśmiech. Wzrok miał rozmarzony.

- I pewnie była ładna, tak? - zapytał Poirot łagodnie.

- Śliczna, że drugiej takiej pan nie widział. Włosy miała jak złoto... jak złote skrzydła... i chód miała taki lekki i radosny. Ja... ja... no, zakochałem się w niej od razu. Nie będę udawał, że nie.

Detektyw pokiwał głową.

- Powiedziała, że jej pani przyjedzie tu za dwa tygodnie i się umówiliśmy, że się wtedy spotkamy - powiedział chłopak i przerwał. - Ale już nie przyjechała. Czekałem tam, gdzie mi kazała, a po niej ani śladu, aż wzięłem na śmiałość i poszedłem do tego domu zapytać o nią. Tak, powiedzieli mi, ta rosyjska dama mieszka u nich, i jest z pokojówką. Posłali po nią, ale jak przyszła, to wcale nie była Nita! Jakaś ciemna dziewczyna, jędzowata... a beczelna jak rzadko. Wołali na nią Marie. "Chciałeś się ze mną zobaczyć?" - mówi i cała się mizdrzy. Pewnie zobaczyła, że mnie zatkało. To ja ją zapytałem, czy jest pokojówką tej rosyjskiej damy, i mówię, że ona nie jest ta, co ją widziałem przedtem, a ona na to w śmiech i mówi, że tamtą pokojówkę odprawiono całkiem nagle. "Za co?" - pytam, a ona wzrusza ramionami i ręce rozkłada. "Skąd mam wiedzieć?" - mówi. - Mnie przy tym nie było".

No to mnie zatkało. Nic wtedy nie wiedziałem, co powiedzieć. Ale się potem zebrałem na odwagę i jeszcze raz poszedłem do tej Marie i poprosiłem ją, żeby mi załatwiła adres Nity. Nie dałem jej poznać, że nawet nie znani nazwiska Nity. Obiecałem dać jej prezent, jak zrobi, o co ją proszę... ona nie z tych, co to za darmo coś dla kogoś zrobią. No i załatwiła mi ten adres - adres w północnym Londynie i napisałem tam do Nity... ale na poczcie odesłali mi list i wrócił z napisem "Nie mieszka już pod tym adresem".

Ted Williamson przerwał. Jego oczy, te ciemnoniebieskie spokojne oczy, spoglądały na Poirota.

- Widzi pan, jak to jest? To sprawa nie dla policji. Ale ja ją chcę znaleźć. Tylko nie wiem, jak się do tego zabrać. Czy... czy może mi ją pan odszukać? - Jego rumieniec pogłębił się. - Ja... ja trochę odłożyłem. Mógłbym zapłacić pięć funtów... a może nawet dziesięć...

- Zostawmy na razie finanse - powiedział Poirot łagodnie. - Zastanów się teraz... ta dziewczyna, Nita... czy wiedziała, jak się nazywasz i gdzie pracujesz?

- O, tak.

- I mogłaby się z tobą skontaktować, gdyby tylko chciała?

- Tak - potwierdził Ted, tym razem znacznie wolniej.

- Nie sądzisz zatem...

- Pan myśli - Ted Williamson wpadł mu w słowo - że ja się zakochałem, ale ona nie?

Może to i prawda... Ale ona mnie lubiła, naprawdę... dla niej to nie była tylko zabawa... I tak sobie myślę, proszę pana, że może jest w tym jakiś powód. Bo widzi pan, ona była w takim towarzystwie... Może wpadła w kłopoty, pan mnie rozumie?

- Chodzi ci o to, że może spodziewa się dziecka? Twojego dziecka?

- Nie mojego. - Ted znów się zarumienił. - Między nami nic nie było.

Poirot spoglądał na niego w zamyśleniu.

- A gdyby to, o czym myślisz, okazało się prawdą... to nadal chciałbyś ją odszukać? - mruknął.

Krew napłynęła Tedowi do twarzy.

- Właśnie że chcę, i już! - oświadczył. - Ożenię się z nią, jak się zgodzi. Nieważne, w jakich jest teraz kłopotach! Czy spróbuje pan ją znaleźć?

Herkules Poirot uśmiechnął się.

- "Włosy jak złote skrzydła" - mruknął do siebie. - Tak, to chyba trzecia praca Herkulesa... Jeżeli dobrze pamiętam, miało to miejsce w Arkadii...

II

Herkules Poirot spoglądał w zamyśleniu na kartkę, na której Ted Williamson pracowicie wykaligrafował nazwisko i adres.

Panna Valetta, 17 Upper Renfrew Lane, N. 15.

Ciekaw był, czy dowie się czegoś pod tym adresem. Coś mu mówiło, że nie. Ale było to wszystko, czym Ted mógł mu służyć.

Upper Renfrew Lane okazała się zapuszczoną, lecz spokojną uliczką. Na pukanie Poirota drzwi pod numerem 17 otworzyła korpulentna kobieta o kaprawych oczkach.

- Panna Valetta?

- Wyjechała, dawno temu.

Poirot przekroczył próg w chwili, gdy drzwi już się niemal domykały.

- Czy mogłaby pani dać mi jej nowy adres?

- Nie mogłabym. Nic mi nie zostawiła.

- Kiedy wyjechała?

- Zeszłego lata.

- A może pani powiedzieć dokładniej?

Od dłoni Poirota doleciał cichy brzęk, kiedy dwie półkoronówki trąciły się przyjaźnie. Kobieta o kaprawych oczkach zmiękła w sposób niemal magiczny. Nagle stała się uosobieniem uczynności.

- Pan mi wierzy, że ja bym chętnie pomogła. Niech no pomyślę... W sierpniu... nie, wcześniej, w lipcu... tak, to musiało być w lipcu. Chyba w pierwszym tygodniu lipca. Wyjechała w pośpiechu. Ja myślę, że wróciła do Włoch.

- A zatem była Włoszką? - Tak.

- Zdaje się, że przez pewien czas była pokojówką rosyjskiej tancerki, prawda?

- Zgadza się. Madame Semoulina, czy jakoś tak jej było. Tańczyła w teatrze "Thespian", w tym balecie, co ludzie go tak lubią. Była tam za gwiazdę.

- Czy wie pani, dlaczego panna Valetta porzuciła pracę.

Kobieta zawahała się.

- Nie, nie wiem.

- Odprawiono ją, czy tak?

- No... zdaje się, że była tam jakaś awantura. Ale uważa pan, panna Valetta wiele nie mówiła. Ona nie z tych, co to wszystko wygadają. Ale widać było, że ją to wściekło. Charakterek to ona miała paskudny, prawdziwie włoski. Błyskała tylko tymi swoimi czarnymi oczami i wyglądała, jakby komu chciała wpakować nóż. Już ja jej wolałam schodzić z oczu, jak była w jednym z tych swoich humorów!

- I jest pani pewna, że nie zna pani jej nowego adresu? Półkoronówki zabrzęczały zachęcająco.

- Żałuję, że nie znam. Chętnie bym panu powiedziała. No a tak... wyjechała w pośpiechu i tyle ją widać!

Odpowiedź zabrzmiała szczerze.

- Ano, tak to bywa - mruknął Poirot pod wąsem, zamyślony.

III

Ambrose Vandel oderwany od entuzjastycznego opisu swojej nowej scenografii, którą projektował do najbliższego baletu, udzielił informacji bez większych oporów.

- Sanderfield? George Sanderfield? Paskudny gość. Tarza się w pieniądzech, ale powiadają, że to łajdak. Czarny koń! Romans z tancerką? Ależ oczywiście, mój drogi, miał romans z Katriną. Katrina Samoushenka. Musiałeś ją widzieć. Mój drogi... toż to czysta rozkosz. Cudowna technika. Łabędź z Tuolela... nie widziałeś? Z moją scenografią! A w tym drugim kawałku Debussy'ego, czy może Mannine'a, La Biche au Bois? Tańczyła to z Michaelem Novginem. Jest cudowny, nie sądzisz?

- Więc była przyjaciółką sir George'a Sanderfielda?

- Tak, spędzała tam weekendy w jego domku nad rzeką. Zdaje się, że on tam wydaje

cudowne przyjęcia.

- Mon cher, czy mógłbyś mnie przedstawić madame Samoushenka?

- Niestety, mój drogi, już jej tu nie ma. Ni stąd, ni zowąd wyjechała do Paryża, czy gdzieś indziej. Wiesz, powiadają, że była szpiegiem bolszewików... ja w to osobiście nie wierzę, ale sam wiesz, jak ludzie lubią gadać. Katrina, jak to zwykle bywa, udawała, że jej ojciec był Wielkim Księciem czy następcą tronu! Od razu lepsze powodzenie... - Vandel przerwał i powrócił do zaprzątającego go tematu, to jest do siebie samego. - Więc, jak mówiłem, jeżeli chcesz zgłębić ducha Batszeba, musisz wniknąć w tradycję semicką. Ja ją wyrażam poprzez...

I radośnie kontynuował temat.

IV

"Czarny koń", jak nazwał go Ambrose Vandel, sprawiał wrażenie skrepowanego. Sir George był niskim, barczystym mężczyzną o ciemnych, kędzierzawych włosach i wałkami tłuszczu na karku.

Rozmowa z sir George'em Sanderfieldem, do której Poirotowi udało się doprowadzić, rozpoczęła się nie nazbyt pomyślnie.

- A więc, panie Poirot, czym mogę panu służyć? Chyba nie mieliśmy okazji się spotkać?"

- Nie, nie znamy się.

- A więc w czym rzecz! Wyznaję, że zaciekał mnie pan.

- O, to bardzo prosta sprawa... chodzi mi tylko o informację.

Rozmówca Poirota zaśmiał się nieszczerze.

- Chce pan dostać ode mnie cynk, co? Nie wiedziałem, że interesuje się pan finansami?

- Nie chodzi mi o interesy. Ta sprawa ma związek z pewną damą.

- A, kobieta. - Sir George Sanderfield rozparł się w fotelu. Wyglądało na to, że się odprężył. Napięcie zniknęło z jego głosu.

- Podobno znał pannę Katrinę Samoushenka? - zapytał Poirot.

Sanderfield roześmiał się.

- Tak. Zachwycające stworzenie. Szkoda, że wyjechała z Londynu.

- A dlaczego wyjechała?

- Drogi panie, nie wiem. Myślę, że pokłóciła się z kierownictwem. Miała temperamencik, wie pan... cała Rosjanka. Żałuję, że nie potrafię panu pomóc, ale nie mam bladego pojęcia, co się z nią teraz dzieje. Nie utrzymywałem z nią korespondencji.

Ton jego głosu dawał do zrozumienia, że rozmowa skończona. Sir George wstał.

- Ale ja nie mam zamiaru szukać madame Samoushenka - rzekł Poirot.

- Ach tak?

- Właśnie. Chodzi o jej pokojówkę.

- O pokojówkę? - Sanderfield spojrzał na detektywa.

- Czy pamięta pan może tę dziewczynę?

Sanderfield znów stał się nieswój.

- Ależ nie, skądże - odparł z zakłopotaniem. - Pamiętam, oczywiście, że miała jakąś pokojówkę... Nic dobrego, tyle panu powiem. Wścibska donosicielka. Na pana miejscu nie wierzyłbym w ani jedno jej słowo. To urodzona kłamczucha.

- A jednak pamięta ją pan całkiem dobrze - zauważył detektyw.

- To tylko takie moje wrażenie, nic więcej - rzekł Sanderfield pośpiesznie. - Nie pamiętam nawet, jak się nazywała. Chwileczkę... Marie, czy jakoś tak... nie, Niestety, nie potrafię panu pomóc. Przykro mi.

W teatrze "Thespian" podano mi już nazwisko Marie Hellin i jej adres. Ale ja mówię o pokojówce, która pracowała u pani Samoushenka przed Marie Hellin. Mówię o panie Nita Valetta.

Sanderfield wybałuszył oczy.

- Wcale sobie takiej nie przypominam. Pamiętam tylko Marie. Mała czarnulka z paskudnym spojrzeniem w oczach.

- Dziewczyna, o której mówię, była u pana w Grasslawm w czerwcu ubiegłego roku.

- Niestety, mogę powiedzieć tylko tyle, że jej nie pamiętam - stwierdził Sanderfield pośpiesznie. - Zdaje mi się, że Katrina nie miała ze sobą pokojówki. Pan się chyba myli. Herkules Poirot potrząsnął głową. On uważał, że się nie myli.

Marie Hellin obrzuciła Poirota szybkim błyskiem małych inteligentnych oczu i równie szybko odwróciła wzrok.

- Ależ pamiętam doskonale, monsieur - powiedziała spokojnym, gładkim głosem. - Madame Samoushenka zatrudniła mnie w czerwcu zeszłego roku. Jej poprzednia pokojówka nagle wyjechała.

- Czy wie pani coś o powodach jej wyjazdu?

- Wiem tylko tyle, że wyjechała całkiem nagle. Może była chora, czy coś w tym rodzaju. Madame nie mówiła.

- Czy dobrze się pani układały stosunki z pracodawczynią?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Miała napady humorów. Na zmianę płakała albo się śmiała. Czasami była taka przybita, że nic nie jadła i nie odzywała się ani słowem. A znów innym razem roznosiła ją radość. One już takie są, te tancerki. To temperament.

- A sir George?

Dziewczyna żwawo podniosła wzrok. W jej oczach pojawił się nieprzyjemny błysk.

- A, sir George Sanderfield? Chciałby się pan o nim czegoś dowiedzieć? Może to właśnie o to naprawdę panu chodzi? A moja pani to tylko pretekst? Sir George... o, mogłabym panu opowiedzieć o nim wiele ciekawych rzeczy, na przykład...

- To nie jest konieczne - przerwał jej Poirot.

Z rozdziawionymi ustami wlepiła w niego wzrok. W jej oczach odbijał się gniew i rozczarowanie.

VI

- Ja zawsze twierdzę, Alexis Pavlovitch, że pan wie wszystko.

Herkules Poirot wypowiedział te słowa możliwie najbardziej pochlebny tonem.

Zreflektował się, że ta trzecia praca Herkulesa zmusza go do częstszych podróży i rozmów niż to sobie wyobrażał. Ta drobna sprawa zaginionej pokojówki okazała się jedną z najdłuższych i najtrudniejszych, z jakimi się zetknął. Każda poszlaka po bliższym zbadaniu prowadziła donikąd.

Tego wieczoru sprawa ta zaprowadziła go do restauracji "Samowar" w Paryżu, której właściciel, hrabia Alexis Pavlovitch, szczyił się tym, że wie o wszystkim, co dzieje się w świecie artystycznym.

Teraz pokiwał on głową z zadowoleniem.

- Tak, przyjacielu, ja wiem... ja zawsze wiem. Pytasz, gdzie pojechała mała Samoushenka, ta wyśmienita tancerka? Ech, ta mała była z krwi i kości! - Cmoknął się w czubki palców. - Ten ogień... ten żywioł! Zaszłaby daleko... zostałyby primabaleriną swych czasów... a tu się nagle wszystko kończy... ucieka... na koniec świata... a oni szybko, jakże szybko, zapominają o niej...

- Gdzież więc ona jest? - zapytał Poirot. - W Szwajcarii. W Vagrays les Alpes. Tam, gdzie chronią się ci, których łapie ten suchy kaszel, którzy z dnia na dzień chudną i

chudną. Ona umrze, o tak, umrze! To fatalistka z natury. Umrze, to pewne. Poirot zakaszał, by przerwać ten pełen tragizmu monolog. Chciał uzyskać informacje.

- Nie pamięta pan przypadkiem jej pokojówki? Nazywała się Nita Valetta.
- Valetta? Valetta? Pamiętam, że widziałem raz jej pokojówkę... na dworcu, kiedy odprowadzałem Katrinę na pociąg do Londynu. To była Włoszka z Pizy, dobrze mówię? Tak, jestem pewien, że pochodziła z Pizy.

Herkules Poirot jęknął.

- W takim razie muszę się teraz udać do Pizy.

VII

Herkules Poirot stał na Campo Santo w Pizie, spoglądając na grób. A więc to tutaj kończy się jego śledztwo... tu, na tym skromnym kopcu ziemi, usypanym nad pełną radości istotą, która poruszyła serce i wyobraźnię prostego angielskiego mechanika.

Kto wie, czy to nie najlepsze zakończenie tego dziwnego nagłego romansu? Teraz dziewczyna na zawsze pozostanie w pamięci młodego człowieka taką, jaka była przez te kilka uroczych godzin pewnego czerwcowego dnia. Konflikt odmiennych narodowości, różnych standardów życia, a także zwykłe rozczarowanie - wszystko to zostało wymazane na zawsze.

Herkules Poirot ze smutkiem potrząsnął głową. Myślami wrócił do swojej rozmowy z rodziną Valetta. Do matki, z jej szeroką chłopską twarzą, do pogrążonego w bólu ojca, do ciemnowłosej, zamkniętej w sobie siostry.

- To stało się tak nagle, signor, tak nagle... Chociaż od lat już miała nawroty bóli... Lekarz nie dał nam wyboru, powiedział, że trzeba jej operować wyrostek natychmiast. Zabrał ją do szpitala i... Si, si, umarła pod narkozą. Nigdy nie odzyskała przytomności.

Matka pociągnęła nosem.

- To była taka bystra dziewczyna, nasza Bianca - szepnęła. - To straszne, że musiała umrzeć tak młodo...

"Umarła młodo" - powtórzył w duchu Poirot.

Oto jego odpowiedź dla młodego człowieka, który z takim zaufaniem zwrócił się do niego o pomoc.

Ona nie będzie twoja, przyjacielu. Umarła młodo.

Jego śledztwo zakończyło się - tutaj, gdzie krzywa wieża odcinała się na tle nieba, a pierwsze wiosenne kwiaty zapowiadały nadchodzące życie i radość.

Czyżby to powiew wiosny spowodował, że tak się zbuntował przeciwko temu ostatecznemu rozwiązaniu? A może coś innego? Coś drgnęło w jego myślach, jakieś słowo, "zwrot, imię? Czy sprawa ta nie zakończyła się zbyt łatwo, czy nie zazębiała się zbyt gładko?

Herkules Poirot westchnął. Musi odbyć jeszcze jedną podróż, by pozbyć się resztek wątpliwości. Musi się udać do Vagray les Alpes.

VIII

Tutaj to rzeczywiście jest koniec świata, pomyślał. Te pokłady śniegu, te rozproszone tu i tam chatki i budki, a w każdej z nich leżący bez ruchu człowiek, borykający się ze zdradziecką śmiercią.

A więc nareszcie dotarł do Katriny Samoushenka. Kiedy ją ujrzał, jak leży z zapadniętymi policzkami, na których widać było jaskrawoczerwone plamy, i z długimi, chudymi wycieńczonymi rękami spoczywającymi na kołdrze, coś drgnęło mu

w pamięci. Nie zapamiętał jej nazwiska, ale widział, jak tańczyła... porwała go i oczarowała swym kunsztem, który każe zapomnieć o zwykłej sztuce. Przypomnił sobie Michalea Novgina, Myśliwego, skaczącego i wykonującego piruety w niesamowitym, fantastycznym lesie powstałym w mózgu Ambrose'a Vandela. Przypomnił też sobie śliczną latającą Łanię, wiecznie tropioną, wiecznie pożądaną... piękną złocistą istotę z porożem na głowie i błyszczącymi stopami z brązu. Pamiętał jej finałowy upadek, strzał i ranę, i oszołomionego Michaela Novgina, trzymającego w ramionach ciało martwej Łani.

Katrina Samoushenka przyglądała mu się ze zdziwieniem.

- My się chyba nie znamy, prawda? - powiedziała. - Czego pan chce ode mnie?

Herkules Poirot skłonił się lekko.

- Przede wszystkim chcę pani podziękować za pani kunszt, dzięki któremu przeżyłem raz wspaniały wieczór.

Uśmiechnęła się słabo.

- Ale sprowadził mnie tu także mój zawód. Już od dłuższego czasu szukam pani pokojówki... na imię miała Nita.

Wpatrywała się w niego. W jej wielkich oczach malowało się zaskoczenie.

- Nita... co pan o niej wie?

- Opowiem pani.

Opowiedział jej o dniu, w którym zepsuł się jego samochód, i o Tedzie Williamsonie, miętoszającym czapkę w dłoniach i wyrzucającym z siebie całą swą miłość i cierpienie. Słuchała bardzo uważnie.

Kiedy skończył, odezwała się:

- To wzruszająca historia... o tak, bardzo wzruszająca...

Herkules Poirot pokiwał głową.

- Owszem - przyznał. - Historia rodem z Arkadii, czyż nie? Co może mi pani powiedzieć o tej dziewczynie?

Katrina Samoushenka westchnęła.

- Miałam pokojówkę... nazywała się Juanita. Uroczą dziewczyną... pogodną i radosną.

Przytrafiło jej się to, co często zdarza się wybrańcom Logów. Umarła młodo.

Były to własne słowa Poirota - słowa ostateczne, nieodwołalne. Teraz znów je usłyszał. A mimo to nie dawał za wygraną.

- Ona nie żyje? - zapytał.

- Tak, nie żyje.

Herkules Poirot milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- A jednak czegoś tu nie rozumiem. Kiedy zapytałem o pani pokojówkę sir George'a Sanderfielda, jakby się przestraszył. Dlaczego?

Cień niesmaku przemknął przez twarz tancerki.

- Powiedział pan "o moją pokojówkę". On myślał, że chodzi panu o Marie... o dziewczynę, która pracowała u mnie po Juanicie. Jak mi się zdaje, próbowała go szantażować czymś, czego się o nim dowiedziała. To była wstrętna dziewczyna... wścibska, wiecznie grzebała w listach i zamkniętych szufladach.

- To wszystko wyjaśnia - mruknął detektyw. Zamilkł na chwilę, po czym ciągnął równie natarczywym tonem: - Juanita miała na nazwisko Valetta i umarła na stole operacyjnym w Pizie przy wycinaniu wyrostka. Zgadza się?

Zauważył, że tancerka zawahała się ledwie dostrzegalnie, zanim skinęła głową.

- Tak, to prawda.

- A jednak pozostaje pewien drobiazg - mruknął Poirot z zadumą. - Rodzina nazywała ją Bianca, a nie Juanita.

Katrina wzruszyła ramionami.

- Bianca, Juanita, czy to ważne? Myślę, że naprawdę nazywała się Bianca, ale pewnie

uważała, że Juanita brzmi bardziej romantycznie, więc wybrała sobie to imię.

- Tak pani myśli? - Poirot przerwał, a po chwili dorzucił zupełnie innym tonem: - A ja sądzę, że jest jeszcze inne wyjaśnienie.

- Jakie?

Detektyw pochylił się.

- Ted Williamson powiedział, że dziewczyna, którą widział, miała włosy jak złote skrzydła.

Pochylił się jeszcze bardziej, muskając palcami faliste loki Katriny.

- Złote skrzydła, złote poroże? Zależy, jak na to patrzeć, czy ktoś widzi w pani anioła, czy diabła? Może być pani jednym lub drugim. A może to tylko złote poroże rannej łani?

- Ranna łania... - mruknęła Katrina głosem kogoś, kto stracił już resztki nadziei.

- Przez cały czas opis Teda Williamsona nie dawał mi spokoju - powiedział Poirot. -

Coś mi przypominał... panią, tańczącą w lesie i błyskającą stopami z brązu. Czy mam pani powiedzieć, co myślę, mademoiselle? Otóż myślę, że pewnego razu pojechała pani do Grasslawn, bez pokojówki, ponieważ Bianca Valetta wróciła do Italii, a pani nie znalazła jeszcze nowej dziewczyny. Czuli już pani nadciągającą chorobę i tego dnia, kiedy wszyscy wybrali się na całodzienną wycieczkę po rzece, została pani w domu sama. Ktoś zadzwonił do drzwi, pani otworzyła, i ujrzała... mam powiedzieć, co pani ujrzała? Młodzieńca, naiwnego jak dziecko i pięknego jak bóg! Więc wymyśliła pani dla niego dziewczynę - dziewczynę imieniem Incoghita, nie Juanita - i przez kilka godzin spacerowała z nim pani w Arkadii...

Nastąpiła dłuższa cisza, aż wreszcie Katrina odezwała się słabym, ochryplym głosem:

- Przynajmniej w jednym panu nie skłamałam. Podałam panu prawdziwe zakończenie tej historii. Nita umrze młodo.

- Ah, non - Herkules Poirot zupełnie się odmienił. Uderzył dłonią w stół. Stał się nagle prozaiczny i praktyczny. - To niepotrzebne! Pani nie umrze. Chyba potrafi pani walczyć o swoje życie nie gorzej od innych?

Potrząsnęła głową... smutno, beznadziejnie...

- A cóż ja mam za życie przed sobą?

- Nie życie na scenie, ma się rozumieć! Ale niech pani pomyśli, że życie nie kończy się w teatrze. Proszę mi powiedzieć, mademoiselle, ale szczerze - czy pani ojciec rzeczywiście był księciem, czy choćby generałem?

Roześmiała się.

- Był kierowcą ciężarówki w Leningradzie!

- Znakomicie! Dlaczego więc nie miałyby pani zostać żoną wiejskiego mechanika samochodowego? Mieć dzieci piękne jak bogowie, które będą tańczyć tak, jak pani niegdyś tańczyła?

Katrinie zaparło dech.

- Ależ to czysta fantazja!

- A jednak - oświadczył Herkules Poirot z satysfakcją w głosie - wierzę, że tak się stanie!

DZIK Z ERYMANTU

I

Korzystając z tego, że trzecia praca Herkulesa zaprowadziła go do Szwajcarii, Herkules Poirot postanowił zwiedzić okolice, których dotychczas nie poznał. Spędził kilka miłych dni w Chamonix, dzień czy dwa przebywał w Montreux, a następnie wybrał się do Aldermatt - miejscowości, którą zachwalało wielu jego znajomych.

Aldermatt wywarło na nim jednak niemiłe wrażenie. To położone na samym dnie doliny miasteczko ze wszystkich stron zamykały zwałiste, pokryte wiecznym śniegiem góry. Na przekór zdrowemu rozsądkowi Poirot czuł, że trudno mu jest oddychać.

- Wykluczone, żebym tu został - powiedział do siebie. W tej samej chwili zauważył kolejkę linową. - Stanowczo muszę do niej wsiąść.

Dowiedział się, że kolejka jedzie do Les Avines, następnie do Caurouchet, aż wreszcie kończy bieg w Rochers Neiges, dziesięć tysięcy stóp nad poziomem morza. Poirot nie zamierzał jechać tak wysoko. Uznał, że jak na jego potrzeby Les Avines będzie w sam raz.

Nie wziął jednak pod uwagę elementu przypadku, który odgrywa w życiu tak istotną rolę. Zaledwie kolejka ruszyła, do Poirota podszedł konduktor. Dokładnie sprawdził jego bilet, skasował go dziurkaczem o dość przerażającym wyglądzie i zwrócił go, kłaniając się lekko. Jednocześnie Poirot poczuł, że wraz z biletem, konduktor wsuwa mu w dłoń mały zwitek papieru.

Brwi Herkulesa Poirot powędrowały w górę. Wkrótce, bez pośpiechu, detektyw rozwinął kartkę. Okazało się, że to pośpiesznie skreślony ołówkiem list.

Nie sposób - brzmiała treść - pomylić tych wąsów! Witam pana, drogi kolego. Jeśli pan tylko zechce, może mi się pan bardzo przydać. Nic wątpię, że czyta! pan o sprawie Salleya? Zabójca - Marrascaud - ma się podobno spotkać z członkami swojej bandy w Rochers Neiges... jakby już nie znał lepszych miejsc! Oczywiście, wszystko to może okazać się błagą, choć nasze informacje są raczej wiarygodne... zawsze znajdzie się jakiś donosiciel, czyż nie? Niech więc pan trzyma oczy otwarte, przyjacielu. Proszę się skontaktować z inspektorem Drouet, który już jest na miejscu. To bardzo zdolny detektyw - ale daleko mu do błyskotliwości Herkulesa Poirot. Zależy nam, przyjacielu, żeby Marrascaud został ujęty... i to żywcem. To nie jest człowiek, raczej dzik... jeden z najbardziej niebezpiecznych morderców naszych czasów. Wolałem nie ryzykować rozmowy z panem w Aldermatt, gdyż mogli mnie obserwować, a uchodząc za zwykłego turystę, będzie pan miał wolniejszą rękę. Owocnych łowów! Pański stary przyjaciel

Lementeuil

Herkules Poirot w zamyśleniu gładził wąsa. Tak, to prawda, że nie sposób pomylić wąsów Herkulesa Poirot. Ale o co tu chodzi? Czytał w gazetach o l'affaire Salley - morderstwie popełnionym z zimną krwią na znanym paryskim bukmacherze.

Wiedziano, kim jest morderca. Marrascaud był członkiem dobrze znanej bandy działającej na wyścigach. Podejrzewano go o wiele innych zabójstw - ale tym razem jego winę udowodniono ponad wszelką wątpliwość. Uciekł jednak, jak sądzono za granicę, i poszukiwała go policja wszystkich krajów Europy. A więc Marrascaud planował spotkanie w Rochers Neiges...

Herkules Poirot powoli potrząsnął głową. Był zdziwiony. Rochers Neiges leży powyżej granicy wiecznych śniegów. Jest tam hotel, ale jego jedyne połączenie ze światem to kolejka linowa, jako że stoi on na długiej, wąskiej półce skalnej, wiszącej nad doliną. Hotel otwierano w czerwcu, lecz aż do lipca i sierpnia mało kto tam przyjeżdżał. Brakowało mu zapasowych wejść i wyjść - ktoś, kogo by tam wytropiono, znalazłby się w pułapce. Jak na spotkanie bandy przestępców, miejsce to wydawało się wręcz absurdalne.

A jednak, skoro Lementeuil twierdził, że jego informacje są wiarygodne, to prawdopodobnie miał rację. Herkules Poirot żywił głęboki szacunek do szwajcarskiego komisarza policji. Wiedział, że jest to człowiek mądry, na którym można polegać.

Nieznane bliżej powody kazały Marrascaudowi stawić się na spotkanie w tym

oderwanym od cywilizacji miejscu. Herkules Poirot westchnął. Ściganie bezlitosnego mordercy dalekie było od tego, co uważał za przyjemne spędzanie wolnego czasu. Zreflektował się, że wysilanie umysłu z głębin fotela to coś bardziej w jego stylu niż zastawianie w górach sideł na dzika.

Dzik - właśnie tego określenia użył Lementeuil. Niewątpliwie dziwny to zbieg okoliczności...

- Czwarta praca Herkulesa - powiedział sobie w duchu. - Dzik z Erymantu.

Spokojnie, nieostentacyjnie, obrzucił baczny wzrokiem współpasażerów.

Naprzeciwko niego siedział amerykański turysta. Jego ubranie, płaszcz, walizeczka, aż po pełną nadziei przyjaźń do otoczenia i naiwny podziw dla krajobrazu, a nawet przewodnik w ręku, wszystko to zdradzało go i obwieszczało, że oto Amerykanin z prowincji po raz pierwszy zwiedza Europę. Poirot osądził, że lada chwila spróbuje nawiązać rozmowę - pełen smutku, psi wyraz jego twarzy świadczył o tym nieomylnie.

Po drugiej stronie wagonika wysoki dystygowany mężczyzna o szpakowatych włosach i wydatnym nosie czytał niemiecką książkę. Miał silne, ruchliwe palce muzyka lub chirurga.

Za nim siedzieli trzej mężczyźni, wszyscy w tym samym typie. Mieli krzywe nogi i otaczała ich trudna do sprecyzowania atmosfera koniarzy. Grali w karty. Wkrótce zaproszą pewnie kogoś z obcych do wspólnej gry. Początkowo nieznajomy będzie wygrywał, lecz szczęście szybko odwróci się od niego.

Ci trzej nie wyróżniali się niczym niezwykłym, niezwykle było natomiast miejsce, w którym się znajdowali.

Można by się ich spodziewać w każdym pociągu kursującym na wyścigi lub też na jakimś skromniejszym statku, pasażerskim. Ale w niemal pustej kolejce linowej - nie! W wagoniku znajdowała się jeszcze jedna osoba - kobieta. Była wysoka, miała ciemne włosy i piękną twarz, która mogłaby wyrazić całą gamę uczuć - ale która zastygła teraz w dziwną, wypraną z wszelkiego wyrazu maskę. Nie patrzyła na nikogo, wyglądając przez okno na dolinę.

Zgodnie z przewidywaniami Poirota, Amerykanin wkrótce nawiązał rozmowę.

Powiedział, że nazywa się Schwartz. To jego pierwsza podróż do Europy. Sceneria jest absolutnie wspaniała. Głębokie wrażenie zrobił na nim zamek w Chillon. O Paryżu nie jest zbyt dobrego zdania - stanowczo przereklamowany. Był w Folies Bergeres, w Luwrze i w katedrze Notre Dame. Stwierdził, że w żadnej restauracji i kawiarni nie potrafią grać hot jazzu jak należy. Champs Elysees są jego zdaniem całkiem niezłe, podobają mu się fontanny, zwłaszcza oświetlone.

W Les Avines ani w Caurouchet nikt nie wysiadł. Było jasne, że wszyscy jadą do Rochers Neiges.

Pan Schwartz wyjaśnił powody, dla których się tam udaje. Powiedział, że zawsze chciał znaleźć się wysoko, wśród zaśnieżonych gór. Dziesięć tysięcy stóp to już wcale niezłe - słyszał, że na takiej wysokości nie da się nawet ugotować jajka jak należy.

W naiwnej prostoduszności pan Schwartz spróbował wciągnąć w rozmowę wysokiego szpakowatego mężczyznę siedzącego po drugiej stronie, wagoniku, lecz ten zmierzył go tylko zimnym spojrzeniem sponad pince-nez i wrócił do czytania książki.

Pan Schwartz zaproponował więc ciemnowłosej damie, żeby zamienili się miejscami. Wyjaśnił, że będzie miała lepszy widok.

Wątpliwe, czy znała angielski. W każdym razie potrząsnęła tylko głową i jeszcze bardziej wtuliła się w futrzany kołnierz płaszcza.

- Nie wiem, czy to dobrze, żeby kobieta podróżowała samotnie, bez kogoś, kto by się nią zajął - mruknął pan Schwartz do Poirota. - Kobieta w podróży wymaga nieustannej opieki.

Mając dobrze w pamięci niektóre Amerykanki spotkane na kontynencie, Herkules Poirot przyznał mu rację. Pan Schwartz westchnął. Świat był dla niego tak niezyczliwy. A przecież, mówiły jego brązowe oczy, trochę zyczliwości w życiu nikomu chyba nie zaszkodzi?

II

Kierownik hotelu witający gości w surducie i lakierkach na tym końcu, czy raczej szczyście świata wydawał się czymś zgoła niedorzecznym.

Był to wysoki, przystojny mężczyzna o dystygowanych manierach. Kajał się i przepraszał.

Tak wcześnie, dopiero początek sezonu... Nie ma gorącej wody... Nic jeszcze nie jest przygotowane jak należy... Naturalnie, uczyni wszystko, co w jego mocy... personel jeszcze nie jest skompletowany... Właściwie to niespodziewane przybycie tak licznych gości zaskoczyło go...

Wszystko to wyrzucał z siebie z zawodową uprzejmością, a jednak Poirotowi wydawało się, że za fasadą uprzejmości dostrzega wyraźne oznaki niepokoju.

Pomimo całej swobody, kierownik swobodny nie był. Martwił się czymś.

Obiad podano w wielkiej sali z widokiem na dolinę. Samotny kelner imieniem

Gustave był fachowy i zręczny. Krążył po Sali, doradzając wybór menu i

błyskawicznym ruchem podsuwając gościom kartę win. Trzej koniarze siedzieli

razem przy jednym stoliku. Rozmawiali po francusku, wybuchając głośnym śmiechem.

- Cały Joseph!... A co się dzieje z tą malutką Denise, mon vieux?... A pamiętasz, jak ta przekłeta świnia, nie koń, wystawiła nas do wiatru w Auteuil?

Wszystko to było bardzo szczere, bardzo w ich stylu... i rażąco nie na miejscu!

Kobieta o pięknej twarzy siedziała samotnie przy stoliku w rogu sali. Nie spojrzała na nikogo.

Po obiedzie, kiedy Poirot siedział w holu, kierownik hotelu podszedł do niego i zaczął się zwierzać. Monsieur nie powinien oceniać hotelu zbyt surowo. To dlatego, że jeszcze nie sezon. Przed końcem lipca nikt tu nie przyjeżdża. Ta dama - monsieur pewnie ją zauważył? - otóż ona co roku przyjeżdża tu o tej samej porze. Jej mąż trzy lata temu zginął podczas wspinaczki. Bardzo to było smutne. Tacy byli do siebie przywiązani. Ona przyjeżdża tu zawsze przed nadejściem sezonu... żeby mieć spokój. To jej święta pielgrzymka. A ten starszy pan to sławny lekarz, doktor Karl Lutz z Wiednia. Powiedział, że przyjechał tu dla spokoju i wypoczynku.

- To prawda, spokojnie tu - przyznał Herkules Poirot.

- A ci panowie? - Wskazał na trzech koniarzy. - Czy oni też przyjechali dla wypoczynku, jak pan myśli?

Kierownik wzruszył ramionami. W jego oczach znów pojawił się wyraz zatroskania.

- Ach, ci turyści, oni wciąż szukają nowych wrażeń - powiedział wymijająco. - Wysokość... już samo to jest dla nich przeżyciem.

Zdaniem Poirota, nie było to przeżycie zbyt przyjemne. Przez cały czas zdawał sobie sprawę, że jego serce bije w przyspieszonym rytmie. W głowie kołatała mu się dziecięca wyliczanka:

Gdzieś wysoko ponad światem,
wywijając wielkim batem...

Do holu wszedł Schwartz. Na widok Poirota jego oczy rozbłysły. Natychmiast ruszył ku niemu.

- Rozmawiałem z tym lekarzem. Jako tako mówi po angielsku. To Żyd, hitlerowcy wypędzili go z Austrii. Wie pan, myślę, że oni mają nie po kolei w głowie. Ten doktor

Lutz to, zdaje się, nie byle kto... specjalista od nerwów, psychoanalizy, czy czegoś takiego.

Jego wzrok powędrował do stolika, przy którym wysoka kobieta siedziała spoglądając przez okno na bezlitosne góry. Ściszył głos.

- Kelner podał mi jej nazwisko. Nazywa się madame Grandier. Jej mąż zginął podczas wspinaczki. To dlatego tu przyjeżdża. Nie wiem, jak pan, ale mam wrażenie, że powinniśmy jakoś temu zaradzić... oderwać ją od własnych myśli...

- Na pańskim miejscu nie próbowałbym tego - powiedział Herkules Poirot.

Jednak życzliwość Schwartza dla świata była niespożyta.

Poirot zobaczył, jak próbuje nawiązać rozmowę i jak kobieta bezlitośnie odprawia go z kwitkiem. Przez chwile tych dwoje stało obok siebie, odcinając się na tle nieba.

Kobieta była wyższa od Amerykanina. Stała z odrzuconą do tyłu głową i zimnym, nieprzystępnym wyrazem twarzy.

Poirot nie słyszał, co powiedziała, lecz Schwartz wrócił wyraźnie przybity.

- Nic z tego - powiedział. - Skoro już jednak jesteśmy ludźmi - dorzucił w zadumie - to nie widzę powodu, żeby nie odnosić się do siebie po ludzku. Nie sądzi pan, panie... a wie pan, że nie znam jeszcze pańskiego nazwiska?

- Nazywam się Poirier - odrzekł Poirot. - Jestem fabrykantem jedwabiu z Lyonu.

- Proszę przyjąć moją wizytówkę, panie Poirier, a jeżeli kiedykolwiek zawita pan do Fountain Springs, będzie pan mile widziany.

Poirot wziął wizytówkę, włożył rękę do kieszeni i mruknął:

- Niestety, nie mam przy sobie wizytówki...

Wieczorem, przed pójściem spać, Poirot jeszcze raz przeczytał dokładnie list od Lementeuila, po czym złożył go starannie i schował do portfela. Wchodząc do łóżka, powiedział cicho:

- To dziwne... tak się zastanawiam...

III

Gustave, kelner, przyniósł Poirotowi śniadanie składające się z kawy i bułeczek.

Przeproszał z powodu kawy.

- Monsieur rozumie chyba, że na takich wysokościach nie można podać kawy odpowiednio gorącej. Przykre to, ale zbyt szybko zaczyna się gotować.

- Trzeba mężnie znosić kaprysy natury - oświadczył Poirot.

- Z pana jest prawdziwy filozof - zauważył cicho Gustave.

Skierował się do drzwi, lecz zamiast wyjść z pokoju, rozejrzał się szybko w korytarzu, zamknął drzwi z powrotem i wrócił do detektywa.

- Pan Herkules Poirot? - zapytał. - Jestem Drouet, inspektor policji.

- Tak myślałem - bąknął detektyw. Drouet ściszył głos.

- Panie Poirot, stało się coś bardzo niepokojącego. Wypadek na kolejce!

- Wypadek? - Poirot usiadł w łóżku. - Jaki wypadek?

- Obeszło się bez ofiar. To się stało w nocy. Może były to siły natury... niewielka lawina, która porwała kamienie i skały. Ale jest też możliwe, że ktoś przyłożył do tego rękę. Nie wiadomo. Tak czy inaczej, naprawa potrwa wiele dni, a przez ten czas jesteśmy odcięci od świata. Na początku sezonu, kiedy śnieg jeszcze zalega, nie sposób porozumieć się z doliną.

Herkules Poirot usiadł.

- To bardzo ciekawe - powiedział cicho. Inspektor pokiwał głową.

- Tak. Dowodzi to, że informacje naszego komisarza były prawdziwe. Marrascaud ma się tu z kimś spotkać, więc dopilnował, żeby mu w tym nikt nie przeszkadzał.

- Ależ to absurd! - zawołał detektyw.

- Zgadzą się z panem. - Inspektor Drouet rozłożył ręce. - Klóci się to ze zdrowym rozsądkiem, ale tak jest. Ten Marrascaud to niesłychany osobnik. Ja osobiście - skinął głową - uważam, że jest szalony.

- Szaleniec i morderca! - powiedział Poirot.

- Przyznaję, że to mało zabawne - stwierdził sucho

Drouet.

- Ale jeżeli Marrascaud umówił się tutaj, na tej zasypanej śniegiem skalnej półce, to znaczy, że on sam już tu jest, skoro odcięto połączenie ze światem - rzekł powoli detektyw.

- Wiem - powiedział Drouet spokojnie.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeli. Nagle Poirot zapytał: - A doktor Lutz? Czy możliwe, że to Marrascaud?

Drouet potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Doktor Lutz istnieje naprawdę, widziałem, jego zdjęcia w prasie. To znany, wybitny lekarz. Ten tutaj jest bardzo podobny do tych fotografii.

- Jeżeli Marrascaud jest artystą kamuflażu, to z powodzeniem mógłby odegrać jego rolę.

- Tak, ale czy jest nim istotnie? Nigdy nie słyszałem, żeby to była jego specjalność. Brak mu chytrłości i przebiegłości węża. To dzik... okrutny, straszliwy, szarżujący na oślepek dzik.

- A jednak... - bąknął Poirot.

- Zgoda, on ucieka przed sprawiedliwością - wtrącił szybko Drouet. - Zmuszony jest się ukrywać. Wobec tego może - a nawet musi - występować w przebraniu.

- Czy ma pan jego rysopis? Inspektor wzruszył ramionami. - Tylko powierzchowny.

Oficjalną fotografię śledczą i szczegółowe dane miałem otrzymać właśnie dzisiaj.

Wiem tylko, że ma trzydzieści kilka lat, wzrost powyżej przeciętnej i ciemną cerę.

Znaków szczególnych brak.

Poirot wzruszył ramionami.

- To może się odnosić do każdego. A co z tym Amerykaninem, Schwartzem?

- Właśnie miałem pana o to zapytać. Rozmawiał pan z nim, a zdaje się, że spędził pan dużo czasu w towarzystwie Anglików i Amerykanów. Na pierwszy rzut oka wygląda na zwykłego amerykańskiego turystę. Paszport ma w porządku. Może się wprawdzie wydawać dziwne, że przyjechał akurat tutaj... ale amerykańscy turyści są nieobliczalni. Co pan o tym myśli?

Herkules Poirot niezdecydowanie potrząsnął głową.

- W każdym razie wydaje się, że jest nieszkodliwy, może tylko trochę zbyt towarzyski. Zapewne nudziarz, ale trudno przypuszczać, żeby był niebezpieczny. Są tu jednak inni goście - dorzucił po chwili.

Inspektor gorliwie pokiwał głową.

- Właśnie, i są w typie tych, których szukamy. Dałbym głowę, panie Poirot, że to członkowie bandy Marrascauda. To typowi przestępcy grasujący na wyścigach, jeżeli kiedykolwiek widziałem takich na oczy! Kto wie, czy jednym z nich nie jest sam Marrascaud?

Herkules Poirot zamyślił się. Przypomniawszy sobie twarze tych trzech ludzi.

Jeden z nich miał szeroką twarz o wysuniętym czole i grubych szczękach - twarz zwierzęcia. Drugi był szczupły i smukły, o wąskiej, przebiegłej twarzy i zimnych oczach. Trzeci miał ziemista cerę i wygląd strojnisia.

Owszem, jeden z nich mógł być Marrascaudem, lecz jeśli tak, to nieodparcie nasuwało się pytanie: dlaczego?

Dlaczego Marrascaud podróżował razem z dwoma członkami swojej bandy i dał się zwabić w te góry jak mysz w pułapkę? Bez wątplenia mogli się umówić na spotkanie

w bezpieczniejszym, nie tak fantastycznym miejscu - w kawiarni, na dworcu, w zatłoczonym kinie, w parku... wszędzie tam, gdzie istnieje wiele dróg ucieczki, a nie tutaj, w tej śnieżnej głuszy wysoko ponad światem. Spróbował przekazać część z tego inspektorowi Drouet, który ochoczo przyznał mu rację.

- Ależ tak, to fantastyczny pomysł, zupełnie bez sensu.

- Jeżeli mieli się tu spotkać, to dlaczego podróżowali razem? Rzeczywiście, to całkiem bez sensu.

- W takim razie należy rozważyć drugą możliwość - stwierdził Drouet z zatroskaną twarzą. - Ci trzej to członkowie bandy Marrascauda, którzy przyjechali tu, by się z nim spotkać. Wobec tego, kto jest Marrascaudem?

- A co z personelem hotelu?

Drouet wzruszył ramionami.

- O personelu nie ma nawet co mówić. Jest tu staruszka, która gotuje, i jej mąż Jacques, też staruszek... pracują tu pewnie z pół wieku. Do tego był kelner, którego miejsce zająłem, i to wszyscy.

- Kierownik oczywiście wie, kim pan jest?

- Naturalnie. Jego współpraca była konieczna.

- Czy nie odniósł pan wrażenia że on się czymś martwi? - zapytał Poirot.

Zdawało się, że uwaga ta zrobiła wrażenie na inspektorze.

- Tak, to prawda - odparł zamyślony.

- Może on boi się tylko dlatego, że nie chce mieć do czynienia z policją?

- Ale pan myśli, że jest w tym coś więcej? Myśli pan, że on może... coś wiedzieć? - Tak mi to tylko przyszło do głowy.

- Czy ja wiem? - bąknął posepnie Drouet. Po chwili dorzucił: - Myśli pan, że uda się z niego coś wyciągnąć?

Detektyw potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Moim zdaniem lepiej nie dać mu poznać, że go podejrzewamy. Niech pan ma na niego oko, to wszystko.

Drouet skinął głową i ruszył do drzwi.

- Nie ma pan żadnych pomysłów, panie Poirot? Znam pańską reputację. U nas też było o panu słyhać.

- W tej chwili niczego nie chciałbym sugerować - odrzekł Poirot z wahaniem. - Wciąż nie rozumiem powodu... powodu, dla którego ktoś chciałby się spotykać w takim miejscu. Na dobrą sprawę w ogóle nie rozumiem powodu ich spotkania.

- Pieniądze - wyjaśnił zwięźle Drouet.

- A więc ten biedny Salley został także okradziony?

- Tak, miał przy sobie znaczną sumę pieniędzy, która zniknęła.

- I sądzi pan, że spotkanie ma na celu podział łupu?

- To najlepsze wytłumaczenie.

Detektyw z niezadowoleniem potrząsnął głową.

- Tak, ale dlaczego akurat tutaj? To najgorsze z możliwych miejsc na spotkanie przestępców. Za to w takim miejscu, jak to, można by się umówić z kobietą...

Drouet z zapalem zrobił krok w przód.

- Myśli pan...? - rzucił z podnieceniem.

- Myślę, że madame Grandier to bardzo piękna kobieta - powiedział Poirot. - Myślę, że dla niej każdy mężczyzna wspiałby się na wysokość dziesięciu tysięcy stóp... oczywiście gdyby mu to zaproponowała.

- Wie pan, że to interesujące - rzekł Drouet. - Nigdy jakoś nie łączyłem jej z tą sprawą. W końcu przyjeżdża tu co rok od kilku lat.

- Tak... i właśnie dlatego jej obecność tutaj nie wywołałaby żadnych komentarzy - oświadczył Poirot. - Mógłby to być powód, nie sądzi pan, żeby na miejsce spotkanie

wybrać akurat Rochers Neiges?

- To jest myśl, panie Poirot - powiedział Drouet z ożywieniem. - Przyjrzę się całej sprawie od tej strony.

IV

Dzień minął bez szczególnych wydarzeń. Na całe szczęście hotel był dobrze zaopatrzony. Kierownik wyjaśnił, że nie ma powodu do obaw. Prowiantu nie brakowało.

Herkules Poirot spróbował nawiązać rozmowę z doktorem Lutzem, ale bez skutku. Lekarz jasno dał mu do zrozumienia, że psychologia interesuje go od strony zawodowej, więc nie ma zamiaru dyskutować o niej z laikiem. Siedział w kącie, zatopiony w opasłym niemieckim tpmisku o podświadomości, co chwila robiąc liczne notatki i przypisy.

Herkules Poirot wyszedł na dwór i spacerując bez widocznego celu, zawędrował w okolice kuchni. Spróbował wdać się w rozmowę ze starym Jacquesem, lecz ten był gburowaty i podejrzliwy. Jego żona, kucharka, okazała się bardziej przystępna. Na szczęście mają spory zapas żywności w puszkach - wyjaśniła Poirotowi. Ale ona konserw nie uznaje. Paskudnie drogie, a w dodatku czy można się czymś takim najeść? Dobry Pan Bóg nigdy nie miał zamiaru karmić ludzi konserwami.

Rozmowa zeszała na temat personelu hotelowego. Na początku lipca zjeżdżają pokojówki i dodatkowi kelnerzy. Ale przez najbliższe trzy tygodnie prawie nikt nie przyjedzie, tylko turyści, którzy zjadają tu obiad i zaraz wracają na dół. Ona, Jacques i jeden kelner radzą sobie z tym doskonale.

- Zanim przyjechał Gustave, był tu już chyba jakiś kelner, prawda? - zapytał Poirot.

- Tak, rzeczywiście, ale był do niczego. Nic miał wprawy, doświadczenia - żadna klasa.

- Długo tu pracował, zanim Gustave go zastąpił?

- Tylko kilka dni, niecały tydzień. Zwolniono go, oczywiście. Wcale nas to nie zaskoczyło. Musiało do tego dojść.

- I nie skarżył się z tego powodu?

- Nie, skąd, wyjechał całkiem spokojnie. W końcu czego mógł się spodziewać? To hotel wysokiej klasy. Tu się wymaga odpowiedniej obsługi.

Poirot pokiwał głową.

- Dokąd pojechał?

- Zaczy się, ten Robert? - Wzruszyła ramionami. - Pewnie wrócił do tej obskurnej kawiarni, z której przyjechał.

- Wyjechał stąd kolejką?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Jakżeby inaczej, monsieur. Czy jest stąd inna droga?

- A czy ktoś go odprowadził? - zapytał Poirot.

Oboje wlepili w niego wzrok.

- Też coś, uważa pan, że ktoś by odprowadzał takiego nicponia... może jeszcze wyprawił mu uroczyste pożegnanie? Ma się swoje własne sprawy na głowie.

- No właśnie - rzekł Herkules Poirot.

Odszedł powoli, spoglądając w górę na budynek hotelu. Było to wielkie gmazyszko, w którym na razie otwarte było tylko jedno skrzydło. W pozostałych skrzydłach było wiele pokoi, zamkniętych na cztery spusty, do których zapewne nikt nie zaglądał...

Doszedł do rogu hotelu i niemal zderzył się z jednym z trójki karciarzy. Był to ten o ziemistej cerze i bladych oczach, którymi spojrzał na Poirota bez wyrazu.

Rozchylił nieco wargi, ukazując zęby jak narowisty koń.

Poirot minął go i ujrzał przed sobą wysoką, zgrabną postać - madame Grandier. Przyspieszył kroku i zrównał się z nią.

- Przykra sprawa, ten wypadek z kolejką - odezwał się. - Mam nadzieję, madame, że pani plany na tym nie ucierpią?

- Jest mi to obojętne - odparła. Miała bardzo głęboki głos - pełny kontralt. Nie spojrziała nawet na Poirota, lecz skręciła w bok i małymi bocznymi drzwiami weszła do hotelu.

Herkules Poirot wcześniej położył się spać. Obudził się krótko po północy.

Ktoś majstrował przy zamku w jego drzwiach.

Usiadł na łóżku i zapalił światło. W tej samej chwili zamek ustąpił, drzwi się otworzyły i stanęli w nich trzej mężczyźni - trzej karciarze. Są nieco wstawieni, pomyślał Poirot. Ich twarze miały głupkowaty, a zarazem wrogi wyraz. Ujrzał błysk ostrza brzytwy.

Wysoki, barczysty mężczyzna zbliżył się do niego.

- Przeklęta świni! - warknął.

Wybuchnął stekiem wyzwisk. Wszyscy trzej złowróżbnie zbliżyli się do bezbronnego człowieka w łóżku. - Potniemy go trochę, co chłopaki? Poszerzymy uśmiech panu detektywowi. Nie będzie dziś pierwszy.

Podchodzili do niego powoli, zdecydowanie, ostrza brzytew błyszcząły...

Nagle za nimi odezwał się zaskakujący swym akcentem zza oceanu głos:

- Rączki do góry!

Odwrócili się błyskawicznie. W drzwiach stał Schwartz, ubrany w cudaczną piżamę w jaskrawe pasy. W rękę trzymał pistolet samopowtarzalny.

- Rączki do góry, chłopcy! - powtórzył. - Strzelam nie najgorzej.

Nacisnął spust. Kula świsnęła koło ucha najwyższego z nich i utknęła w drewnianej framudze okna. Trzy pary rąk momentalnie uniosły się w górę.

- Można pana prosić, panie Poirier? - rzekł Schwartz.

Herkules Poirot błyskawicznie wyskoczył z łóżka. Zebrał błyszczące brzytwy i obmacał wszystkich trzech, sprawdzając, czy nie mają innej broni.

- A teraz jazda! - rozkazał Schwartz. - W korytarzu stoi wielka szafa. Okien nie ma. W sam raz dla was.

Wepchnął ich do szafy i zamknął ją na klucz. Odwrócił się do Poirota. Głos łamał mu się z przyjemnego podniecenia.

- No i proszę! Wie pan, panie Poirier, że niektórzy w Fountain Springs śmieli się ze mnie, że wybieram się za granicę z bronią. "Jak ci się zdaje, dokąd jedziesz? - mówili.

- Do dżungli?" Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Widział pan kiedyś takich drani?

- Drogi panie Schwartz, zjawił się pan w samą porę - oświadczył Poirot. - Zupełnie jak na scenie! Jestem panu wielce zobowiązany.

- Drobiazg. Ale co teraz? Powinniśmy tych tutaj przekazać policji, a nie mamy jak tego zrobić. Ot i problem. Może lepiej porozumieć się z kierownikiem?

- Kierownik, tak - bąknął Poirot. - Myślę, że wpiery jednak porozmawiamy z kelnerem... Gustave'em, alias inspektorem Drouet. Ależ tak, kelner Gustave to w rzeczywistości detektyw.

Schwartz wybałuszył oczy.

- A więc, dlatego to zrobili!

- Kto co zrobił?

- Pan zajmował drugie miejsce na liście tych łajdaków. Najpierw pocięli Gustave'a.

- Co takiego?

- Proszę ze mną. Doktor już się nim opiekuje.

Drouet zajmował mały pokój na najwyższym piętrze. Doktor Lutz, w szlafroku,

bandażował właśnie jego twarz.

Kiedy weszli, odwrócił głowę.

- A, to pan, panie Schwartz! Paskudna sprawa. Co za rzeźnicy! Nieludzkie potwory!

Drouet leżał nieruchomo, pojękując.

- Czy to coś groźnego? - zapytał Schwartz.

- Nie umrze, jeśli o to panu chodzi. Ale nie wolno mu mówić... nie należy go denerwować. Opatrzyłem już rany, więc nie grozi mu zakażenie krwi.

Opuścili pokój we trzech.

- Mówił pan, że Gustave to oficer policji? - zwrócił się Schwartz do detektywa.

Herkules Poirot skinął głową.

- Więc co on tu robił?

- Śledził bardzo niebezpiecznego przestępcę.

Poirot w kilku słowach wyjaśnił sytuację.

- Marrascaud? - odezwał się doktor Lutz. - Czytałem o tej sprawie w gazetach. Bardzo bym chciał się z nim spotkać. Musi w nim tkwić coś z gruntu nienormalnego.

Chciałbym wiedzieć, jakie było jego dzieciństwo.

- Ja natomiast chciałbym wiedzieć, gdzie on teraz jest - oświadczył detektyw.

- Czy nie jest on jednym z tych trzech, których właśnie zamknęliśmy w szafie? - zapytał Schwartz.

- Tak, to możliwe... tak - bąknął Poirot z niezadowoleniem. - Ale nie jestem pewien...

Mam pomysł...

Przerwał, wpatrując się w płowego koloru chodnik, na którym widać było ciemne rdzawe plamy.

- Ślady stóp - powiedział. - Moim zdaniem to ślady kogoś, kto wdepnął w krew.

Prowadzą do zamkniętego skrzydła hotelu. Chodźmy, musimy się spieszyć!

Weszli za nim przez drzwi wahadłowe w ciemny, zakurzony korytarz. Idąc śladem stóp skręcili za róg i doszli do uchylonych drzwi.

Poirot otworzył je i wszedł do środka. Wydał przeraźliwy krzyk.

Znajdował się w sypialni. Łóżko było niedawno używane, a na stole stała taca z jedzeniem.

Na środku podłogi leżały zwłoki mężczyzny. Był niewiele ponad średniego wzrostu.

Zaatakowano go z dziką, niewiarygodną wręcz brutalnością. Na jego ramionach i piersiach widniał z tuzin ran, a głowę roztrzaskano mu prawie na miazgę.

Schwartz wydał zduszony jęk i odwrócił się, jak gdyby miał zwymiotować.

Doktor Lutz z przerażeniem krzyknął coś po niemiecku.

- Kto to? - zapytał Schwartz słabym głosem. - Czy ktoś z was wie?

- Wyobrażam sobie, że znano go tu jako Roberta, niezdarne go kelnera - odpowiedział Poirot.

Lutz podszedł do zwłok. Nachylił się i wskazał na coś palcem.

Do piersi zmarłego przypięto kartkę, na której ktoś nabazgrał kilka słów atramentem.

- Marrascaud nie będzie więcej zabijał ani oszukiwał przyjaciół!

- Marrascaud! - wykrzyknął Schwartz. - Więc to jest Marrascaud! Ale co go tu sprowadziło, na takie odludzie? I dlaczego twierdzi pan, że nazywa się Robert?

- On tu występował jako kelner - wyjaśnił Poirot. - I jak twierdzą, był wyjątkowo złym kelnerem. Na tyle złym, że nikt się nie zdziwił, kiedy go wyrzucono. Wyjechał, prawdopodobnie z powrotem do Aldermatt. Ale nikt nie widział jego odjazdu.

- Tak... a pańskim zdaniem, co tu się stało? - odezwał się Lutz powolnym, tubalnym głosem.

- Myślę, że wyjaśnia nam to zamknięty wyraz twarzy kierownika - odparł Poirot. -

Prawdopodobnie Marrascaud zaproponował mu dużą łapówkę w zamian za możliwość ukrywania się w tej nie używanej części hotelu... Ale kierownik nie był

tym zachwycony - dorzucił w zamyśleniu. - Oj, nie był.

- Więc Marrascaud mieszkał w tej nie używanej części hotelu i nikt poza kierownikiem o tym nie wiedział?

- Na to wygląda. Widzi pan, to bardzo możliwe.

- A dlaczego go zabili? - spytał doktor Lutz. - I kto to zrobił?

- To proste - zawołał Schwartz. - Miał się podzielić łupem ze swoją bandą. Ale nie zrobił tego, oszukał ich. Zjawił się na tym odludziu, żeby się na jakiś czas przycząić. Myślał, że to ostatnie miejsce, jakie im przyjdzie do głowy. Ale przeliczył się. Jakimś cudem zwiedzieli się o tym i przyjechali za nim. - Dotknął zwłok czubkiem buta. - I wyrównali z nim rachunki... w taki sposób. - Tak, nie było to spotkanie, jakiego się spodziewaliśmy - mruknął Herkules Poirot.

- Całe to gdybanie jest bardzo interesujące, ale mnie w tej chwili bardziej obchodzi nasza obecna sytuacja - warknął poirytowany doktor Lutz. - Mamy przed sobą trupa. Ja mam na głowie chorego, a brak mi dostatecznej ilości lekarstw. W dodatku jesteście odcięci od świata. Jak długo jeszcze?

- A my mamy trzech morderców zamkniętych w szafie! - dorzucił Schwartz. - Sytuacja, rzekłbym, interesująca.

- Więc co zrobimy? - spytał lekarz.

- W pierwszej kolejności musimy porozmawiać z kierownikiem hotelu - rzekł Poirot.

- To nie przestępca, on tylko był chciwy. Poza tym jest tchórzem. Zrobi wszystko, co mu każemy. Być może dostaniemy od mojego przyjaciela Jacquesa albo od jego żony kawałek sznura. Trzeba znaleźć dla naszych trzech złoczyńców jakieś bezpieczne miejsce, gdzie będziemy ich mogli pilnować, póki nie nadejdzie pomoc. Sądzę, że pistolet Schwartz skutecznie pomoże nam zrealizować wszelkie plany.

- A ja? - zapytał doktor Lutz. - Co ja mam robić?

- Pan, doktorze, zrobi wszystko, co w pańskiej mocy dla dobra pacjenta - odparł Poirot poważnie. - My zaś będziemy bez ustanku czuwać... i czekać. Nic więcej nie możemy zrobić.

VI

Trzy dni później, skoro świt, przed hotelem zameldowało się kilku ludzi. Herkules Poirot osobiście otworzył im frontowe drzwi, zapraszając ich zamaszystym gestem do środka.

- Witaj, mon vienx*.

Monsieur Lementeuil, komisarz policji, serdecznie uściskał dłoń Poirota obiema rękami.

- Przyjacielu, witam pana z prawdziwym wzruszeniem! Cóż za niebywałe wydarzenie... przez co pan musiał przejść! A my tam na dole, zdenerwowani, przerażeni... bez żadnych wieści, wciąż w strachu. Bez radia, bez możliwości nawiązania kontaktu. W tej sytuacji nadanie wiadomości za pomocą heliografu to doprawdy dowód pańskiego geniuszu.

- Ależ nie, nie. - Poirot usiłował zachować skromność. - W końcu gdy zawodzą wynalazki człowieka, można oprzeć się na siłach natury. Słońce zawsze jest na niebie. Cała grupka weszła do hotelu.

- Nikt się nas nie spodziewa? - zapytał Lementeuil z ponurym uśmiechem.

Poirot również się uśmiechnął.

- Oczywiście, że nie! Wszyscy wierzą, że kolejka nieprędko zostanie naprawiona.

- No, to mamy wielki dzień - oświadczył Lementeuil z satysfakcją. - Pańskim zdaniem nie ma żadnych wątpliwości? To naprawdę Marrascaud?

- Tak, to Marrascaud, z całą pewnością. Proszę za mną.

Ruszyli po schodach na górę. Otworzyły się jakieś drzwi i stanął w nich Schwartz w szlafroku. Na widok przybyszów wytrzeszczył oczy.

- Usłyszałem jakieś głosy - wyjaśnił. - Co się dzieje?

- Nadeszła -pomoc - odparł pompatycznie Poirot. - Proszę z nami, monsieur. To wielka chwila.

Wszedł na schody prowadzące na następne piętro.

- Idziecie do Droueta? - spytał Schwartz. - A swoją drogą, co z nim?

- Wczoraj wieczorem doktor Lutz mówił, że nie jest źle.

Stanęli przed drzwiami Droueta. Poirot otworzył je na oścież i oświadczył:

- Panowie, a oto i wasz dzik. Schwytajcie go żywcem i dopilnujcie, żeby nie wywinął się od gilotyny.

Leżący w łóżku mężczyzna z obandażowaną twarzą spróbował się zerwać, lecz nim zdążył się ruszyć, policjanci trzymali go już pod ręce.

- Ależ to Gustave, kelner... to inspektor Drouet! - krzyknął oszołomiony Schwartz.

- To Gustave, owszem... ale nie Drouet. Drouet to był pierwszy kelner, kelner Robert, którego uwięzili w nie używanej części hotelu i którego Marrascaud zabił tej nocy, kiedy napadnięto na mnie.

VII

Przy śniadaniu Poirot spokojnie wyjaśnił sytuację oszołomionemu Amerykaninowi.

- Rozumie pan, są rzeczy, które się wie... wie się na pewno po latach spędzonych w zawodzie. Potrafi się na przykład odróżnić detektywa od mordercy! Gustave nie był kelnerem - to podejrzewałem od samego początku - ale też nie był policjantem. Całe życie miałem do czynienia z policjantami, więc znam ich. Ktoś z zewnątrz mógłby go wziąć za detektywa... ale nie człowiek, który sam służył w policji.

Dlatego też od razu nabrałem podejrzeń. Tego dnia nie wypłem wieczorem kawy. Wylałem ją. I dobrze zrobiłem. Późnym wieczorem ktoś wszedł do mojego pokoju, wszedł z taką pewnością siebie, jak gdyby wiedział, że właściciel pokoju śpi pod wpływem narkotyków. Przeszukał moje rzeczy i znalazł w portfelu list, który trzymałem tam tylko po to, żeby go mógł znaleźć! Następnego dnia rano Gustave przynosi mi kawę. Zna moje nazwisko i odgrywa swą rolę z dużą pewnością siebie. Ale jest zdenerwowany, ponieważ policja jakimś cudem wpadła na jego trop! Dowiedzieli się, gdzie jest - a dla niego to wręcz katastrofa. To mu całkowicie pomieszało szyki. Znalazł się w pułapce jak szczur.

- Cóż za głupota z jego strony, przyjeżdżać tutaj! - powiedział Schwartz. - Po co mu to było?

- Nie było to takie głupie, jak się panu zdaje - odrzekł Poirot poważnie. - On musiał, i to pilnie, znaleźć jakieś odosobnione miejsce, z dala od świata, gdzie mógłby się z kimś spotkać i gdzie mogliby załatwić pewną sprawę.

- Z kim?

- Z doktorem Lutzem.

- Z doktorem Lutzem? On też jest przestępcą?

- Doktor Lutz to naprawdę doktor Lutz... ale nie jest on neurochirurgiem ani psychoanalitykiem. Jest chirurgiem, przyjacielu, chirurgiem specjalizującym się w operacjach plastycznych! Właśnie dlatego miał się tu spotkać z Marrascaudem. Żyje teraz w biedzie, wypędzony z kraju. Zaproponowano mu olbrzymie honorarium za spotkanie się tutaj z pewnym człowiekiem i zmianę jego powierzchowności za pomocą operacji plastycznej. Mógł się domyślać, że człowiek ten to przestępca, ale jeśli tak, to przymknął na to oko. Musi pan zdać sobie sprawę, że nie mogli ryzykować operacji w jakimś zagranicznym szpitalu. Nie, dopiero tutaj, gdzie z

wyjątkiem przelotnych turystów nikt nie zagląda o tej porze roku i gdzie kierownikiem hotelu jest człowiek potrzebujący pieniędzy i dający się łatwo przekupić, znaleźli idealne miejsce.

Tyle, że jak już mówiłem, sprawy przybrały zły obrót. Marrascaud został zdradzony. Ci trzej - jego obstawa - jeszcze nie dotarli na miejsce, a już Marrascaud wziął się do działania. Uprawdza policjanta, który udaje kelnera, a sam zajmuje jego miejsce. Jego banda organizuje awarię kolejki liniowej. Idzie o czas. Wieczorem następnego dnia mordują Droueta i przypinają kartkę do jego zwłok. Mają nadzieję, że zanim łączność ze światem zostanie przywrócona, Drouet zostanie pochowany jako Marrascaud. Doktor Lutz bez zwłoki przeprowadza operację. Ale jednego człowieka należy uciszyć - Herkulesa Poirot. Dlatego też banda Marrascauda napada na mnie. I tylko dzięki panu, przyjacielu...

Herkules Poirot skłonił się z wdziękiem Amerykaninowi, który zapytał:

- Więc pan naprawdę jest Herkulesem Poirot?

- Nie inaczej.

- I te zwłoki ani na chwilę pana nie zmyliły? Wiedział pan od razu, że to nie Marrascaud?

- Naturalnie.

- Dlaczego pan tego nie powiedział?

Herkules Poirot przybrał nagle surowy wyraz twarzy.

- Ponieważ chciałem mieć pewność, że oddam prawdziwego Marrascauda w ręce policji. - A w duchu dodał: - I pojmać żywcem dzika z Erymantu.

STAJNIE AUGIASZA

I

- Sytuacja jest nadzwyczaj delikatna, panie Poirot. - Na ustach Herkulesa Poirot zaigrały nikły uśmieszek. "Jak zawsze" - miał ochotę odpowiedzieć detektyw, lecz opanował się i przybrał wyraz twarzy świadczący o jego bezgranicznej dyskrecji. Sir George Conway z powagą mówił dalej. Z jego ust potoczył się frazes za frazesem - wyjątkowa delikatność sytuacji, w jakiej się znalazł rząd - interes publiczny - partyjna solidarność - konieczność zaprezentowania zwartego frontu - potęga prasy - dobro kraju...

Wszystko to bardzo ładnie brzmiało, tyle że nic nie znaczyło. Herkules Poirot poczuł znajomy skurcz szczęk, chwytający w chwili, gdy ma się ochotę ziewnąć, lecz przez grzeczność nie wypada. Odczuwał to niekiedy czytając sprawozdania z obrad parlamentu - wówczas jednak nic nie wzbraniało mu ziewać.

Przyrzekł sobie, że wytrwa cierpliwie do końca, a jednocześnie poczuł, że współczuje sir George'owi Conwayowi. Widział jasno, że człowiek ten usiłuje mu coś powiedzieć, lecz równie jasno widział, że utracił on zdolność prostego wysławiania się. Słowa stały się dla niego narzędziem do ukrywania faktów, a nie ich ujawniania. Przejawiał niemałą biegłość w sztuce władania użytecznymi frazesami - to znaczy w posługiwaniu się zwrotami, które wprawdzie miło wpadają ucho, ale dokładnie nic nie znaczą.

Słowa płynęły i płynęły, aż biedny sir George poczerwieniał na twarzy. Z rozpaczą zerknął na człowieka siedzącego u szczytu stołu, który odpowiedział na to nieme wezwanie.

- Dobrze, George - odezwał się Edward Ferrier. - Ja mu to powiem.

Herkules Poirot przeniósł wzrok z ministra spraw wewnętrznych na premiera. Bardzo był ciekaw Edwarda Ferriera, a to z powodu przypadkowego zdania zasłyszanego niegdyś od osiemdziesięciodwuletniego staruszka. Uporawszy się z pewnym

chemicznej natury problemem, co umożliwiło skazanie mordercy, profesor Fergus MacLeod przez chwilę zajął się polityką. Gdy sławny i uwielbiany John Hammett (obecnie lord Cornworthy) wycofał się z życia publicznego, zadanie utworzenia nowego gabinetu otrzymał jego zięć, Edward Ferrier. Jak na polityka, był to jeszcze młodzieniec - nie miał nawet pięćdziesięciu lat. Profesor MacLeod wyraził się o nim: "Ferrier był kiedyś moim studentem. To przyzwoity człowiek".

Niby niewiele, ale dla Herkulesa Poirot miało to ogromne znaczenie. Nazywając kogoś przyzwoitym człowiekiem, MacLeod wystawił mu świadectwo, przy którym bładły nawet najbardziej entuzjastyczne opinie prasy czy społeczeństwa.

Co prawda w tym wypadku zdanie starego profesora pokrywało się z opinią społeczną. Edwarda Ferriera uważano za człowieka przyzwoitego - właśnie tak. Nie dostrzegano w nim błyskotliwości, wielkości, szczególnych uzdolnień oratorskich czy też głębokiej wiedzy. Był to po prostu przyzwoity człowiek - wychowany w dobrej tradycji angielskiej, mąż córki Johna Hammetta; człowiek, który był prawą ręką swego teścia i któremu z pełnym zaufaniem można było powierzyć rządy w kraju, wiedząc, że będzie je sprawował zgodnie z duchem i zasadami poprzednika.

John Hammett był bowiem szczególnie bliski społeczeństwu i prasie Anglii.

Reprezentował sobą wszystko to, co drogie jest każdemu Anglikowi. Mówiono o nim: "Hammett jest uczciwy, to się po prostu czuje". O jego prostym życiu domowym i zamiłowaniu do ogrodnictwa krążyły anegdoty. Sfatygowany deszczowiec, z którym Hammett nigdy się nie rozstawał, stał się odpowiednikiem fajki Baldwina i parasola Chamberlaina. Był to symbol - symbol angielskiego klimatu, angielskiej przeczności i przywiązania Anglików do tego, co stare. Co więcej, na typowy brytyjski sposób John Hammett był także mówcą. Jego przemówienia, wygłaszane ze spokojem i przekonaniem, zawierały proste, sentymentalne banały, jakże głęboko zakorzenione w sercach Anglików. Cudzoziemcy niekiedy krytykują je za hipokryzję i nieznośną szlachetność, ale John Hammett nie miał nic przeciwko temu, by uchodzić za człowieka szlachetnego.

Poza tym był mężczyzną doskonałej prezencji - wysoki, wyprostowany, o jasnych włosach i jasnyniebieskich oczach. Jego matka pochodziła z Danii, on sam zaś przez wiele lat piastował urząd Pierwszego Lorda Admiralicji, dzięki czemu zyskał przydomek Wiking. Kiedy w końcu stan zdrowia zmusił go do ustąpienia ze stanowiska, zapanował głęboki niepokój. Kto zostanie jego następcą? Błyskotliwy lord Charles Delofield? (Zbyt błyskotliwy - Anglia nie potrzebowała błyskotliwości.) Evan Whittler? (Sprytny, lecz nazbyt pozbawiony skrupułów.) John Potter? (Człowiek z gatunku tych, którzy widzieliby się w roli dyktatora, a my nie chcemy w naszym kraju żadnych dyktatorów, dziękujemy, co to, to nie.) Dlatego też z westchnieniem ulgi przyjęto wybór spokojnego Edwarda Ferriera. Ferrier był w porządku. Wyszkolony przez starego premiera, był mężem jego córki. Jak mówi klasyczne brytyjskie powiedzenie, Ferrier "pcha wózek dalej".

Herkules Poirot przyglądał się temu spokojnemu mężczyźnie o ciemnej cerze i miłym niskim głosie.

Szczupły i śniady, był wyraźnie zmęczony.

- Być może zna pan, panie Poirot, tygodnik "X-ray News"?

- Wpadł mi kiedyś w ręce - przyznał Poirot, rumieniąc się lekko.

- Więc orientuje się pan mniej więcej w jego zawartości - rzekł premier. - Prawie same oszczerstwa. Ciężkie felietony naszpikowane aluzjami do sensacyjnych tajemnic politycznych. Niektóre prawdziwe, niektóre nieszkodliwe... ale wszystko podane w pikantnym sosie. Czasami jednak... - przerwał, po czym ciągnął nieco zmienionym głosem: - Czasami to coś więcej.

Herkules Poirot nie odezwał się. Ferrier mówił dalej: - Od dwóch tygodni wspominają

o bliskim ujawnieniu wielkiego skandalu w "najwyższych kołach politycznych".
"Zdumiewające rewelacje o korupcji i nadużyciu władzy".

- Pospolity chwyt - wtrącił Poirot, wzruszając ramionami. - Tyle że kiedy już owe rewelacje ukazują się drukiem, zwykle rozczarowują amatorów sensacji.

- Te ich nie rozczarują - stwierdził sucho Ferrier.

- A więc pan wie, co to mają być za rewelacje? - zapytał Herkules Poirot.

- Nawet dosyć dokładnie.

Edward Ferrier zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej. Dokładnie, metodycznie, przedstawił całą historię.

Nie była to historia budująca. Bezwstydne szykany, machinacje giełdowe, sprzeniewierzenia funduszy partyjnych. Zarzuty kierowano pod adresem byłego premiera, Johna Hammetta. Przedstawiły go jako nieuczciwego łajdaka, oszusta na gigantyczną skalę, który wykorzystując swoją pozycję, dorobił się olbrzymiej fortuny. Gdy wreszcie spokojny głos premiera ucichł, minister spraw wewnętrznych jęknął.

- To potworne, potworne! - wyrzucił z siebie. - Tego, który redaguje tego szmatławca, tego Perry'ego, powinno się rozstrzelać!

- A te tak zwane rewelacje mają się ukazać w "X-ray News"? - zapytał Herkules Poirot.

- Tak.

- Jakie kroki proponuje pan poczynić w tej sprawie?

- Ich atak jest wymierzony w Johna Hammetta - odparł powoli Ferrier. - Może on wystąpić do sądu i skarżyć gazetę za oszczerstwo.

- Czy zrobi to?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bardzo prawdopodobnie, że o to właśnie chodzi tym z "X-ray News". Byłaby to dla nich kolosalna reklama. Broniliby się rzetelnością zawodową i tym, że ich stwierdzenia są prawdziwe. Cała ta sprawa nie schodziłaby z centrum uwagi publicznej.

- Gdyby jednak wyrok okazał się dla nich niekorzystny, to kary byłyby nader surowe.

- Ale wcale nie musi być dla nich niekorzystny - stwierdził Ferrier powoli.

- Dlaczego?

- Doprawdy, moim zdaniem... - wtrącił sir George afektowanym tonem, lecz Edward Ferrier mówił już dalej: - Dlatego, że to, co zamierzają wydrukować... to prawda. Z piersi sir George'a wydarł się jęk oburzenia 'na tak nieparlamentarną szczerłość premiera.

- Edwardzie, mój drogi! - zakrzyknął. - Chyba nie przyznajemy...

Przez zmęczoną twarz Edwarda Ferriera przemknął cień uśmiechu.

- Niestety, George, są takie chwile, kiedy trzeba wyjawić całą prawdę. To właśnie jest taka chwila.

- Rozumie pan, panie Poirot, że wszystko to jest wyłącznie między nami - zawołał sir George. - Ani słowo...

- Pan Poirot rozumie - przerwał mu Edward Ferrier.

- Ale być może nie rozumie czego innego - ciągnął powoli. - Chodzi tu o przyszłość partii ludowej. John Hammett, panie Poirot, był uosobieniem partii ludowej.

Symbolem tego, co partia nasza reprezentuje wobec narodu - przyzwoitości i uczciwości. Nikt nie posądza nas o błyskotliwość. Błądziliśmy i zbaczaliśmy z drogi. Ale, jak każe tradycja, zawsze dawaliśmy z siebie wszystko i zawsze przyświecała nam podstawowa zasada uczciwości. Nasze nieszczęście polega na tym, że ten, kto był naszym przywódcą, ten uczciwy człowiek z ludu par excellence, okazał się jednym z największych oszustów naszego pokolenia.

Sir George znów jęknął.

- Pan o tym nic nie wiedział? - zapytał detektyw. Przez zmęczoną twarz znów przemknął nikły uśmiech.

- Może pan nie uwierzy, panie Poirot, ale byłem równie nieświadomy, jak wszyscy inni. Nigdy nie mogłem zrozumieć dziwnej rezerwy, z jaką moja żona odnosiła się do swojego ojca. Teraz już rozumiem. Znała jego prawdziwą naturę.

Przerwał, a po chwili mówił dalej: - Kiedy prawda zaczęła wychodzić na jaw, byłem przerażony, nie wierzyłem w to. Wymogliśmy na moim teściu, aby ustąpił ze stanowiska podając jako powód zły stan zdrowia, i przystąpiliśmy do, że tak powiem, generalnych porządków.

Sir George jęknął.

- Stajnie Augiasza!

Poirot drgnął.

- Obawiam się, że zadanie to okaże się dla nas zbyt herkulesowe - powiedział Ferrier.

- Kiedy fakty przedostaną się do wiadomości publicznej, cały kraj zaleje fala potępienia. Rząd upadnie. Zostaną rozpisane wybory powszechne i według wszelkiego prawdopodobieństwa Everhard i jego partia powrócą do władzy. Zna pan program Everharda.

- Podżegacz! - wykrztusił sir George. - Nic tylko podżegacz!

- Everhard jest zdolny, ale nierozważny, wojowniczy i zupełnie pozbawiony taktu.

Jego stronnicy są niezdecydowani i nie nadają się do piastowania funkcji rządowych... praktycznie mielibyśmy w kraju dyktaturę.

Herkules Poirot pokiwał głową.

- Gdyby tylko udało się wyciszyć tę sprawę... - kwiknął sir George.

Premier powoli potrząsnął głową. Był to gest porażki.

- Nie wierzy pan, że uda się to wyciszyć? - powiedział detektyw.

- Zwróciliśmy się do pana jako do ostatniej deski ratunku, panie Poirot - rzekł Ferrier.

- Moim zdaniem to zbyt poważna sprawa, zbyt wiele osób o niej wie, by udało się ją utrzymać w tajemnicy. Mówiąc bez ogródek, mamy do wyboru dwie metody: użycie siły albo przekupstwo... ale nie ma raczej szans, żeby się to powiodło. Minister spraw wewnętrznych porównał nasze kłopoty do oczyszczania stajni Augiasza. Ta sprawa, panie Poirot, wymaga energii wezbranej rzeki, wyzwolenia potężnych sił przyrody... inaczej mówiąc - cudu.

- Innymi słowy, potrzebny tu Herkules - dorzucił Poirot z zadowoleniem kiwając głową. - Przypominam, że mam na imię Herkules.

- Czy potrafi pan czynić cuda, panie Poirot? - zapytał Edward Ferrier.

- To przecież dlatego posłał pan po mnie, czyż nie? Myślał pan, że potrafię?

- Tak, to prawda... Uświadomiłem' sobie, że tylko jakiś fantastyczny i zgoła nieszablonowy pomysł może rokować szansę ratunku.

Zamilkł na dłuższą chwilę, po czym rzekł:

- Ale może pan podchodzi do tej sprawy z punktu widzenia etyki, panie Poirot? Skoro John Hammett był oszustem, należy zburzyć legendę Johna Hammetta. Czy można budować uczciwy dom na nieuczciwych fundamentach? Nie wiem. Wiem jednak, że chciałbym spróbować.

Uśmiechnął się z nagłą goryczą. Polityk chce się utrzymać na stołku... jak zwykle z najszlachetniejszych pobudek.

Herkules Poirot powstał.

- Monsieur, moje doświadczenia z lat pracy w policji nie pozwalają mi mniemać zbyt wysoko o politykach. Gdyby John Hammett nadal piastował urząd, nie kiwnąłbym nawet palcem, nawet najmniejszym palcem. Wiem coś jednak o panu. Pewien wielki człowiek, jeden z największych naukowców i umysłów epoki, powiedział mi, że jest

pan człowiekiem przyzwoitym. Zrobię, co w mojej mocy.

Skłonił się i wyszedł z pokoju.

- Ze wszystkich impertynentów... - wybuchnął sir George, lecz Edward Ferrier przerwał mu z uśmiechem:

- To był komplement.

II

Na schodach Herkulesa Poirot zatrzymała wysoka, jasnowłosa kobieta.

- Czy mógłby pan zajrzeć do mnie, panie Poirot? - zapytała.

Detektyw uklonił się i ruszył za nią. Zamknęła drzwi, wskazała mu fotel i poczęstowała go papierosem. Sama usiadła naprzeciwko.

- Widział się pan właśnie z moim mężem - odezwała się spokojnie. - Powiedział panu... o moim ojcu.

Poirot przyglądał jej się z uwagą. Była kobietą wysoką, wciąż jeszcze przystojną; twarz miała inteligentną, z charakterem. Pani Ferrier była postacią bardzo popularną. Jako żona premiera, naturalnie znajdowała się w centrum uwagi publicznej. Ale jeszcze większą popularnością cieszyła się jako córka swego ojca. Dagmar Ferrier była uosobieniem powszechnego ideału angielskiej kobiecości.

Była oddaną żoną, dobrą matką i podzielała zamiłowanie męża do życia na wsi. Swoje zainteresowania zwróciła w stronę tych dziedzin życia publicznego, które powszechnie uważa się za odpowiednie pole działania dla kobiet. Ubierała się dobrze, lecz nigdy ostentacyjnie modnie. Większość czasu i sił poświęcała działalności dobroczynnej na wielką skalę. Opracowała specjalne plany pomocy dla żon bezrobotnych. Szanowana przez cały naród, była chlubą i ozdobą partii.

- Z pewnością jest pani bardzo zmartwiona - rzeki Herkules Poirot.

- O tak, nawet pan sobie nie wyobraża jak bardzo. Bałam się tego od lat.

- Nie zdawała pani sobie sprawy, co się dzieje? - spytał Poirot.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie miałam pojęcia. Widziałam tylko, że mój ojciec nie jest... nie jest taki, za jakiego wszyscy go mają. Już od dziecka wiedziałam, że... że jest oszustem.

Jej głęboki głos był pełen goryczy.

- Przez małżeństwo ze mną Edward... Edward straci wszystko.

- Czy ma pani jakichś wrogów, madame? - zapytał spokojnie detektyw.

Spojrzała na niego, zaskoczona.

- Wrogów? Nie sądzę.

- A ja myślę, że tak - oświadczył Poirot z zadumą. Po chwili mówił dalej: - Czy jest pani odważna, madame? Toczy się wielka kampania... przeciwko pani mężowi... i przeciwko pani. Musi się pani przygotować do obrony.

- Nieważne, co ze mną! - zawołała. - Ważne, co z Edwardem!

- Jedno związane jest z drugim - stwierdził Poirot.

- Proszę pamiętać, że jest pani żoną Cezara.

Widział, jak rumieniec odpływa z jej twarzy. Nachyliła się ku niemu.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

III

Percy Perry, redaktor "X-ray News", siedział za biurkiem, paląc papierosa.

Był to mały człowieczek o twarzy łasicy.

- Wywlecjemy wszystkie brudy, niech mają - mówił cichym słuźalczym głosem. -

Wspaniale, to dopiero będzie zabawa!

Jego zastępca, szczupły młody człowiek w okularach, odezwał się z niepokojem:

- Nie jesteś zdenerwowany?
- Sądziś, że wezmą się za ostro? To nie oni. Zresztą dobrze by na tym nie wyszli. Za dobrze się przygotowaliśmy... i w kraju, i na kontynencie, i w Ameryce.
- Pewnie siedzą jak na szpilkach - powiedział młody człowiek. - Myślisz, że nic nie zrobią?
- Wyślą kogoś z jakąś gładką bajeczką... Rozległ się dzwonek telefonu. Percy Perry podniósł słuchawkę.
- Kto? Dobra, przyślij go tu.

Odłożył słuchawkę i wyszczerzył zęby.

- Wzięli sobie tego nadętego belgijskiego detektywa. Idzie tu właśnie. Będzie chciał się z nami dogadać.

Wszedł Herkules Poirot. Nienagannie ubrany, w butonierce miał białą kamelię.

- Miło mi pana poznać, panie Poirot - odezwał się Percy Perry. - Wybiera się pan na gonitwę w Ascot? Nie? Przepraszam.
- Pan mi pochlebia - odrzekł Herkules Poirot. - Człowiek chciałby dobrze wyglądać. Jest to szczególnie ważne - niewinnym wzrokiem obrzucił twarz i niechlujny ubiór redaktora - jeżeli ma się niezbyt wiele wrodzonych atutów. - Co pana do mnie sprowadza? - zapytał krótko Perry.

Poirot pochylił się, poklepał go po kolanie i oświadczył z promiennym uśmiechem:

- Szantaż.
- Szantaż? O co panu chodzi, do diabła?
- Słyszałem - powiedział mi to mały ptaszek - że czasami, gdy miał pan opublikować jakieś kompromitujące informacje w swoim jakże spirituel piśmie, pańskie konto wzrastało o wcale miłą sumkę... natomiast informacje te nigdy się nie ukazały.

Poirot odchylił się do tyłu i z zadowoleniem pokiwał głową.

- Zdaje pan sobie sprawę, że pańskie aluzje to właściwie potwarz?

Detektyw uśmiechnął się z pewnością siebie.

- Jestem pewien, że pan się nie obraził.
- Owszem, obraziłem się! Jeśli chodzi o szantaż, to nie ma dowodów, że kiedykolwiek kogoś szantażowałem.
- Ależ nie, tego jestem pewny. Pan mnie źle zrozumiał. Ja panu wcale nie grożę. Był to tylko wstęp do prostego pytania. Ile?
- Nie wiem, o czym pan mówi - odrzekł Percy Perry.
- O sprawie wagi państwowej, monsieur Percy.

Wymienili znaczące spojrzenia.

- Jestem reformatorem, panie Poirot. Chcę doprowadzić do oczyszczenia polityki. Jestem przeciwnikiem korupcji. Czy wie pan, w jakim stanie jest polityka w tym kraju? Ni mniej, ni więcej, tylko stajnie Augiasza.
- Tiens!* - mruknął Herkules Poirot. - Pan także używa tego określenia.
- A do oczyszczenia tych stajni - ciągnął dziennikarz - potrzeba oczyszczającej fali opinii publicznej.

Herkules Poirot wstał.

- Gratuluję poglądów - powiedział. - Szkoda jednak, że nie odczuwa pan braku gotówki.
- Zaraz, chwileczkę - wtrącił pośpiesznie Percy Perry. - Nie mówiłem, że... Ale Herkules Poirot był już za drzwiami. Później tłumaczył się, że nie lubi szantażystów.

Everitt Dashwood, pogodny młodzieniec z redakcji "The Branch" wesoło poklepał Herkulesa Poirot po plecach.

- Są brudy i brudy, mój drogi - oświadczył. - Tyle że moje brudy to czyste brudy.
- Nie porównywałem pana, bynajmniej, do Percy'ego Perry.
- Cholerna pijawka! Czarna owca naszego zawodu. Chętnie byśmy go wszyscy utracili, gdyby się tylko dało.
- Tak się składa, że pracuję w tej chwili nad pewną drobną sprawą związaną z uniknięciem skandalu politycznego - powiedział detektyw.
- Czyszczenie stajni Augiasza, co? - wtrącił Dashwood. - To za dużo jak na pana, mój drogi. Jedyna nadzieja to zmienić bieg Tamizy tak, żeby zmyła gmach parlamentu.
- Jest pan cynikiem - stwierdził Poirot, kiwając głową.
- Znam świat, to wszystko. - Myślę, że jest pan człowiekiem, jakiego mi potrzeba - oświadczył Poirot. - Jest pan z natury lekkomyślny, koleżeński i lubi pan rzeczy nietypowe.
- A zakładając, że to prawda?
- Chciałbym wprowadzić w życie pewien plan. Jeżeli się nie mylę, to zdemaskujemy sensacyjny spiszek. Będzie to, przyjacielu, wymarzony materiał dla pańskiej gazety.
- Czemu nie? - odrzekł Dashwood radośnie.
- Chodzi tu o nieprzyzwoity spiszek wymierzony w pewną kobietę.
- Coraz lepiej. Seks zawsze ma wzięcie.
- Więc niech pana siada i słucha.

V

Ludzie gadali.

W oberży "Pod Gęsią i Piórami" w Little Wimplington.

- Nie, ja w to nie wierzę. John Hammett zawsze był uczciwym człowiekiem, o tak. Nie tak, jak ci inni od polityki.
 - To samo mówią o wszystkich kanciarzach, zanim ich się nie rozgryzie.
 - Powiadają, że na tej nafcie z Palestyny zarobił tysiące. A to był normalny szwindel.
 - Oni wszyscy tacy sami. Parszywi oszuści, sztuka w sztukę.
 - Everhard by czegoś takiego nie zrobił. On jeszcze ze starej szkoły.
 - Coś mi się jednak nie wydaje, żeby John Hammett był taki zły. Nie należy wierzyć w to, co piszą w gazetach.
 - Żona Ferriera to jego córka. Czytałeś, co tam o niej piszą?
- Pochylili się nad wymiętoszonym egzemplarzem "X-ray News".
Żona Cezara? Jak się dowiadujemy, pewną damę z wysokich kół politycznych widziano niedawno w bardzo dziwnym miejscu. Razem z jej żigolo. Oj, Dagmar, jak mogłaś być taka niegrzeczna?
- Pani Ferrier nie jest taka - odezwał się nagle powolny, typowo wiejski głos. - Żigolo? To przecież jeden z tych wszawych makaroniarzy.
 - Z kobietami nigdy nie wiadomo - rzekł inny. - Ja tam uważam, że one wszystkie to nic dobrego.

VI

Ludzie gadali.

- Ależ kochanie, uważam, że to szczerza prawda. Naomi słyszała o tym od Paula, a on od Andy'ego. Ona jest zupełnie zdeprawowana!
- Ale zawsze przecież była taka skromnie ubrana, taka na miejscu.
- Zwykły kamuflaż. Powiadają, że to nimfomanka. Masz pojęcie! To wszystko jest w

"X-ray News". No, może nie dosłownie, ale to można wyczytać pomiędzy wierszami. Nie mam pojęcia, skąd oni się dowiadują takich rzeczy.

- A co myślisz o politycznej stronie tego skandalu? Mówią, że jej ojciec zdefraudował fundusze partyjne.

VII

Ludzie gadali.

- Nawet mi się nie chce o tym myśleć, pani Rogers. Ja zawsze uważałam, że pani Ferrier to taka porządna kobieta.

- Myśli pani, że to rzeczywiście prawda?

- Właśnie mówię, że nie chce mi się nawet o niej myśleć w ten sposób. Przecież zaledwie w czerwcu otwierała bazar w Pelchester. Stałam tak blisko niej, jak do tej kanapy. I miała taki miły uśmiech.

- Prawda, ale ja stale powtarzam, że nie ma dymu bez ognia.

- Oczywiście, to prawda. Wygląda na to, pani kochana, że nikomu już nie można wierzyć!

VIII

Edward Ferrier, z pobladłą i napiętą twarzą, mówił do Poirota:

- Te ataki na moją żonę! To obelżywe... po prostu obelżywe! Zamierzam podać tego złośliwego szmatławca do sądu.

- Odradzałbym to panu - rzekł Herkules Poirot.

- Ale trzeba położyć kres tym ohydny kłamstwom.

- Czy jest pan pewien, że to kłamstwa?

- Do diabła, oczywiście, że tak.

- A co na to pańska żona? - zapytał Poirot z przekreśloną na bok głową.

Przez chwilę Ferrier był wyraźnie zaskoczony.

- Mówi, że najlepiej nie zwracać na to uwagi... Ale ja nic potrafię... Wszyscy o tym gadają.

- Właśnie, wszyscy gadają - przyznał detektyw.

IX

Po pewnym czasie wszystkie gazety zamieściły krótką lakoniczną notatkę:

Pani Ferrier przeżyła lekkie załamanie nerwowe, w związku z czym udała się na wypoczynek do Szkocji.

Domysły, pogłoski... nawet stuprocentowe informacje, że pani Ferrier nie pojechała do Szkocji, że nigdy tam nie była.

Opowieści, skandaliczne opowieści o tym, gdzie naprawdę jest pani Ferrier...

I znowu ludzie gadali.

- Mówię ci, Andy ją widział na własne oczy. W tej odrażającej knajpie! Była pijana, a może pod wpływem narkotyków... i z tym swoim Okropnym żigolakiem z Argentyny, Ramonem. Masz pojęcie? Więcej plotek.

Pani Ferrier uciekła z argentyńskim tancerzem. Widziano ją w Paryżu, naszpikowaną narkotykami. Zażywa je od lat. Pije jak ryba.

Stopniowo praworządni obywatele Anglii, którzy początkowo nie wierzyli w te opowieści, zwrócili się przeciwko pani Ferrier. Wyglądało na to, że coś w tym musi być! Taka kobieta nie była odpowiednią partią dla premiera. "To nierządnicą, po prostu nierządnicą!"

Następnie pojawiły się zdjęcia. Pani Ferrier sfotografowana w Paryżu - leżąca w nocnym lokalu, obejmująca ramiona śniadego, niesympatycznie wyglądającego młodego człowieka.

Inne zdjęcia - na wpół rozebranej na plaży, z głową na ramieniu tego lwa salonowego. Poniżej podpis: "Pani Ferrier dobrze się bawi..."

Dwa dni później "X-ray News" oskarżono o oszczerstwo.

Rozprawę otworzyło przemówienie oskarżyciela, sir Mortimera Inglewoda, odznaczonego tytułem Doradcy Królewskiego. Był pełen godności i słusznego oburzenia. Pani Ferrier to ofiara nikczemnego spisku, spisku, który można porównać jedynie ze słynną sprawą naszyjnika królowej, znaną czytelnikom Aleksandra Dumasa. Tamten spisek uknuto, by obniżyć prestiż królowej Marii Antoniny w oczach narodu Francji. Podobnie i ten spisek zaplanowano z zamiarem poniżenia szlachetnej i prawej kobiety, zajmującej w swym kraju pozycję żony Cezara. Sir Mortimer z goryczą wyrzekał na faszystów, którzy uciekając się do najpodlejszych machinacji usiłują podważyć demokrację. Następnie przeszedł do powoływania świadków.

Pierwszym z nich był biskup Northumbrii, doktor Henderson.

Był on jedną z najbardziej znanych osobistości Kościoła anglikańskiego, człowiekiem wielce prawym i świętobliwym. Ten doskonały kaznodzieja o otwartym umyśle, tolerancyjny, cieszył się miłością i szacunkiem wszystkich, którzy go znali.

Zajął on miejsce dla świadków i po złożeniu przysięgi oświadczył, że w omawianym czasie pani Edwardowa Ferrier przebywała z nim i jego żoną w ich pałacu. Ponieważ była przemęczona pracą na polu działalności dobroczynnej, zalecono jej dłuższy wypoczynek. Wizytę trzymano w tajemnicy, by uniknąć kłopotów z przedstawicielami prasy.

Następnie zeznawał wybitny lekarz, który oświadczył, że zalecił pani Ferrier wypoczynek i oderwanie się od wszelkich kłopotów.

Miejscowy lekarz ogólny zeznał, że opiekował się panią Ferrier w pałacu.

Kolejnym świadkiem była Thelma Andersen.

Kiedy zajęła miejsce dla świadków, przez salę sądu przebiegł szmer poruszenia.

Wszyscy od razu zauważyli, jak bardzo przypomina ona panią Ferrier.

- Nazywa się pani Thelma Andersen?

- Tak.

- Jest pani obywatelką Danii?

- Tak. Pochodzę z Kopenhagi.

- Pracowała tam pani w kawiarni?

- Tak jest.

- Proszę nam opowiedzieć własnymi słowami, co się zdarzyło osiemnastego marca bieżącego roku.

- Przy moim stoliku usiadł jeden pan, Anglik. Powiedział mi, że pracuje dla angielskiej gazety "X-ray News".

- Jest pani pewna, że wymienił tę właśnie nazwę... "X-ray News"?*

- Tak, jestem pewna, bo na początku pomyślałam, że to jakieś czasopismo dla lekarzy. Ale nie, okazało się, że nie. Potem on mi powiedział, że jest pewna angielska aktorka, która szuka "zastępstwa", i że ja właśnie jestem w jej typie. Nieczęsto chodzę do kina, więc nie znałam tego nazwiska, które mi podał, ale on powiedział, że ta aktorka jest bardzo sławna, a że się źle czuje, chce znaleźć kogoś, kto będzie się pokazywał publicznie zamiast niej, i że jest gotowa dobrze za to zapłacić.

- Ile pani zaproponował ten pan?

- Pięćset funtów angielskich. Na początku nie mogłam uwierzyć, myślałam, że to jakiś dowcip, ale on mi od razu wypłacił połowę. No więc zaraz wymówiłam pracę u

siebie.

Ciągnęła opowieść. Zabrano ją do Paryża, zaopatrzone w eleganckie stroje i przydzielono jej eskortę.

- Bardzo miły Argentyńczyk... pełen szacunku, uprzejmy.

Było jasne, że ta kobieta dobrze się ubawiła. Samolotem zabrano ją do Londynu, gdzie jej śniady kawaler oprowadził ją po kilku nocnych lokalach. W Paryżu sfotografowano ich razem. Przyznała, że niektóre z tych lokali nie były takie, jak należy... Po prostu, nie były przyzwoite! Tak samo jak niektóre z tych zdjęć. Ale powiedziano jej, że to jest konieczne dla reklamy, a senior Ramon przez cały czas był bardzo na miejscu.

W odpowiedzi na pytanie odparła, że nigdy nie padło nazwisko pani Ferrier i że nie miała pojęcia, iż to właśnie ta dama, którą, miała udawać. Nie chciała uczynić nic złego. Okazane jej fotografie zidentyfikowała jako zdjęcia, które zrobiono jej w Paryżu i na Riwierze.

Absolutna uczciwość Thelmy Andersen nie budziła żadnych wątpliwości.

Najwyraźniej była to miła, choć niezbyt mądra kobieta. Teraz, kiedy wszystko rozumiała, jej zmartwienie było widoczne dla każdego.

Obrona była nieprzekonująca. Z uporem wypierano się wszelkich kontaktów z kobietą nazwiskiem Andersen. Zdjęcia, o których mowa, przysłano do ich redakcji w Londynie, gdzie uznano je za autentyczne. Przemówienie końcowe sir Mortimera wywołało entuzjazm. Przedstawił on całą historię jako nikczemny spisek polityczny, uknuty w celu zdyskredytowania premiera i jego żony. Nieszczęsna pani Ferrier zyskała powszechne współczucie.

Wyrok, z góry przesądzony, ogłoszono w nie dającej się opisać atmosferze. Wysokość odszkodowania ustalono na zawrotną kwotę. Opuszczając gmach sądu, pani Ferrier wraz z mężem i ojcem została powitana entuzjastycznymi okrzykami zgromadzonego tłumu.

XI

Edward Ferrier serdecznie uściskał dłoń Poirota.

- Dziękuję panu tysiącrotnie, panie Poirot. No, to już koniec. z "X-ray News".

Obrzydliwy szmatławiec. Są zniszczeni raz na zawsze. I dobrze im tak za ten niegodziwy spisek. I to przeciwko Dagmar, najlepszej istotce pod słońcem. Bogu dzięki, że udało się panu ujawnić to obrzydliwe oszustwo... Ale co panu nasunęło pomysł, że oni korzystają z dublerki?

- To wcale nie nowy pomysł - przypomniał mu Poirot. - Zastosowano go z powodzeniem w sprawie Joanny de la Motte, kiedy wcieliła się ona w postać Marii Antoniny.

- Wiem. Muszę jeszcze raz przeczytać Naszyjnik królowej. Ale w jaki sposób znalazł pan tę kobietę?

- Szukałem w Danii, aż znalazłem.

- Dlaczego akurat w Danii?

- Ponieważ babka pani Ferrier była Dunką, a ona sama jest wyraźnie w tym typie.

Były też inne powody.

- Podobieństwo jest rzeczywiście uderzające. Co za diabelski pomysł! Ciekaw jestem, jak ten nędzny szczur na to wpadł?

Poirot uśmiechnął się.

- On wcale na to nie wpadł. - Postukał się w pierś. - To ja wymyśliłem!

Edward Ferrier wybałuszył oczy.

- Nie rozumiem. Co pan chce przez to powiedzieć?

- Musimy cofnąć się do historii starszej niż sprawa naszyjnika królowej - powiedział Poirot. - Do czyszczenia stajni Augiasza. Herkules użył do tego rzeki... innymi słowy jednej z sił natury. A współcześnie? Co teraz jest wielką siłą natury? Seks, czyż nie? To dzięki niemu sprzedają się książki, wiadomości stają się atrakcyjne. Skandal o zabarwieniu erotycznym przemawia do ludzi o wiele bardziej niż jakieś polityczne machinacje czy oszustwa.

Eh bien, tak właśnie przedstawiało się moje zadanie. Najpierw wsadzić ręce w błoto, niczym Herkules budujący tamę, by zmienić bieg rzeki. Pomagał mi w tym jeden z moich przyjaciół, dziennikarz. Przeszukiwał całą Danię, póki nie znalazł odpowiedniej osoby. Następnie zwrócił się do niej, mimochodem wspominając o "X-ray News". Miał nadzieję, że dziewczyna zapamięta tę nazwę. No i zapamiętała. I cóż się potem stało? Błoto, mnóstwo błota! Obrzucono nim żonę Cezara od stóp do głów. To było dla wszystkich o wiele bardziej interesujące niż jakiś tam skandal polityczny. A rezultat... dénouement*? Naturalnie, reakcja! Cnota wybielona! Niewinna kobieta oczyszczona! Wielka fala romantyczności i uczucia zalewa stajnie Augiasza.

Gdyby teraz wszystkie gazety w całym kraju doniosły o defraudacjach Johna Hammetta, nikt by w to nie uwierzył. Każdy uznałby to za kolejny spisek polityczny, mający zdyskredytować rząd.

Edward Ferrier odetchnął głęboko. Przez chwilę Herkules Poirot był narażony na czynną napaść bardziej niż kiedykolwiek w trakcie swej kariery.

- Moja żona! Ośmielił się pan wykorzystać ją... Dobrze się chyba stało, że akurat w tej chwili pani

Ferrier weszła do pokoju.

- No cóż - powiedziała. - Wszystko poszło znakomicie.

- Dagmar, ty... wiedziałaś przez cały czas?

- Oczywiście, kochanie - odparła Dagmar Ferrier i uśmiechnęła się łagodnym, macierzyńskim uśmiechem oddanej żony.

- I nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

- Ależ Edwardzie, ty byś przecież nie pozwolił na to panu Poirotowi.

- Rzeczywiście, nie pozwoliłbym!

Dagmar uśmiechnęła się.

- Tak właśnie myśleliśmy.

- My?

- Ja i pan Poirot.

Uśmiechnęła się do detektywa i do męża.

- Odpoczęłam znakomicie u kochanego biskupa - dodała. - Czuję, że przepełnia mnie energia. Zaproszono mnie na matkę chrzestną nowego okrętu wojennego, który będzie zwodowany w przyszłym miesiącu w Liverpoolu... myślę, że przysporzy mi to popularności.

PTAKI STYMFALIJSKIE

I

Po raz pierwszy Harold Waring ujrzał je nadchodzące ścieżką od strony jeziora. Siedział na tarasie przed hotelem. Dzień był piękny, a jezioro błękitne w promieniach słońca. Harold palił fajkę i czuł, że świat to wcale przyjemne miejsce.

Jego kariera polityczna układała się pomyślnie. Zdobycie stanowiska podsekretarza w wieku lat trzydziestu było osiągnięciem, z którego całkiem słusznie miał prawo być dumny. Podobno sam premier powiedział komuś, że "młody Waring daleko zajdzie". Harold, nie bez racji, był pijany szczęściem. Życie jawiło mu się w różowych

barwach. Był młody, dosyć przystojny, miał doskonałe zdrowie i nie krępowały go żadne więzy uczuciowe.

Postanowił wybrać się na wakacje do Słowacji, aby zejść z utartych dróg i porządnie odpocząć od wszystkich i wszystkiego. Hotel nad jeziorem Stempka, choć niewielki, był wygodny i nie zatłoczony. Mieszkało w nim kilka osób, przeważnie cudzoziemców. Jak dotąd jedynymi Anglikami poza nim była starsza pani Rice i jej zamężna córka, pani Clayton. Harold lubił i jedną, i drugą. Elsie Clayton była ładna w nieco staromodnym stylu, skromna, łagodna i raczej nieśmiała. Panią Rice można by określić jako kobietę z charakterem. Wysoka, o głębokim głosie i surowa w obejściu, miała poczucie humoru i w jej towarzystwie miło płynął czas. Widać było, że całe jej życie obraca się wokół córki.

Harold spędził w ich towarzystwie kilka miłych godzin, a że nie próbowały zdobyć jego względów na prawach wyłączności, ich stosunki układały się na płaszczyźnie przyjacielskiej i niezobowiązującej.

Pozostali goście hotelowi nie zwrócili na siebie uwagi Harolda. Byli to przeważnie autostopowicze lub uczestnicy wycieczek samochodowych. Zatrzymywali się na dzień lub dwa i ruszali w dalszą drogę. Innych osób . w zasadzie nie widział... aż do tego dnia.

Zbliżały się powoli ścieżką od strony jeziora i tak się złożyło, że w chwili, gdy Harold je zauważył, słońce zaszło za chmury. Harold zadrżał.

Przyjrzał, im się bliżej. W tych dwóch kobietach z pewnością było coś dziwnego? Ich długie, zakrzywione nosy przypominały ptasie dzioby, twarze zaś, dziwnie do siebie podobne, były całkiem nieruchome. Nosły luźno zarzucone na ramiona płaszcze, trzepoczące na wietrze, niczym skrzydła dwóch wielkich ptaków.

"One są jak ptaki - pomyślał Harold, wbrew własnej woli dodając - zwiastuny zła".

Obie kobiety skierowały się wprost na taras i przeszły obok niego. Niezbyt młode - miały chyba bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki - były podobne jak siostry. Obie miały posępne oblicza. Kiedy mijaly Harolda, ich oczy spoczęły na nim przez chwilę. Było to dziwne, taksujące spojrzenie - niemal nieludzkie.

Poczucie zła coraz bardziej przepelniało umysł Harolda. Zauważył dłoń jednej z sióstr... długą, jakby zaopatrzoną w szpony... Zadrżał ponownie, mimo iż słońce znów wyszło zza chmur.

"Okropne istoty - pomyślał. - Jak drapieżne ptaki..." Oderwał się do tych wizji na widok pani Rice, która właśnie wyszła z hotelu. Zerwał się z miejsca i przysunął jej fotel. Bez słowa podziękowania usiadła i, jak zwykle, zaczęła błyskawicznie stukać drutami.

- Czy zauważyła pani te dwie kobiety, które przed chwilą weszły do hotelu? - odezwał się Harold.

- Te w płaszczech? Tak, minęłam je.

- Niecodzienne istoty, nie sądzi pani?

- Tak, no cóż... rzeczywiście są trochę dziwne. Wydaje mi się, że przyjechały dopiero wczoraj. Są uderzająco podobne... to chyba bliźniaczki.

- Możliwe, że ponosi mnie wyobraźnia, ale wyraźnie wyczuwam w nich jakieś zło - stwierdził Harold.

- To dziwne. Muszę się im bliżej przyjrzeć i przekonać, czy podzielam pańskie zdanie. Gospodyni nam powie, kim one są - dorzuciła po chwili. - To chyba nie Angielki?

- O nie.

Pani Rice zerknęła na zegarek.

- Pora na herbatę. Czy byłby pan tak łaskaw wejść do hotelu i zadzwonić na kelnera, panie Waring?

- Oczywiście, pani Rice.

Spełnił jej prośbę, a po powrocie zapytał:

- Gdzie się dziś podziewa pani córka?

- Elsie? Byłyśmy razem na spacerze. Najpierw szłyśmy wzdłuż jeziora, a potem przez bór sosnowy. Bardzo tam ładnie.

Nadszedł kelner i przyjął zamówienie na herbatę. Pani Rice, wciąż stukając zawzięcie drutami, mówiła dalej:

- Elsie dostała list od męża. Być może nie zejdzie na herbatę.

- Od męża? - zdziwił się Harold. - A wie pani, ja zawsze myślałem, że pani córka jest wdową.

Pani Rice zerknęła na niego szybko spod oka.

- O nie, Elsie nie jest wdową - odrzekła sucho. - Niestety!

Harold był zaskoczony.

- Alkohol jest przyczyną wielu nieszczęść, panie Waring - oświadczyła pani Rice, ponuro kiwając głową.

- A on pije?

- Tak. Ale to nie wszystko. Jest chorobliwie zazdrosny i wyjątkowo porywczy. -

Westchnęła. - Ciężko jest żyć na tym świecie, panie Waring. Taka jestem przywiązana do Elsie... to moje jedyne dziecko i niełatwo mi znieść widok jej nieszczęścia.

- Ona jest taka łagodna - rzekł Harold z uczuciem.

- Zdaje się, że zbyt łagodna.

- Pani myśli...

- Ludzie szczęśliwi są bardziej aroganccy - stwierdziła powoli pani Rice. - Łagodność Elsie, wypływa, moim zdaniem, z poczucia przegranej. Życie okazało się dla niej za ciężkie.

- Jak... jak doszło do jej małżeństwa? - zapytał niepewnie Harold.

- Philip Clayton był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Miał, zresztą wciąż ma, wiele uroku i do tego sporo pieniędzy... a nie było nikogo, kto mógłby nam wyjawić jego prawdziwy charakter. Owdowiałam przed wielu laty. Dwie kobiety mieszkające pod jednym dachem zwykle nie są najlepszymi znawczyniami mężczyzn.

- Tak, to prawda - zgodził się Harold, zamyślony. Czuł, że ogarnia go fala oburzenia i litości. Elsie Clayton miała nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Przypomniał sobie jej czyste, przyjazne oczy, miękkie wygięcie ust. Nagle zdał sobie sprawę, że jego zainteresowanie nią wykracza poza ramy zwykłej przyjaźni. A ona była związana z brutalem...

II

Tego wieczoru, po kolacji Harold przysiadł się do matki i córki. Elsie Clayton miała na sobie bladą sukienkę z miękkiego materiału. Zwrócił uwagę na jej zaczerwienione powieki. Niedawno płakała.

- Dowiedziałam się, kim są obie pańskie harpie, panie Waring - odezwała się energicznie pani Rice. - To Polki... - gospodyni twierdzi, że pochodzą z bardzo dobrej rodziny.

Harold spojrział na drugą stronę pokoju, gdzie siedziały obie polskie damy.

- To te dwie kobiety? - zapytała Elsie z zainteresowaniem. - Te z farbowanymi włosami? Nie wiem dlaczego, ale wyglądają dosyć przerażająco.

- Myślałem dokładnie to samo - powiedział Harold triumfalnie.

- Jesteście niepoważni - zaprotestowała z uśmiechem pani Rice. - Nie można oceniać ludzi tylko po samym wyglądzie.

Elsie roześmiała się.

- Pewnie tak - odparła. - A jednak uważam, że to dwa sępy!
 - Wydziobujące trupom oczy! - dopowiedział Harold.
 - Och, proszę...! - krzyknęła Elsie.
 - Najmocniej przepraszam - Harold usprawiedliwił się czym prędzej.
 - Tak czy inaczej, nam raczej nie wejdą w drogę - stwierdziła pani Rice z uśmiechem.
 - My nie mamy żadnych nieczystych tajemnic - powiedziała Elsie.
 - Kto wie, może pan Waring ma jakieś? - rzuciła pani Rice, puszczając oko.
- Harold roześmiał się, odrzucając do tyłu głowę.
- Żadnych tajemnic. Moje życie to otwarta księga.

A w duchu pomyślał:

"Jakże głupi są ci, którzy zbaczają z prostej drogi. Czyste sumienie - oto, czego w życiu potrzeba. Wtedy wszystkim można stawie czoło, a każdego, kto ci wchodzi w paradę odesłać do diabła!"

Nagle poczuł w sobie energię, siłę... poczuł się panem swego losu.

III

Harold Waring, jak przystało na Anglika, nie był poliglotą. Po francusku mówił kulawo i z wyraźnym angielskim akcentem. Niemiecki czy włoski były mu z gruntu obce.

Do tej pory ta ułomność lingwistyczna wcale mu nie przeszkadzała. Przekonał się, że w większości hoteli na kontynencie wszyscy znają angielski, więc czym tu się martwić?

Ale na tym odludziu, gdzie miejscowym językiem był słowacki, a nawet gospodyni znała tylko niemiecki, irytowało go czasami, że którąś z dwóch zaprzyjaźnionych kobiet musi zatrudniać w roli tłumacza. Pani Rice, która lubiła uczyć się języków, mówiła nawet trochę po słowacku.

Harold postanowił, że weźmie się za niemiecki. Kupił podręczniki i każdego dnia rano spędzał kilka godzin na nauce języka.

Tego dnia było wyjątkowo pięknie. Napisawszy kilka listów, Harold spojrzął na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze czas na godzinny spacer przed obiadem. Ruszył w stronę jeziora, po czym skierował się ku borowi sosnowemu. Szedł nim przez może pięć minut, kiedy usłyszał nieomylny dźwięk. Gdzieś niedaleko szlochała kobieta. Harold zatrzymał się na chwilę, po czym ruszył tam, skąd dolatywał płacz. Kobieta okazała się Elsie Clayton, siedząca na zwałonym drzewie z twarzą ukrytą w dłoniach i gwałtownie drgającymi ramionami.

Harold podszedł do niej z wahaniem.

- Pani Clayton... - odezwał się łagodnie. - Elsie? Gwałtownie podniosła głowę i spojrzała na niego.

Harold usiadł obok niej.

- Czy mógłbym coś dla pani zrobić? - zapytał ze szczerym współczuciem.

Zaprzeczyła potrząśnięciem głowy.

- Nie, nie... pan jest bardzo uprzejmy. Ale mnie nikt nie jest w stanie pomóc[^]

- Czy to ma związek z... pani mężem? - zapytał Harold nieśmiało.

Pokiwała głową. Po chwili przetarła oczy i wyciągnęła puderniczkę, usiłując odzyskać równowagę.

- Nie chciałam martwić matki - wyjaśniła łamiącym się głosem. - Jest taka nieszczęśliwa, kiedy mnie widzi przygnębioną. Dlatego przyszłam wypłakać się tutaj. Wiem, że to głupie. Płacz nie pomaga. Ale... czasami... mam wrażenie, że życie jest nie do zniesienia.

- Tak mi przykro - bąknął Harold. Posłała mu wdzięczne spojrzenie.

- To oczywiście moja wina - powiedziała pośpiesznie. - Wysłałam za Philipa z własnej nieprzymuszonej woli. Jeżeli nam się nie ułożyło, to tylko przeze mnie.
- To bardzo dzielna postawa - rzekła Harold. Elsie potrząsnęła głową.
- Nie, ja nie jestem dzielna. Brak mi odwagi. Jestem strasznie tchórzliwa. To jedna z przyczyn kłopotów z Philipem. Boję się go... jestem przerażona, kiedy dostaje jednego z tych swoich napadów wściekłości.
- Powinna go pani porzucić! - oświadczył Harold z przekonaniem.
- Nie śmiem. On... on by mi na to nie pozwolił.
- Bzdura! A rozwód? Powoli potrząsnęła głową.
- Nie ma żadnych podstaw. - Wyprostowała się. - Nie, muszę dalej sobie z tym radzić. Wie pan, wiele czasu spędzam z matką. Philip nie ma nic przeciwko temu. Zwłaszcza jeżeli wyjeżdżamy w takie ustronne okolice, jak tutaj. - Jej policzki zaczęły odzyskiwać kolor. - Widzi pan, chodzi między innymi o to, że on jest chorobliwie zazdrosny. Starczy, że odezwę się do innego mężczyzny, a już mi urządza okropne sceny.

Oburzenie Harolda narastało. Słyszał już wiele kobiet narzekających na zazdrosnych mężów, lecz udając współczucie, w skrytości ducha zawsze uważał, że mężowie ci są ze wszech miar usprawiedliwieni. Ale Elsie Clayton nie była jedną z takich kobiet. Ani razu nie obdarzyła go nawet zalotnym spojrzeniem.

Elsie wzdrygnęła się i odsunęła od niego. Spojrzała na niebo.

- Słońce zaszło. Zrobiło się zimno. Lepiej wracajmy. Już chyba pora na obiad.

Wstali i ruszyli z powrotem do hotelu. Niecałą minutę później minęli postać zmierzającą w tym samym co oni kierunku. Poznali ją po trzepoczącym płaszczu.

Była to jedna z Polek.

Mijając ją, Harold skłonił się lekko. Nie odpowiedziała, lecz jej oczy spoczęły na nim przez chwilę. Spojrzenie to było tak badawcze, że Harolda na chwilę oblała fala gorąca. Zastanawiał się, czy ta kobieta widziała, jak siedział obok Elsie na zwalonym pniu. Jeśli tak, to przypuszczalnie myślała...

W każdym razie wygląda tak, jak gdyby myślała, że... Ogarnęła go fala oburzenia!

Doprawdy, niektóre kobiety mają paskudne mózdzki!

Dziwne, że słońce zaszło i oboje zadrżeli... zapewne właśnie w tej samej chwili, kiedy ta kobieta ich podglądała...

Harold poczuł się nieswojo.

IV

Tego dnia Harold udał się do swojego pokoju zaraz po dziesiątej wieczorem.

Nadeszła poczta z Anglii i niektóre z otrzymanych listów wymagały natychmiastowej odpowiedzi.

W piżamie i szlafroku usiadł przy biurku, by zająć się korespondencją. Napisał trzy listy i właśnie zabierał się za czwarty, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i Elsie Clayton chwiejnie wpadła do pokoju.

Harold poderwał się z miejsca, zaskoczony. Elsie zatrzasnęła za sobą drzwi i stanęła, przytrzymując się komody. Chwytała powietrze szybkimi haustami. Twarz miała koloru kredy. Była śmiertelnie przerażona.

- To mój mąż! - wyrzuciła z siebie. - Przyjechał nagle. My... myślę, że mnie zabije! On oszalał, zupełnie oszalał! Przybiegłam do pana. Niech... niech mnie pan ukryje. Postąpiła dwa kroki do przodu, tak chwiejnie, że niemal przy tym upadła. Harold otoczył ją ramieniem.

W tym momencie drzwi otworzyły się i stanął w nich jakiś mężczyzna. Średniego wzrostu, o grubych brwiach i przylizanych ciemnych włosach, w rękę trzymał ciężki

klucz samochodowy. Jego wysoki głos trząsł się ze wściekłości. Intruz niemal wrzeszczał.

- A więc ta Polka miała rację! Prowadzasz się z tym facetem!

- Nie, Philip, nie! - krzyknęła Elsie. - To nieprawda. Mylisz się.

Harold szybko zasłonił dziewczynę, gdy Philip Clayton ruszył w ich kierunku.

- Myle się? - krzyknął Clayton. - Znajdując cię w jego sypialni? Ty diablico, zabiję cię!

Szybkim okrężnym ruchem złapał Harolda za ramię. Elsie szlochając schowała się za Harolda, który odwrócił się, by stawić czoło napastnikowi.

Lecz Philip Clayton miał w głowie tylko jedno - dobrać się do swej żony. Ruszył naprzeciw niej. Elsie, przerażona, wybiegła z pokoju. Philip Clayton rzucił się za nią, a Harold bez namysłu poszedł w jego ślady.

Elsie wpadła do swojej sypialni na końcu korytarza. Harold usłyszał dźwięk obracanego w zamku klucza, ale było za późno. Nim zamek załapał, Philip Clayton wyważył drzwi i zniknął w pokoju. Harolda dobiegł przerażony krzyk Elsie. Po chwili on sam też znalazł się w jej sypialni.

Elsie stała we wnęce koło zasłoniętego okna. Gdy Harold wpadł do pokoju, Philip Clayton ruszył na żonę, wywijając kluczem. Krzyknęła ze strachu, chwyciła ze stojącego za nią biurka ciężki przycisk do papieru i rzuciła nim w męża.

Clayton osunął się jak worek ziemniaków. Elsie krzyknęła. Harold zatrzymał się w drzwiach, przerażony. Dziewczyna opadła na kolana obok męża. Leżał nieruchomo, tak jak upadł. T

Z korytarza doleciał dźwięk odsuwanego rygla. Elsie zerwała się i pobiegła do Harolda.

- Proszę... bardzo proszę... - wyszeptała bez tchu.

- Niech pan wraca do siebie. Oni przyjdą... znajdą pana tutaj...

Harold skinął głową. Błyskawicznie ocenił sytuację. Na jakiś czas Philip Clayton był hors de combat*. Ale ktoś mógł usłyszeć krzyki Elsie. Gdyby zastano go w jej sypialni, sytuacja stałaby się krępująca i dwuznaczna. Zarówno ze względu na nią, jak i na siebie, nie powinien dopuścić do skandalu.

W miarę możliwości bezszelestnie przebiegł korytarzem do swojego pokoju. Znikając w sypialni usłyszał dźwięk otwieranych drzwi.

Przez prawie pół godziny siedział u siebie, czekając. Nie miał odwagi wyjść. Był pewien, że prędzej czy później Elsie przyjdzie do niego.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Harold zerwał się, by otworzyć.

Nie była to Elsie, lecz jej matka. Jej wygląd przeraził Harolda. Nagle wydała mu się dużo starsza. Siwe włosy miała w nieładzie, a pod oczami widniały ciemne sińce.

Pomógł jej dojść do fotela. Usiadła, oddychając z trudem.

- Ależ pani jest kompletnie wyczerpana, pani Rice - powiedział Harold szybko. - Czy coś pani podać?...

Potrząsnęła głową.

- Niech, niech pan się mną nie kłopotuje. Naprawdę nic mi nie jest. To tylko szok.

Panie Waring, stała się rzecz straszna.

- Czy Clayton jest poważnie ranny?

- Gorzej - wyszeptała. - Nie żyje.

V

Pokój zawirował.

Harold zaniemówił na chwilę; miał wrażenie, że po kręgosłupie sływa mu lodowata woda. W końcu powtórzył tępo:

- Nie żyje?

Pani Rice przytaknęła.

- Kant tego przycisku do papieru trafił go w samą skroń, a upadając, Philip uderzył głową w żelazną kratę kominka. Nie wiem, która z tych dwóch rzeczy go zabiła, ale on z całą pewnością nie żyje. Wystarczająco często miałam do czynienia ze śmiercią, żeby to poznać.

Kłęska - słowo to brzmiało natarczywie w uszach Harolda. Kłęska, kłęska, kłęska...

- To był wypadek! - wybuchnął. - Widziałem na własne oczy.

- Oczywiście, że to był wypadek - powiedziała ostro pani Rice. - Wiem o tym. Ale... ale czy inni też tak pomyślą? Ja... szczerze mówiąc, jestem cała w strachu, Haroldzie! Nie jesteśmy w Anglii.

- Mogę potwierdzić wersję Elsie - rzekł Harold powoli.

- Tak, a ona potwierdzi twoją - odparła pani Rice. - W tym sęk!

Harold, z natury przezorny i ostrożny, zrozumiał, co miała na myśli. Ogarnął całość sprawy i zorientował się, jak słaba jest ich pozycja.

On i Elsie wiele czasu spędzali razem. Do tego dochodził fakt, że ta polska dama widziała ich w lesie w dosyć kompromitujących okolicznościach. Obie Polki najwyraźniej nie znały angielskiego, ale mogły rozumieć co nieco. Ta w lesie mogła zrozumieć takie słowa, jak "zazdrość" i "mąż", jeżeli miała okazję ich podsłuchać.

Tak czy inaczej wiadomo, że to właśnie ona powiedziała Claytonowi coś, co wzbudziło jego zazdrość. A teraz on nie żyje. Kiedy Clayton zmarł, on, Harold, znajdował się w sypialni Elsie. Nie było żadnych dowodów, że to nie on celowo uderzył Philipa Clayтона przyciskiem do papieru. Żadnych dowodów, że zazdrosny mąż nie przyłapał ich razem. Tylko słowa jego i Elsie. Czy im uwierzą?

Ogarnął go zimny strach.

Nie wyobrażał sobie, zupełnie sobie nie wyobrażał, że on lub Elsie staną w obliczu kary śmierci za morderstwo, którego nie popełnili. W najlepszym razie mogą ich oskarżyć o nieumyślne zabójstwo. (Czy w tym obcym kraju rozróżniają te pojęcia?). Ale nawet gdyby uwolnili ich od winy, to i tak musi dojść do procesu. Wszystkie gazety będą o tym pisały. Anglik i Angielka przed sądem... zazdrosny mąż... wybijający się polityk... Tak, to by oznaczało koniec jego kariery politycznej. Taki skandal by ją unicestwił.

- Czy nie moglibyśmy pozbyć się jakoś zwłok? - zapytał powodowany nagłym impulsem. - Ukryć ich gdzieś?

Zarumienił się pod wpływem zaskoczonych i pełnego dezaprobaty spojrzenia pani Rice.

- Haroldzie, mój drogi, nie gramy w sztuce kryminalnej! - powiedziała zjadliwie. - Próbowanie czegoś podobnego to szaleństwo.

- Chyba ma pani rację - przyznał Harold i jęknął. - Co my teraz zrobimy? Boże jedyny, co my teraz zrobimy?

Pani Rice z rozpaczą potrząsnęła głową. Zmarszczyła brwi, myśląc intensywnie.

- Czy możemy coś zrobić? - zapytał Harold stanowczo. - Cokolwiek, by oddalić kłeskę?

Otóż to - kłęska! Straszliwa, niespodziewana, druzgocąca.

Spojrzeni na siebie.

- Elsie, moje biedne dziecko - załkała ochryple pani Rice. - Zrobiłabym wszystko... To ją zabije, jeśli będzie musiała przejść przez coś takiego. No i pan - dorzuciła.

- Pańska kariera...

- Mniejsza o mnie - wykrztusił Harold. Ale bez przekonania.

- To takie niesprawiedliwe... takie krzywdzące - ciągnęła z goryczą pani Rice. -

Między wami przecież nic nie było. Wiem o tym dobrze.

- Przynajmniej w tej kwestii będzie pani mogła zaświadczyć... że wszystko było w absolutnym porządku - rzekł Harold, niczym tonący chwytając się brzytwy.

- Tak, jeśli mi uwierzą - odparła gorzko. - Wie pan, jacy są ludzie! Harold posepnie przyznał jej rację. Ludziom z kontynentu bez wątpienia będzie się wydawało, że między nim a Elsie zaszło coś naganego, a zaprzeczenia pani Rice przyjęte zostaną jako matczyne próby wybronięcia córki.

- Tak, do tego wszystkiego nie jesteśmy w Anglii - stwierdził posepnie.

- Właśnie! - Pani Rice uniosła głowę. - To prawda... Nie jesteśmy w Anglii. Tak się zastanawiam, czy nie dałoby się czegoś zrobić...

- Tak? - Harold spojrział na nią szybko.

- Ile ma pan pieniędzy? - zapytała nagle pani Rice.

- Przy sobie niewiele. Oczywiście, mógłbym zatelegrafować, żeby mi przysłano.

- Mogą nam się przydać, i to w dużej ilości - oświadczyła ponuro pani Rice. - Ale chyba warto spróbować. Harold poczuł lekki przypływ nadziei.

- Co ma pani na myśli?

- My sami nie mamy szansy ukrycia tej śmierci - powiedziała pani Rice zdecydowanym tonem. - Ale myślę, że jest szansa na oficjalne zatuszowanie tej sprawy!

- Naprawdę tak pani myśli? - zapytał Harold z nadzieją i niedowierzaniem.

- Tak. Przede wszystkim kierownik hotelu stanie po naszej stronie. Będzie wolał, żeby sprawa nie nabrała rozgłosu. Moim zdaniem w tych dziwnych krajach słowiańskich można przekupić wszystko i wszystkich... a i przypuszczalnie najbardziej skorumpowana jest policja!

- Wie pani, myślę, że pani ma rację - rzekł Harold powoli.

- Wydaje mi się, że na całe szczęście nikt nic nie słyszał - ciągnęła pani Rice.

- Kto zajmuje pokój przylegający do sypialni Elsie?

- Te dwie polskie damy. One nic nie słyszały. Inaczej wyrzałyby na korytarz. Philip przyjechał późno, poza portierem nikt go nie widział. Wiesz, Haroldzie, myślę, że uda nam się wszystko zatuszować... i załatwić akt zgonu Philipa, stwierdzający śmierć z przyczyn naturalnych! To kwestia przekupienia kogoś na samej górze... i znalezienia właściwej osoby. Może nawet samego naczelnika policji!

Harold uśmiechnął się blade.

- Zupełnie jak w operze komicznej, nie sądzi pani? Ale nie pozostaje nam nic innego, jak spróbować.

VI

Pani Rice była uosobieniem energii. Na początek wezwała kierownika. Harold pozostał u siebie, nie wtrącając się do niczego. Zgodził się z panią Rice, że najlepiej będzie przyjąć wersję kłótni małżeńskiej. Młodość i uroda Elsie powinny jej zapewnić stosowne współczucie.

Następnego dnia rano przybyło kilku policjantów, których zaprowadzono do pani Rice. Wyjechali w południe. Harold zatelegrafował po pieniądze, lecz na tym kończył się jego udział w całej sprawie. Zresztą trudno by mu się było w to włączyć, ponieważ żaden z policjantów nie znał angielskiego.

O dwunastej pani Rice weszła do jego pokoju. Była blade i zmęczona, lecz malująca się na jej twarzy ulga była wystarczająco wymowna.

- Poskutkowało! - oświadczyła zwięźle.

- Bogu dzięki! Była pani wspaniała! Aż mi się nie chce wierzyć!

- Sądząc z tego, jak łatwo nam poszło, to tutaj normalna praktyka - powiedziała pani Rice w zamyśleniu. - Właściwie to sami nadstawiali kieszenie. To... to doprawdy

niesmaczne!

- Teraz nie pora zwalczać korupcję wśród urzędników państwowych - rzekł Harold sucho. - Ile?

- Taryfa jest raczej wysoka.

Odczytała listę nazwisk:

Naczelnik policji

Commisaire

Agent

Lekarz

Kierownik hotelu

Nocny portier

- Nocny portier chyba dostanie niewiele? - skomentował jedynie Harold. - To chyba tylko kwestia złotych lampasów.

- Kierownik upierał się, że śmierć w ogóle nie powinna mieć miejsca w jego hotelu - wyjaśniła pani Rice. - Oficjalna wersja będzie taka, że Philip dostał ataku serca w pociągu. Wyszedł na korytarz zaczerpnąć powietrza - wie pan, jak wciąż zostawiają tam otwarte drzwi - i wypadł na tory. To niebywale, czego potrafi dokonać policja, jeśli tylko zechce!

- No cóż - mruknął Harold. - Bogu dzięki, że nasza policja nie jest taka sama.

I przepelniony duchem patriotyzmu i wyższości, zszedł na obiad.

VII

Po obiedzie Harold jak zwykle przysiadł się do pani Rice i jej córki na kawę.

Postanowił nie zmieniać swych obyczajów.

W jadalni ujrzał Elsie po raz pierwszy od poprzedniej nocy. Była bardzo blada i najwyraźniej wciąż odczuwała skutki szoku, lecz starała się zachowywać jak zawsze i rzucała jakieś banalne uwagi o pogodzie i krajobrazie.

Rozmowa obracała się wokół nowego gościa, który właśnie przyjechał. Starano się odgadnąć jego narodowość. Harold sądził, że ktoś o takich wąsach musi być Francuzem, Elsie uznała go za Niemca, pani Rice zaś uważała, że może to być Hiszpan.

Poza nimi na tarasie nie było nikogo, jeśli nie liczyć dwóch dam z Polski, które siedziały po drugiej stronie i robiły na drutach.

Jak zawsze na ich widok, Harold poczuł, że przechodzi go dziwny dreszcz niepokoju. Te nieruchome twarze, te zakrzywione, podobne do dziobów nosy, te szponiaste dłonie...

Nadszedł goniec z wiadomością, że ktoś czeka na panią Rice. Wstała i poszła za nim.

Elsie i Harold ujrzeni, jak przy wejściu do hotelu wita ją umundurowany policjant.

Elsie wciągnęła powietrze.

- Nie myślisz chyba... że coś się stało?

Harold pocieszył ją czym prędzej.

- Nie, to nic poważnego.

Ale i on poczuł nagły przypływ strachu.

- Twoja matka była wspaniała - powiedział.

- Wiem. Matka ma duszę bojownika. Nigdy nie poddaje się w obliczu porażki. - Elsie wzdrygnęła się.

- Ale to wszystko jest straszne, nie sądzisz?

- No, nie roztrząsaj już tego. Wszystko skończone.

- Nie mogę o tym zapomnieć - szepnęła Elsie.

- O tym, że to ja go zabiłam.

- Nie myśl o tym w ten sposób - powiedział szybko Harold. - To był wypadek. Wiesz, że naprawdę tak było.
Jej twarz nieco się rozchmurzyła.
- A zresztą, to już przeszłość - dodał Harold. - Było, minęło. Spróbuj nie myśleć o tym więcej.
Wróciła pani Rice. Po wyrazie jej twarzy poznali, że wszystko skończyło się szczęśliwie.
- Nieźle mnie wystraszyli - powiedziała niemal radośnie. - Ale to była tylko jakaś papierkowa formalność. Wszystko w porządku, moje dzieci. Wyszliśmy z opresji. Myślę, że dla uczczenia tego moglibyśmy napić się likieru.
Likier zamówiono i podano. Unieśli kieliszki.
- Za przyszłość! - wzniosła toast pani Rice.
Harold uśmiechnął się do Elsie i rzekł:
- Za twoje szczęście.
Odpowiedziała mu uśmiechem i unosząc kieliszek, powiedziała: - I za ciebie... za twoją pomyślność! Jestem pewna, że zostaniesz wielkim człowiekiem.
Kiedy strach minął, poczuli się weseli, niemal niefrasobliwi. Cięń zniknął! Wszystko szło dobrze...
Dwie kobiety na przeciwległym skraju tarasu wstały. Starannie zwinęły robótki i ruszyły po kamiennych płytach.
Skloniły się lekko i usiadły obok pani Rice. Jedna z nich zaczęła coś mówić. Druga nie spuszczała oka z Elsie i Harolda. Na jej wargach igrał nikły uśmieszek. Zdaniem Harolda, nie był to sympatyczny uśmiech...
Spojrzał na panią Rice. Słuchała jednej z Polek i choć nie rozumiał ani słowa, wyraz jej twarzy był wystarczająco wymowny. Wszystkie stare troski i zmartwienia powróciły. Pani Rice słuchała, od czasu do czasu wtrącając krótkie słówko.
Wkrótce obie siostry wstały i kłaniając się sztywno, wróciły do hotelu.
Harold pochylił się.
- Czego chciały? - zapytał ochryple.
Pani Rice odpowiedziała mu spokojnym, lecz pozbawionym nadziei tonem:
- One nas szantażują. Zeszłej nocy słyszały wszystko. A teraz, kiedy spróbowaliśmy wszystko zatuszować, sprawa przedstawia się tysiąckrotnie gorzej...

VIII

Harold Waring był nad jeziorem. Spacerował gorączkowo już ponad godzinę, usiłując fizycznym zmęczeniem pokonać przyływy desperacji. W końcu zawędrował na miejsce, gdzie po raz pierwszy ujrzał dwie ponure kobiety, które teraz trzymały życie jego i Elsie w swych złowieszczych szponach.
- Przeklęte wiedźmy! - powiedział na głos. - Para krwiożerczych harpii, niech je diabli! Odwrócił się, słysząc za sobą ciche kasznięcie. Ujrzał wyposażonego w bujne wąsy cudzoziemca, który właśnie wychynął z cienia drzew.
Harold stwierdził, że zabrakło mu słów. Ten mały człowieczek z pewnością usłyszał to, co przed chwilą powiedział.
Zbity z tropu, wyjąkał po angielsku:
- O... dzień dobry.
- Obawiam się jednak, że dla pana dzień ten nie jest zbyt dobry - odparł tamten doskonałą angielszczyzną.
- Ja... hm... - Harold znów się zająkał.
- Wydaje mi się, monsieur, że ma pan kłopoty - rzekł mały człowieczek. - Czy mógłbym panu w czymś pomóc?

- Ależ nie, nie, dziękuję! Tylko wyładowywałem złość, wie pan, jak to jest.
- A jednak myślę, że mógłbym panu pomóc - powiedział tamten łagodnie. - Nie myślę się, nieprawdaż, łącząc pańskie kłopoty z tymi dwiema paniami, które siedziały na tarasie?

Harold wlepił w niego wzrok.

- Pan coś o nich wie? A w ogóle, kim pan jest? Jak gdyby przyznając się do krwi królewskiej, mały człowieczek odparł skromnie:

- Jestem Herkules Poirot. Może przejdziemy się nieco po lesie i opowie mi pan o swoich kłopotach? Jak mówiłem, sądzę, że będę mógł panu pomóc.

Harold po dziś dzień nie jest pewien, co sprawiło, że nagle opowiedział całą historię człowiekowi, którego znał zaledwie od kilku minut. Może nadmierny stres. Tak czy inaczej, stało się. Opowiedział Herkulesowi Poirot o wszystkim.

Detektyw słuchał w milczeniu i tylko raz czy dwa poważnie skinął głową. Gdy Harold zakończył swą opowieść, odezwał się rozmarzonym głosem:

- Ptaki stymfalijskie, o dziobach z żelaza, żywiące się ludzkim mięsem i mieszkające nad jeziorem Stymfalos... Tak, wszystko się zgadza.

- Słucham? - bąknął Harold, wytrzeszczając na niego oczy.

Ten dziwny człowieczek to chyba wariat! - pomyślał.

Herkules Poirot uśmiechnął się.

- Pozwoliłem sobie na chwilę wspomnień. Rozumie pan, mam własną metodę postrzegania świata. Ale wracajmy do pańskiej sprawy. Znalazł się pan w wyjątkowo nieprzyjemnej sytuacji.

- Tego mi pan przypominać nie musi! - burknął Harold niecierpliwie.

- Szantaż to poważna sprawa - ciągnął detektyw. - Te harpie zmuszą pana, żeby pan płacił... płacił, wечно płacił! A jeśli odmówi pan, co wtedy?

- Wszystko wyjdzie na jaw - odrzekł Harold z goryczą. - Moja kariera będzie zrujnowana, a nieszczęśliwą dziewczynę, która nikomu nie wyrządziła krzywdy, czeka piekło, i Bóg jeden wie, jak to się dla niej skończy!

- Jednym słowem - oświadczył Herkules Poirot - trzeba coś z tym zrobić.

- Co? - zapytał bez ogródek Harold.

Herkules Poirot odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

- Pora skorzystać z grzechotek z brązu - oświadczył. Harold znów nabrał podejrzeń co do jego poczytalności.

- Czy pan całkiem zwariował? Nieznajomy potrząsnął głową.

- Mais non*! Zamierzam tylko pójść w ślady mojego wielkiego poprzednika, Herkulesa. Proszę o kilka godzin cierpliwości, przyjacielu. Do jutra rana postaram się uwolnić pana od prześladowców.

IX

Następnego dnia rano Harold Waring zszedł na dół i zastał Herkulesa Poirot siedzącego samotnie na tarasie. Mimo woli Harold był pod wrażeniem obietnicy Poirota.

Podszedł do niego i zapytał z niepokojem:

- No i?

Herkules Poirot spojrzał na niego rozpromieniony.

- W porządku.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Wszystko ułożyło się pomyślnie.

- Ale co się właściwie stało?

- Zastosowałem grzechotki z brązu - odrzekł marzycielsko Poirot. - Mówiąc językiem

współczesnym, kazałem zabrzączyć metalowym drutom... czyli skorzystałem z telegrafu! Pańskie ptaki stymfalijskie, monsieur, trafiły tam, gdzie przez dłuższy czas nie będą miały okazji wykorzystać swej pomysłowości.

- Były poszukiwane przez policję? Aresztowano je?

- Otóż to.

Harold odetchnął głęboko.

- Wspaniale! Że też na to nie wpadłem. - Wstał. - Muszę odszukać panią Rice i Elsie i powiedzieć im o tym.

- One już wiedzą.

- To dobrze. - Harold usiadł z powrotem. - Proszę mi powiedzieć, jak...

Przerwał.

Ścieżką od strony jeziora nadchodziły dwie postacie o ptasich profilach, ubrane w trzepoczące płaszcze.

- Myślałem, że je zabrano! - zawołał.

Herkules Poirot spojrział w ślad za jego wzrokiem.

- Co, te dwie panie? One są całkiem nieszkodliwe. To dwie damy z Polski. Pochodzą z bardzo dobrych rodzin, jak twierdzi portier. Zapewne, nie wyglądają zbyt sympatycznie, ale to wszystko.

- Ależ ja nic nie rozumiem!

- Istotnie, nic pan nie rozumie. To tamte dwie panie były poszukiwane przez policję... pomysłowa pani Rice i łzawa pani Clayton! One to właśnie były drapieżnymi ptakami. Utrzymywały się z szantażu, mon cher.

Harold miał wrażenie, że świat zwariował.

- Ale tamten mężczyzna - wyszeptał słabym głosem. - Ten, który zginął.

- Nikt nie zginął. Nie było żadnego mężczyzny!

- Przecież sam go widziałem!

- Nie. Wysoka pani Rice ze swoim głębokim głosem wspaniale potrafi udawać mężczyznę. To ona odegrała rolę męża... uprzednio zdjąwszy siwą perukę i odpowiednio się charakteryzując.

Nachylił się i poklepał Harolda po kolanie.

- Nie należy być tak łatwowiernym, przyjacielu. Policję w żadnym kraju nie jest tak łatwo przekupić... prawdopodobnie to w ogóle niemożliwe, a już z pewnością wtedy, gdy w grę wchodzi morderstwo! Te kobiety opierały się na tradycyjnej u Anglików nieznamomości języków obcych. Ponieważ pani Rice zna niemiecki i francuski, to ona zawsze rozmawiała z kierownikiem i zajmowała się wszystkim. Policja po przyjeździe udała się do jej pokoju, to prawda. Ale co się właściwe stało? Pan tego nie wie. Może powiedziała im, że zgubiła broszkę... coś w tym rodzaju. Cokolwiek.

Byleby sprowadzić tu policję tak, żeby mógł pan ich zobaczyć. A dalej, co było dalej?

Pan telegrafuje po pieniądze, dużo pieniędzy, i przekazuje je pani Rice, która prowadzi negocjacje! I o to chodzi! Ale te drapieżne ptaki są chciwe. Zorientowały się, że jest pan dziwnie uprzedzony do tych dwóch dam z Polski. One zaś nawiązują całkiem niewinną rozmowę z panią Rice, która nie może się powstrzymać, żeby nie powtórzyć swej gry. Wie, że pan nic nie rozumie z ich rozmowy. W rezultacie musi pan zebrać jeszcze więcej pieniędzy, które pani Rice przekaże następnie odpowiednim osobom. Harold wciągnął powietrze.

- A Elsie? Co z Elsie?

Herkules Poirot unikał jego wzroku.

- Odegrała swoją rolę doskonale. Jak zawsze. To wyśmienita aktorka. Taka czysta... niewinna. Ona odwołuje się nie do seksu, lecz do rycerskości. A to - dorzucił Herkules Poirot z rozmarzeniem - zawsze skutkuje, gdy ma się do czynienia z Anglikiem.

Harold Waring odetchnął głęboko.

- Siadam do roboty i nauczę się wszystkich możliwych języków europejskich! - oświadczył stanowczo. - Nikt już po raz drugi nie wystrychnie mnie na dudka!

BYK KRETEŃSKI

I

Herkules Poirot w zamyśleniu przyglądał się swojemu gościowi.

Miał przed sobą bladą twarz o ostro zarysowanym podbródku, oczy raczej szare niż niebieskie i włosy w jakże rzadko spotykanym połyskliwym odcieniu czerni - hiacyntowe loki mieszkanki starożytnej Grecji.

Zwrócił uwagę na dobrze skrojoną, choć nieźle znoszoną tweedową garsonkę, podniszczoną torebkę i nieświadomą arogancję, widoczną mimo wyraźnego zdenerwowania dziewczyny,

"Tak, oto tak zwana ziemianka... bez pieniędzy! Musiało ją spotkać coś zupełnie niezwykle, skoro przyszła z tym do mnie."

- Ja... nie wiem, czy będzie mi pan w stanie pomóc, panie Poirot - odezwała się Diana Maberly nieco drżącym głosem. - Sy... sytuacja jest zupełnie wyjątkowa.

- Tak? - mruknął Poirot. - A więc słucham.

- Przyszłam do pana, bo sama już nie wiem, co robić! - wybuchnęła Diana Maberly. - Nie wiem nawet, czy tu w ogóle można cokolwiek zrobić!

- Pozwoli pani, że to ja o tym zadecyduję.

Krew uderzyła jej do twarzy. Szybko, niemal bez tchu, wyjaśniła:

- Przyszłam do pana, ponieważ mężczyzna, z którym byłam zaręczona od ponad roku, zerwał zaręczyny.

Przerwała i spojrzała na niego wyzywająco.

- Pewnie pan myśli, że mam nie po kolei w głowie - dodała.

Herkules Poirot potrząsnął głową powoli.

- Wprost przeciwnie, mademoiselle, nie mam najmniejszych wątpliwości, że jest pani niezwykle inteligentna. Godzenie zwaśnionych kochanków w żadnym razie nie jest moim métier* i wiem dobrze, że pani świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Stąd wniosek, że w zerwaniu waszych zaręczyn jest coś niezwykle. Czyż nie tak?

Dziewczyna skinęła głową.

- Hugh zerwał zaręczyny, ponieważ uważa, że jest psychicznie chory - wyjaśniła spokojnie. - Jego zdaniem szaleńcy nie powinni się żenić.

Herkules Poirot minimalnie uniósł brwi.

- A pani się z nim nie zgadza?

- Sama nie wiem... A zresztą, cóż to jest choroba psychiczna? Każdy jest na swój sposób postrzelony.

- Podobno - przyznał detektyw dyplomatycznie.

- Dopiero jak człowiek zaczyna sobie wyobrażać, że jest jajkiem na twardo, czas, żeby go zamknąć.

- A pani narzeczony jeszcze nie jest na tym etapie?

- Ja w ogóle nie zauważyłam, żeby z nim się działo coś złego - odparła Diana Maberly. - On... ba, to najbardziej zrównoważony człowiek pod słońcem. Rozsądny, godny zaufania...

- Dlaczego więc sądzi, że jest chory psychicznie? - Poirot zamilkł na chwilę. - Czy w jego rodzinie choroba psychiczna przechodzi z pokolenia na pokolenie?

Diana niechętnie potwierdziła skinieniem głowy.

- Zdaję się, że jego dziadek był obłąkany... i chyba któraś z prababek. Ale ja twierdzę, że w każdej rodzinie można znaleźć kogoś nienormalnego. Wie pan, kogoś cofniętego

w rozwoju albo nienaturalnie zdolnego, coś w tym rodzaju.

Jej oczy patrzyły na niego błagalnie. Herkules Poirot ze smutkiem potrząsnął głową.

- Bardzo żałuje, mademoiselle...

Gwałtownie zadarła brodę.

- Nie chcę, żeby mnie pan żałował! - krzyknęła. - Chcę, żeby pan coś zrobił!

- A cóż ja mogę zrobić?

- Nie wiem... ale coś się w tym wszystkim nie zgadza.

- Może mi pani opowiedzieć dokładnie o swoim narzeczonym?

Diana zaczęła mówić szybko:

- Nazywa się Hugh Chandler. Ma dwadzieścia cztery lata. Jego ojcem jest admirał Chandler. Mieszkają w Lyde Manor. Posiadłość ta należy do rodziny Chandlerów od czasu panowania królowej Elżbiety. Hugh jest jedynakiem. Służył w marynarce - wszyscy Chandlerowie są marynarzami, to tradycja z czasów, kiedy sir Gilbert Chandler żeglował z sir Walterem Raleighem gdzieś w szesnastym wieku. Hugh wstąpił do marynarki siłą rzeczy. Jego ojciec nie chciałby nawet słyszeć, że mogłoby być inaczej. A jednak... a jednak to właśnie ojciec nalegał, żeby Hugh porzucił służbę!

- Kiedy to było?

- Prawie rok temu. Zupełnie nagle.

- Czy Hugh Chandler był zadowolony ze swojego zawodu?

- Jak najbardziej.

- Nie było jakiegoś skandalu?

- W związku z Hughem? Żadnego. Radził sobie znakomicie. On... on nie mógł zrozumieć postępowania ojca..

- A jakie powody takiej decyzji podał sam admirał?

- Właściwie to nigdy nie wyjawiał żadnego powodu - odparła Diana powoli. - Owszem, mówił, że Hugh musi nauczyć się zarządzać majątkiem... ale to był tylko pretekst!

Nawet George Frobisher to zauważył.

- Kto to jest George Frobisher?

- Pułkownik Frobisher. To najstarszy przyjaciel admirała Chandlera i ojciec chrzestny Hugh'a. Większość czasu spędza u nich w Manor.

- I cóż pułkownik Frobisher sądził o decyzji admirała, żeby jego syn wystąpił z marynarki?

- Był zaskoczony. Zupełnie nie mógł tego zrozumieć. Nikt tego zresztą nie rozumiał.

- Nawet Hugh Chandler?

Diana nie odpowiedziała od razu. Poirot odczekał chwilę, po czym mówił dalej:

- Wtedy zapewne i on był zaskoczony. Ale teraz? Nic nie mówił na ten temat... absolutnie nic?

- Jakiś tydzień temu powiedział, że... że jego ojciec miał rację... że to było jedyne wyjście - mruknęła Diana niechętnie.

- Pytała go pani, dlaczego?

- Oczywiście. Ale nie chciał mi powiedzieć.

Herkules Poirot zamyślił się. Po chwili zapytał:

- Czy w waszych stronach miały miejsce jakieś niezwykle wydarzenia? Takie, które zaczęły się mniej więcej przed rokiem? Coś, co dało podstawę lokalnym plotkom i domysłom?

- Nie wiem, o co panu chodzi! - wyrzuciła z siebie bez tchu. - Lepiej, żeby mi parli o tym powiedziała - doradził Poirot spokojnie, lecz autorytatywnie.

- Nic się nie działo... nic z tego, o czym pan myśli. - Więc co?

- Pan jest po prostu wstrętny! Na wsi często dzieją się dziwne rzeczy. A to jakaś zemsta, a to jakiś wsiowy głupek... takie tam rzeczy.

- Co się stało?

- Było dużo szumu z powodu jakichś owiec - powiedziała niechętnie. - Poderżnięto im gardła. To było okropne! Ale wszystkie one należały do tego samego farmera, a to trudny człowiek. Policja uznała, że ktoś mu zrobił na złość.

- Ale sprawcy nie znaleziono?

- Nie. Ale jeżeli pan myśli...

Poirot uniósł dłoń.

- Pani nie ma nawet bladego pojęcia, o czym ja myślę. Niech mi pani powie, czy pani narzeczony zasięgał porady lekarza?

- Nie, z całą pewnością nie.

- Czy nie byłoby to najprostsze wyjście?

- On tego nie robi - stwierdziła Diana powoli. - Nie... nie znosi lekarzy.

- A jego ojciec?

- Zdaje się, że admirał też nie ma wysokiego mniemania o lekarzach. Mówi, że to wciskacze kitu.

- A jak się miewa admirał? Jest zdrowy? Szczęśliwy?

- Bardzo się postarzał od... od - wyjąkała cicho Diana.

- Od zeszłego roku?

- Tak. To strzep człowieka. Cięż samego siebie.

Poirot w zamyśleniu pokiwał głową.

- Czy pochwalał zaręczyny swojego syna? - zapytał nagle.

- O tak. Widzi pan, tereny mojej rodziny przylegają do ich terenów. Mieszkamy tam od pokoleń. Był bardzo zadowolony, kiedy związałam się z Hughem.

- A teraz? Co teraz mówi o zerwaniu waszych zaręczyn?

Głos dziewczyny wyraźnie zadrżał.

- Spotkałam go wczoraj - odparła. - Wyglądał upiornie. Oburącz uściśnął mi dłoń i powiedział: "To dla ciebie bardzo ciężkie, moje dziecko. Ale chłopak postępuje słusznie... w jedyny możliwy sposób".

- I w tej sytuacji zwróciła się pani do mnie? - rzekł Poirot.

Skinęła głową.

- Czy może mi pan pomóc? - zapytała.

- Tego nie wiem - odparł detektyw. - Ale mogę tam pojechać i przekonać się na własne oczy.

II

Największe wrażenie zrobiła na Herkulesie Poirot wspianała aparycja Hugh'a Chandlera. Wysoki, potężnie zbudowany młody człowiek miał szerokie bary i ogorzałą twarz, okoloną bujnymi włosami. Biła z niego atmosfera siły i męskości. Natychmiast po przyjeździe do posiadłości dziewczyna zadzwoniła do admirała Chandlera. Wkrótce udała się z detektywem do Lyde Manor, gdzie na długim tarasie czekała już na nich herbata, a wraz z herbatą - trzech mężczyzn. A więc admirał Chandler, siwowłosa, na pozór starszy niż w rzeczywistości, tak zgarbiony, jak gdyby jego barki dźwigały jakiś przytłaczający ciężar. Z jego ciemnych oczu przebijała zaduma. Kontrastował z nim jego przyjaciel, pułkownik Frobisher - zasuszony, twardy człowiek o rudych, siwiejących na skroniach włosach. Niespokojny, popędliwy i kostyczny, przypominający teriera, był jednocześnie właścicielem pary niebywale sprytnych oczu. Miał zwyczaj opuszczać brwi nisko nad oczy i wyrzucać do przodu głowę, podczas gdy bystre oczka świdrowały człowieka badawczo. Trzecim mężczyzną był Hugh.

- Piękny okaz, co? - odezwał się pułkownik Frobisher, widząc, jak bacznie Poirot przygląda się młodemu człowiekowi.

Herkules Poirot pokiwał głową. Siedział koło Frobishera. Pozostała trójka skupiła się na drugim końcu stołu do herbaty, rozmawiając z ożywieniem, choć nieco sztucznie.

- O tak, jest wspaniały... absolutnie wspaniały - mruknął Poirot. - Młody byk... tak, można by rzec, że to młody byk poświęcony Posejdonowi... Doskonały przykład zdrowia i męskości.

- Wygląda wcale krzepko, co?

Frobisher westchnął. Jego bystre oczka co chwila uciskały w bok, badając Poirota. Po chwili milczenia odezwał się:

- Wiem, kim pan jest.

- O, to żadna tajemnica!

Poirot wyniośle skinął ręką. Nie jestem tu incognito - zdawał się mówić ten gest. - Podróżuję pod własnym nazwiskiem.

- Czy ściagnęła tu pana ta dziewczyna? - zapytał Frobisher po kolejnej chwili milczenia. - W tej sprawie?

- W jakiej sprawie?

- W związku z młodym Hughem... Widzę, że wie pan o tym. Ale nie całkiem rozumiem, dlaczego zwróciła się z tym do pana. Trudno przypuścić, żeby zajmował się pan takimi sprawami. Moim zdaniem to raczej coś dla lekarza.

- Zajmuję się najróżniejszymi sprawami... zdziwiłby się pan, gdyby pan o nich wiedział.

- Chciałem powiedzieć, że nie rozumiem, czego ta dziewczyna oczekuje od pana.

- Panna Maberly to wojownicza dusza - stwierdził Poirot.

Pułkownik Frobisher przytaknął gorliwie.

- O tak, wojownicza. Świetna dziewczyna. Nie poddaje się. A jednak są sprawy, z którymi wojować nie sposób... Jego twarz stała się nagle stara i zmęczona.

Poirot jeszcze bardziej ściszył głos.

- Rozumiem, że rodzina jest obciążona chorobą psychiczną? - szepnął dyskretnie.

Frobisher skinął głową.

- Ujawnia się co jakiś czas - mruknął. - Opuszcza jedno czy dwa pokolenia. Dziadek Hugh'a był ostatni.

Poirot szybko rzucił okiem na pozostałą trójkę. Diana sprawnie prowadziła rozmowę, śmiejąc się i przekomarzając z Hughem. Na pierwszy rzut oka można by sądzić, że tych troje nie ma najmniejszych zmartwień.

- W jakiej postaci przejawia się ten obłęd? - zapytał cicho Poirot.

- Staruszek z czasem stał się dosyć porywczy. Do trzydziestki był w porządku... normalny jak wszyscy. Potem zaczął dziwaczeć. Minęło trochę czasu, zanim ludzie to zauważyli. Potem zaczęły się plotki. Ludzie gadali. Działy się różne rzeczy, które tuszowano. Ale - wzruszył ramionami - stary skończył jako kompletny wariat! O morderczych skłonnościach! Zamknięto go w zakładzie dla umysłowo chorych.

Przerwał, a po chwili dorzucił:

- Zdaje się, że dożył późnej starości... Właśnie tego Hugh się obawia. Dlatego nie chce zasięgnąć porady lekarskiej. Boi się, że go zamkną i że będzie musiał żyć całe lata w czterech ścianach. Trudno mieć mu to za złe. Na jego miejscu czułbym się tak samo.

- A co na to admirał Chandler?

- Kompletnie załamany - odrzekł zwięźle Frobisher.

- Jest bardzo przywiązany do syna?

- To jego oczko w głowie. Widzi pan, jego żona utonęła, kiedy chłopiec miał zaledwie dziesięć lat. Od tej pory żyje wyłącznie dla syna.

- Bardzo kochał żonę?

- Uwielbiał ją. Jak wszyscy. Była... była jedną z najcudowniejszych kobiet, jakie

widziałem. - Zamilkł na chwilę, po czym zapytał gwałtownie: - Chce pan obejrzeć jej portret?

- Z wielką przyjemnością. Frobisher odsunął krzesło i wstał.

- Pokażę panu Poirot kilka rzeczy, Charles - powiedział głośno. - To koneser.

Admirał obojętnie skinął ręką. Frobisher ruszył przez taras, a Poirot poszedł w jego ślady. Wesola maska spadła na chwilę z twarzy Diany. Dziewczyna spojrzała na detektywa pytająco. Hugh również uniósł głowę i popatrzył na małego człowieczka o wielkich czarnych wąsach.

Poirot wszedł za Frobisherem do domu. Po słonecznym tarasie w nagłym mroku prawie nic nie widział. Uświadomił sobie jednak, że dom pełen jest starych i pięknych przedmiotów.

Pułkownik Frobisher zaprowadził go do sali portretowej. Na wyłożonych boazerią ścianach wisały podobizny Chandlerów z minionych epok. Twarze poważne i wesołe, mężczyźni w dworskich strojach lub w mundurach marynarki. Kobiety w perłach i atłasach.

Frobisher przystanął przed portretem na samym końcu sali.

- Wyszedł spod pędzla Orpena - burknął.

Patrzyli na wysoką kobietę, której ręka spoczywała na obroży charta. Kobietę o kasztanowych włosach, promieniującą życiem.

- Nie sądzi pan, że chłopak jest do niej podobny jak dwie krople wody? - odezwał się nagle Frobisher.

- Po pewnych względami, owszem.

- Oczywiście nie jest tak delikatny... tak kobiecy. Jest jej męskim odpowiednikiem.

Ale w podstawowym zarysie... - przerwał. - Szkoda, że odziedziczył po Chandlerach akurat tę jedną cechę, bez której mógłby się obyć.

Stali w milczeniu. Otaczała ich melancholijna atmosfera, jak gdyby Chandlerowie minionej epoki wzdychali nad dziedzicznym obciążeniem, które bezlitośnie przekazywali swym potomkom.

Herkules Poirot odwrócił głowę i spojrzał na swego towarzysza. George Frobisher nadal wpatrywał się w piękną kobietę na ścianie.

- Dobrze ją pan znał - odezwał się cicho detektyw.

- Od dziecka - odrzekł pułkownik gwałtownie. - Miała szesnaście lat, kiedy wysłano mnie do Indii jako młodszego oficera. A kiedy wróciłem..., była już żoną Charlesa Chandlera.

- Jego też pan dobrze zna?

- Charles jest jednym z moich najstarszych przyjaciół. To mój najlepszy przyjaciel... od zawsze.

- Często się pan z nimi widywał po ich ślubie?

- Spędzałem tu większość czasu na przepustkach. To dla mnie jakby drugi dom.

Charles i Caroline zawsze trzymali tu dla mnie pokój... gotowy na mój przyjazd.

Wyprostował ramiona i wojowniczo wysunął głowę do przodu.

- Dlatego tu teraz jestem... na wszelki wypadek. Jeżeli Charles będzie mnie potrzebował, to jestem na miejscu.

I znowu zawisł nad nimi cień tragedii.

- A co pan sądzi... o całej tej sprawie? - zapytał Poirot.

Frobisher stał sztywno z brwiami zwieszonymi nisko nad oczyma.

- Uważam, że im mniej się o tym mówi, tym lepiej. I szczerze mówiąc, nie wiem, co pan ma tu do roboty, panie Poirot. Nie rozumiem, po co Diana tu pana ściągnęła.

- Wie pan o zerwaniu zaręczyn Hugh'a z Dianą Maberly?

- Tak, wiem o tym.

- A zna pan powody?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo - odparł Frobisher sztywno. - Takie sprawy młodzi ludzie załatwiają między sobą. Nie wtykam nosa gdzie nie trzeba.

- Hugh Chandler powiedział Dianie, że nie powinni się żenić, ponieważ on wpada w obłęd - rzekł Poirot.

Zobaczył, jak z czoła Frobishera spływa strużka potu.

- Czy musimy gadać o tej cholernej sprawie? - warknął pułkownik. - Jak się panu zdaje, co pan może na to poradzić? Hugh postąpił słusznie, biedny chłopak. Nie ma w tym jego winy... to dziedzictwo... skażona krew, mózg... Ale jak miał się zachować, kiedy się o tym dowiedział, jeżeli nie zerwać zaręczyny? To była jedna z tych rzeczy, które po prostu należy zrobić.

- Gdybym tylko mógł mieć pewność...

- Może mi pan wierzyć.

- Ale przecież pan mi nic nie powiedział.

- Powtarzam, że nie chcę rozmawiać na ten temat.

- Dlaczego admirał Chandler zmusił syna do wystąpienia z marynarki?

- Ponieważ było to jedyne wyjście.

- Dlaczego?

Frobisher z uporem potrząsnął głową.

- Czy miało to coś wspólnego z zabiciem owiec? -zapytał cicho Poirot.

- Więc słyszał pan o tym? - warknął gniewnie pułkownik.

- Diana mi powiedziała.

- Byłoby lepiej, gdyby trzymała buzię na kłódkę.

- Nie myślała, że ma to jakiś związek. - Ona nie wie.

- Czego?

Niechętnie, gwałtownie i gniewnie Frobisher wyjaśnił:

- No dobrze, skoro już musi pan wiedzieć... Tamtej nocy Chandler usłyszał jakiś hałas. Pomyślał, że ktoś się włamał do domu. Poszedł to sprawdzić. W pokoju chłopaka paliło się światło. Chandler wszedł. Hugh spał w łóżku, spał jak zabity... w ubraniu. Zakrwawionym ubraniu. Umywalka w pokoju była cała zalana krwią. Ojciec nie mógł go obudzić. Rano dowiedział się, że znaleziono owce z poderżniętymi gardłami. Wypytał Hugh'a. Chłopak nic o tym nie wiedział. Nie pamiętał, żeby wychodził... a jego buty, stojące przy drzwiach, były całe zabłocone. Nie potrafił wyjaśnić, skąd wzięła się krew w umywalce. Nic nie potrafił wyjaśnić. Biedny chłopak, on po prostu nie wiedział. Charles przyszedł do mnie, pogadać o tym. Co należy zrobić w tej sytuacji? Trzy dni później wszystko się powtórzyło. A potem... sam pan widzi. Chłopak musiał wystąpić ze służby. Tutaj, na miejscu, Charles może go mieć na oku. Nie można było dopuścić do skandalu w marynarce. Tak, to było jedyne wyjście.

- A od tej pory? - spytał Poirot.

- Nic odpowiem więcej na żadne pytanie! - wściekł się Frobisher. - Nie uważa pan, że Hugh wie lepiej, co powinien zrobić?

Herkules Poirot nie odpowiedział. Nigdy nie był skłonny przyznać, że ktokolwiek mógł wiedzieć lepiej niż Herkules Poirot.

III

Wracając do hallu, natknęli się na wchodzącego admirała. Zatrzymał się na chwilę. Jego ciemna sylwetka odcinała się wyraźnie na tle nieba.

- O, tutaj jesteście - odezwał się niskim, ochrypłym głosem. - Poirot, chciałbym zamienić z panem kilka słów. Proszę do mojego gabinetu.

Frobisher wyszedł na dwór, Poirot zaś ruszył za admirałem. Czuł się jak majtek

wezwany na pokład rufowy, by się wytłumaczył.

Admirał wskazał Poirotowi jeden z wielkich foteli, sam zaś usiadł w drugim. Podczas rozmowy z Frobisherem detektyw wyczuwał niepokój, nerwowość, irytację... oznaki napięcia psychicznego. Teraz, w obecności admirała, wyczuwał spokojną, pozbawioną nadziei rozpacz...

- Nie mogę odżalować, że Diana wciągnęła pana w tę sprawę - odezwał się Chandler, wzdychając ciężko. - Biedne dziecko, wiem, jakie to dla niej ciężkie. Ale... ale to nasza prywatna tragedia i myślę, że pan zrozumie, panie Poirot, że nie życzymy sobie nikogo z zewnątrz.

- Naturalnie, wiem, co pan czuje.

- Diana, biedne dziecko, nic może w to uwierzyć... Ja sam też początkowo nie wierzyłem. I pewnie nie wierzylibym do tej pory, gdybym nie wiedział...

Zamilkł.

- Czego?

- Że to jest we krwi. To dziedziczne.

- A jednak zgodził się pan na zaręczyny?

Admirał Chandler zarumienił się.,

- Myśli pan, że wtedy powinienem się wtrącić? Ale nie miałem o tym pojęcia. Hugh jest podobny do matki... nie ma w nim nic, co by przypominało Chandlerów. Miałem nadzieję, że wrodził się w nią całkowicie. Aż do tej pory nie wykazywał żadnych oznak nienormalności. Nie wiedziałem... do diabła, w końcu w każdej starej rodzinie można znaleźć ślady lekkiego obłądu!

- Nie konsultował się pan z lekarzem? - zapytał cicho Poirot.

- Nie, i nie mam zamiaru! - ryknął Chandler. - Tutaj, ze mną, chłopiec jest bezpieczny! Nie zanikną go w czterech ścianach jak jakieś dzikie zwierze...

- Powiada pan, że on jest bezpieczny. Ale inni? Czy inni też są bezpieczni?

- Co pan ma na myśli?

Poirot nie odpowiedział. Spoglądał wprost w smutne, ciemne oczy admirała.

- Obsesja zawodowa - powiedział Chandler z goryczą. - Pan szuka przestępcy! Ale mój syn nie jest przestępcą, panie Poirot.

- Jeszcze nie.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- To przybiera na sile... Te owce...

- Kto panu powiedział o owcach?

- Diana Maberly. I pański przyjaciel, pułkownik Frobisher.

- George lepiej by zrobił, gdyby trzymał buzie na kłódkę.

- To pański stary przyjaciel, dobrze mówię?

- Mój najlepszy przyjaciel - warknął admirał.

- I był także przyjacielem... pańskiej żony?

Chandler uśmiechnął się.

- Tak. Wydaje mi się, że George kochał się w Caroline, kiedy była dzieckiem. Nigdy się nie ożenił. Myślę, że to właśnie dlatego. Ano, to mnie się poszczęściło... a w każdym razie tak mi się zdawało. Zabrałem ją... po to tylko, żeby ją stracić.

Westchnął i zgarbił się.

- Czy pułkownik Frobisher był razem z panem, kiedy pańska żona... utonęła? - zapytał Poirot.

Chandler skinął głową.

- Tak, kiedy to się zdarzyło, był z nami w Kornwalii. Ona wypłynęła ze mną łodzią... a on tego dnia został w domu. Do tej pory nic rozumiem, jak to się stało, że łódź się wywróciła... Musiał powstać jakiś nagły przeciek. Byliśmy na środku zatoki. Fala była duża. Podtrzymałem ją do ostatka... - Głos mu się załamał. - Dwa dni później

morze wyrzuciło jej zwłoki. Bogu dzięki, że nie zabraliśmy ze sobą małego Hugh! Tak przynajmniej wtedy myślałem. Teraz jednak... kto wie, czy nie byłoby lepiej, gdyby wtedy popłynął z nami. Wszystko skończyłoby się raz na zawsze.

Znów westchnął - głęboko, beznadziejnie.

- Jesteśmy ostatnimi z Chandlerów, panie Poirot. Po nas nie będzie już więcej Chandlerów w Lyde. Gdy Hugh zaręczył się z Dianą, miałem nadzieję... a, nie ma o czym mówić. Bogu dzięki, że się nie pobrali. To wszystko, co miałem do powiedzenia!

IV

Herkules Poirot siedział na krześle w ogrodzie różanym. Obok siebie miał Hugh'a Chandlera. Diana Maberly właśnie zostawiła ich samych.

Młody człowiek zwrócił przystojną, choć wymizerowaną twarz w stronę detektywa.

- Pan ją musi przekonać, panie Poirot - powiedział.

Zamilkł na chwilę.

- Widzi pan, Diana nie zrezygnuje - ciągnął po pewnym czasie. - Nie podda się. Nie pogodzi się z tym, z czym i tak będzie musiała się pogodzić. Ona... ona nadal wierzy, że... że jestem zdrowy.

- Podczas gdy pan jest zupełnie pewien, że - wybaczy pan - jest pan nienormalny?

Młody człowiek skrzywił się.

- Właściwie to jeszcze nic jestem zupełnie obłąkany... ale to się pogarsza. Diana nic o tym nie wie, Bogu dzięki. Widuje mnie tylko, kiedy jestem... zdrowy.

- A kiedy nie jest pan zdrowy... co wtedy?

Hugh Chandler odetchnął głęboko.

- Po pierwsze, śnię. A kiedy śnię, jestem szalony. Zeszłej nocy, na przykład, wcale nie byłem człowiekiem. Najpierw byłem bykiem... rozszałąłem bykiem, pędzącym w promieniach słońca, smakującym pył i krew, pył i krew... A potem byłem psem... wielkim, śliniącym się psem. Miałem wodowstręt... dzieci rozbiegały się na mój widok, mężczyźni próbowali mnie zastrzelić... Ktoś podsunął mi wielką miskę wody, a ja nie mogłem pić. Nie mogłem pić!

Przerwał.

- Obudziłem się. I wiedziałem, że to prawda. Podeszedłem do umywalki. Usta miałem spieczone, spieczone i suche. Chciałem pić. Ale nie mogłem, panie Poirot... Nie mogłem nic przelknąć... Boże jedyny, nie byłem w stanie się napić!

Herkules Poirot pomrukiwał łagodnie. Hugh Chandler, zaciskając ręce na kolanach, mówił dalej. Wysunął głowę do przodu i przymknął oczy, jak gdyby zobaczył, że ktoś na niego naciera.

- Poza tym są nie tylko sny. Rzeczy, które widzę na jawie. Widma, przerażające zwidy. Szczęzą się do mnie. A czasami potrafię latać, mogę wyfrunąć z łóżka i lecieć z wiatrem... w towarzystwie diabłów!

- No, no - mruknął detektyw z łagodną dezaprobatą.

Hugh Chandler odwrócił się do niego.

- Nie ma najmniejszych wątpliwości. To jest we krwi. To moje rodowe dziedzictwo. Nie mogę od niego uciec. Bogu dzięki, że odkryłem to w samą porę! Zanim ożeniłem się z Dianą. Gdybyśmy tak mieli dziecko i przekazali mu tę straszną cechę!

Oparł dłoń na ramieniu Poirota.

- Pan ją musi przekonać. Musi pan jej powiedzieć. Ona musi zapomnieć. Musi. Znajdzie sobie z czasem kogo innego. Na przykład Steve Graham... ma bzika na jej punkcie, a to dobry chłopak. Byłaby z nim szczęśliwa... i bezpieczna. Chcę, żeby była szczęśliwa. Graham jest trudny, ale jak ja odejdę, będzie im się dobrze powodziło.

- A to dlaczego będzie im dobrze, jak pan odejdzie? - przerwał mu Herkules Poirot. Hugh Chandler uśmiechnął się łagodnym, uroczym uśmiechem.

- Dzięki pieniądzom mojej matki. Odziedziczyła duży spadek, który dostał się mnie. Wszystko to zapisałem Dianie.

Herkules Poirot odchylił się na krześle.

- Ach tak? - bąknął. Po chwili odezwał się: - Ale pan może doczekać późnej starości, panie Chandler.

Hugh Chandler potrząsnął głową.

- Nie, panie Poirot - zaprzeczył stanowczo. - Nie mam zamiaru doczekać starości. Nagle wzruszył ramionami i odsunął się.

- Mój Boże! Niech pan patrzy! - Wpatrywał się w punkt za ramieniem Poirota. - Tam... stoi koło pana... szkielet... potrząsa kośćmi. Woła mnie... przyzywa... Jego oczy, z nienaturalnie rozszerzonymi źrenicami, spoglądały na słońce. Nagle przechylił się, jak gdyby miał się przewrócić.

Po chwili odezwał się niemal dziecinnym głosem:

- Pan nic nie widział...?

Herkules Poirot potrząsnął głową powoli.

- To mi nie przeszkadza... te zwidy - powiedział Hugh ochryple. - Boję się tylko krwi. Krew w moim pokoju... na moich ubraniach... Mieliśmy papugę. Pewnego dnia zobaczyłem ją w moim pokoju... z poderżniętym gardłem! A ja leżałem na łóżku, z brzytwą w ręku i dłonią mokrą od krwi!

Nachylił się ku Poirotowi.

- Nawet ostatnio ginęły różne zwierzęta - szepnął. - W okolicy... w wiosce, na nizinie. Owce, młode jagnięta, owczarki collie. Ojciec zamyka mnie na noc, ale czasami... czasami drzwi są rano otwarte. Pewnie mam gdzieś ukryty klucz, ale nie wiem, gdzie go schowałem. Po prostu nie wiem. To nie ja robię to wszystko... to ktoś, kto wciela się we mnie, kto mną zawładnął, kto przemienia mnie z człowieka w rozszalałego potwora, żądnego krwi i nie znoszącego wody...

Nagle ukrył twarz w dłoniach.

Po dłuższej chwili Poirot odezwał się: - Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego nie skontaktował się pan z lekarzem?

Hugh Chandler potrząsnął głową.

- Naprawdę pan nie rozumie? Fizycznie jestem silny. Silny jak byk. Mógłbym żyć całe lata... zamknięty w czterech ścianach! Tego nie zniosę! Lepiej będzie odejść... na zawsze. Wie pan, są na to sposoby... Wypadek przy czyszczeniu broni, coś w tym stylu. Diana zrozumie... wolę usunąć się sam, na swój sposób!

Spojrzał wyzywająco na Poirota, lecz detektyw nie podjął wyzwania. Zamiast tego zapytał sucho:

- Co pan jada i pija?

Hugh Chandler, zaniósł się śmiechem odrzucając głowę do tyłu.

- Koszmary z powodu niestrawności? To ma pan na myśli?

Ale Poirot powtórzył tylko łagodnie:

- Co pan jada i pija?

- To samo co wszyscy.

- Żadnych lekarstw? Pigulek? Proszków?

- Ależ nie. Czy sądzi pan, że jakiegokolwiek proszki uwolnią mnie od kłopotów? - Zacytował drwiąco: - "Czy możesz wyleczyć umysł obłąkany?"

- Właśnie próbuję - odparł sucho Poirot. - Czy ktoś w tym domu choruje na oczy?

Hugh Chandler wlepił w niego wzrok.

- Ojciec ma kłopoty z oczami. Bardzo często musi chodzić do okulisty.

- Ach tak? - Detektyw pogrzyżył się w zadumie. Po chwili spytał: - Pułkownik

Frobisher zdaje się spędził wiele lat w Indiach?

- Tak, służył tam w wojsku. Tęskni za Indiami... Często o nich opowiada... o tradycjach krajowców i tak dalej.

- Ach tak? - mruknął znowu Poirot. Nagle zauważył: - Widzę, że skaleczył się pan w brodę..

Hugh uniósł ręce do twarzy.

- Tak, paskudna rana. Ojciec zaskoczył mnie kiedyś przy goleniu. Wie pan, ostatnio jestem trochę nerwowy. W dodatku na brodzie i szyi wyskoczyła mi wysypka, a to utrudnia golenie.

- Powinien pan używać kremu - poradził detektyw.

- A tak, używam. Dostałem go od wujka George'a.

Roześmiał się nagle.

- Prowadzimy rozmowę jak w damskim salonie piękności. Płyny do płukania włosów, kremy, proszki, kłopoty z oczami. Do czego to wszystko prowadzi? Do czego pan zmierza, panie Poirot?

- Staram się uczynić co w mojej mocy dla dobra Diany Maberly - odpowiedział detektyw spokojnie.

Nastrój młodego człowieka zmienił się raptownie. Jego twarz spoważniała. Oparł dłoń na ramieniu Poirota.

- Tak, niech pan zrobi dla niej, co w pańskiej mocy. Niech pan jej powie, żeby zapomniała. Niech pan jej powie, że nadzieja nie ma sensu... Niech pan jej powie to, co ja panu powiedziałem... Niech pan jej... och, na miłość boską, niech pan jej powie, żeby trzymała się z dala ode mnie! To jedyne, co może dla mnie zrobić, trzymać się z dala... i próbować zapomnieć!

V

- Czy jest pani dzielna, mademoiselle? Bardzo dzielna? Musi się pani zdobyć na odwagę.

- A więc to prawda! - krzyknęła ostro Diana. - To prawda? Jest obłąkany?

- Nie jestem psychiatrą, mademoiselle - odparł Poirot. - Nie mnie osądzać, kto jest normalny, a kto nie.

Zbliżyła się do niego.

- Admirał Chandler uważa, że on jest nienormalny. George Frobisher uważa tak samo. Nawet sam Hugh tak myśli...

Poirot przyglądał się jej.

- A pani, mademoiselle?

- Ja? Ja twierdzę, że nie! Właśnie dlatego... Przerwała.

- Właśnie dlatego zwróciła się pani do mnie?

- Tak. Czy mogłabym mieć w tym jakiś inny cel?

- Zadaję sobie to samo pytanie, mademoiselle - rzekł detektyw.

- Nie rozumiem pana.

- Kim jest Stephen Graham? Wybałuszyła oczy.

- Stephen Graham? To... to nikt.

Chwyciła go za ramię.

- Co pan zamierza? O czym pan myśli? Stoi pan sobie ukryty za tymi swoimi wielkimi wąsami, mruży pan oczy przed słońcem i nic pan nie mówi. Boję się przez pana... okropnie się boję. Dlaczego się boję przez pana?

- Może dlatego, że ja sam też się boję - powiedział Poirot.

Szeroko otwarte, ciemnozielone oczy wpatrywały się w niego.

- Czego pan się boi? - wyszeptła. Herkules Poirot westchnął głęboko.

- O wiele łatwiej jest złapać mordercę niż zapobiec morderstwu - oświadczył.

- Morderstwu? - krzyknęła. - Proszę nie wymawiać tego słowa!

- A jednak muszę je wymawiać - rzekł detektyw. Nagle zmienił ton, mówiąc szybko i autorytatywnie: - Mademoiselle, pani i ja musimy spędzić tę noc w Lyde Manor. To konieczne. Spodziewam się, że potrafi to pani zorganizować. A więc?

- Tak, myślę, że to możliwe. Ale dlaczego...

- Dlatego, że nie ma czasu do stracenia. Powiedziała pani, że jest pani odważna. Proszę to teraz udowodnić. Niech pani robi, co mówię i nie zadaje pytań. Skinęła głową bez słowa i odwróciła się.

Po chwili Poirot ruszył za nią do domu. Z biblioteki doleciał go jej głos i głosy trzech mężczyzn. Wszedł na szerokie schody. Na piętrze nie było nikogo.

Bez trudu znalazł pokój Hugh'a Chandlera. W rogu stała umywalka z zimną i gorącą wodą. Nad nią, na szklanej półce, leżały rozmaite tubki, flakony, buteleczki.

Herkules Poirot szybko i sprawnie wziął się do roboty...

To, co miał do załatwienia, nie zabrało mu wiele czasu. Kiedy Diana, zarumieniona i w wojowniczym nastroju, wyszła z biblioteki, detektyw był już z powrotem w hallu.

- Załatwione - powiedziała.

Admirał Chandler zaciągnął Poirota do biblioteki i zamknął drzwi.

- Niech pan posłucha, panie Poirot - rzekł. - Nie podoba mi się to.

- Co się panu nie podoba, admirale?

- Diana nalegała, żebyście mogli tu spędzić noc, pan i ona. Nie chciałbym być niegościnnie...

- To nie jest kwestia gościnności. - Powtarzam, nie chciałbym być niegościnnie, ale szczerze mówiąc, panie Poirot, nie podoba mi się to. Nie... nie życzę sobie tego. Nie rozumiem też powodu. Co nam to może dać?

- Powiedzmy, że to tylko eksperyment.

- Jaki znów eksperyment?

- Za pozwoleniem, to już moja sprawa.

- Niech pan posłucha, panie Poirot, po pierwsze wcale tu pana nie zapraszałem...

- Niech mi pan wierzy, admirale - przerwał mu Poirot - w zupełności rozumiem i podzielam pańskie stanowisko. Znalazłem się tu tylko wyłącznie na skutek nalegań pewnej zakochanej dziewczyny. Powiedział mi pan to i owo. Pułkownik Frobisher też mi co nieco powiedział. No i sam Hugh. A teraz... chciałbym się przekonać na własne oczy.

- Tak, ale przekonać o czym? Mówię panu, tu nie ma nic do oglądania! Codziennie zamykam Hugh'a na noc i to wszystko!

- A jednak... Hugh powiedział mi, że czasami drzwi rano są otwarte.

- A to co znowu?

- Pan nie zauważył, że drzwi bywają otwarte?

Chandler zmarszczył brwi.

- Zawsze byłem przekonany, że to George je otwiera... co pan ma właściwie na myśli?

- Gdzie pan zostawia klucz? W zamku?

- Nie, zostawiam go na biurku w korytarzu. Rano ja, George albo Withers, nasz lokaj, zabieramy go stamtąd. Withersowi powiedzieliśmy, że to dlatego, że Hugh spaceruje we śnie... Podejrzewam, że on wie więcej, ale to wierny sługa, jest u mnie od lat.

- Czy jest drugi klucz?

- Nic o tym nie wiem.

- Ktoś mógł go dorobić.

- Ale kto?

- Pański syn uważa, że to on sam go gdzieś schował, chociaż nie pamięta tego po przebudzeniu.

- Nie podoba mi się to, Charles - odezwał się z drugiego końca pokoju pułkownik Frobisher. - Dziewczyna...

- Właśnie o tym samym myślałem - wtrącił szybko admirał. - Dziewczyna nie powinna tu z panem wracać. Jeśli już pan chce, to niech pan przyjedzie sam.

- Dlaczego nie chce pan, żeby panna Maberly spędziła tu noc? - spytał Poirot.

- Za duże ryzyko - odpowiedział cicho Frobisher - W takich przypadkach...

Przerwał.

- Hugh ją kocha... - rzekł Poirot.

- Właśnie o to chodzi! - zawołał Chandler. - Człowieku, przecież z nienormalnymi wszystko jest na bakier. Hugh dobrze o tym wie. Diana nie może tu przyjść.

- Jeśli o to chodzi, to ona sama powinna podjąć decyzję - powiedział Poirot.

Wyszedł z biblioteki. Diana czekała już na niego w samochodzie.

- Zabierzemy tylko parę drobiazgów potrzebnych na noc i wrócimy na kolację - zawołała.

Po drodze Poirot powtórzył jej przebieg rozmowy z admirałem i pułkownikiem.

Dziewczyna zaśmiała się pogardliwie.

- Oni myślą, że Hugh mógłby mnie skrzywdzić? Zamiast odpowiedzi Poirot zapytał, czy mogłaby się zatrzymać w wiosce przed apteką. Wyjaśnił, że zapomniał spakować szczoteczkę do zębów.

Apteka mieściła się w połowie długości spokojnej wiejskiej uliczki. Diana czekała na detektywa w samochodzie. Uderzyło ją, że Herkules Poirot wyjątkowo długo zastanawia się nad wyborem szczoteczki do zębów...

VI

Herkules Poirot siedział w wielkiej sypialni, przeładowanej masywnymi dębowymi meblami z epoki elżbietańskiej. Czekał. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać. Wszystko inne było już przygotowane.

Wezwanie nadeszło dopiero nad ranem.

Na dźwięk kroków Poirot przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Korytarzem szło dwóch mężczyzn w średnim wieku. Twarz admirała była poważna i zasepiona, pułkownika zaś roztrzęsiona i rozedrgana.

- Pozwoli pan z nami, panie Poirot? - odezwał się Chandler.

Przed drzwiami sypialni Diany Maberly leżała na podłodze skurczona postać. Światło padało na zmierzwiłone włosy i ogorzałą twarz. Hugh Chandler leżał oddychając chrapliwie. Był w szlafroku i pantoflach. W prawej ręce ścisnął zakrzywiony, błyszczący nóż. Ale nie całe ostrze błyszczało - tu i ówdzie zaciemniały je lśniące czerwone plamy.

- Mon Dieu! - zawołał cicho Poirot.

- Nic jej się nie stało - rzekł ostro Frobisher. - On jej nie tknął. - Podniósł głos. - Diana! Wpuść nas! Otwórz drzwi!

Poirot usłyszał, jak admirał jęczy i mamrocze ledwie dosłyszalnie:

- Moje dziecko. Moje biedne dziecko...

Rozległ się dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Diana. Twarz miała bladą jak kreda.

- Co się stało? - wyjąkała. - Ktoś... próbował wejść... słyszałam... jak maca drzwi... klamkę... drapie futryny... To było straszne! Jak zwierzę...

- Bogu dzięki, że drzwi były zamknięte! - powiedział ostro Frobisher.

- Pan Poirot kazał mi je zamknąć.

- Wnieście go do pokoju - polecił detektyw.

Dwaj mężczyźni nachylili się i podnieśli nieprzytomnego. Diana gwałtownie

zaczepnęła powietrza, kiedy mijali ją w drzwiach.

- Hugh? Czy to Hugh? Co... co on ma na rękach? Dłonie młodego Chandlera były lepkie i ciemne od brunatnoczerwonych plam.

- Czy to krew? - szepnęła Diana.

Poirot spojrział pytająco na obu mężczyzn. Admirał skinął głową i powiedział:

- Ale nie ludzka, Bogu dzięki! Kocia! Leży na dole w hallu, z poderżniętym gardłem.

Potem Hugh musiał przyjść tutaj.

- Tutaj! - powtórzyła Diana ochryplym ze strachu głosem. - Do mnie?

Mężczyzna na krześle wstrząsnął się, mruknął coś. Patrzyli na niego zafascynowani.

Hugh Chandler usiadł i zamrugał.

- Cześć - rzucił otępiałym, zachrypniętym głosem. - Co się stało? Dlaczego jestem...

Przerwał. Wpatrywał się w nóż, który wciąż ścisnął w ręku.

- Co zrobiłem? - zapytał powoli.

Jego oczy przesuwają się z jednej postaci na drugą. Wreszcie zatrzymały się na

Dianie, która stała skulona koło ściany. - Czy napadłem Dianę? - zapytał spokojnie.

Jego ojciec potrząsnął głową.

- Powiedźcie mi, co się stało - nalegał Hugh. - Muszę wiedzieć!

Powiedzieli mu... niechętnie, z wahaniem. Zmusiła ich do tego jego spokojna perswazja.

Za oknem stawał świt. Herkules Poirot odsunął zasłony. Poranne słońce zajrzało do pokoju.

Hugh Chandler miał twarz spokojną, a głos pewny.

- Rozumiem - powiedział tylko.

Wstał. Uśmiechnął się i przeciągnął, a jego głos nadal był całkiem naturalny, kiedy odezwał się po chwili:

- Piękny dziś dzień, prawda? Chyba wybiorę się do lasu, może upoluję królika.

Wyszedł z pokoju. Admirał chciał rzucić się za nim, lecz Frobisher złapał go za ramię.

- Nie, Charles, nie. To najlepsze wyjście... przynajmniej dla niego.

Diana szlochając opadła na łóżko.

- Masz rację George - przyznał admirał niepewnie. - Masz rację, wiem o tym. Chłopak ma nerwy...

- To mężczyzna - skwitował Frobisher załamany głosem.

Zapadła cisza. Po pewnym czasie admirał odezwał się:

- Do diabła, a gdzie ten przeklęty cudzoziemiec?

VII

W magazynie broni Hugh Chandler zdjął strzelbę ze stojaka i właśnie ją ładował, kiedy Herkules Poirot oparł mu dłoń na ramieniu.

Detektyw wyrzekł tylko jedno słowo, za to zadziwiająco autorytatywnie:

- Nie!

Hugh Chandler spojrział na niego.

- Zabierz pan te ręce - warknął grubym, gniewnym głosem. - Nie wtrącaj się pan.

Mówiłem już, będzie wypadek. To jedyne wyjście.

- Nie! - powtórzył Herkules Poirot.

- Nie rozumie pan, że gdyby przypadkiem drzwi Diany nie były zamknięte, to poderżnąłbym jej gardło... Dianie! Tym nożem!

- Nie, nie rozumiem. Pan by nie zabił panny Maberly.

- Ale kota zabiłem, może nie?

- Nie, nie zabił pan kota. Nie zabił pan papugi. Owiec też pan nie zabił.

Hugh wybałuszył na niego oczy.

- Kto tu jest nienormalny, pan czy ja? - spytał ostro.

- Żaden z nas - odparł detektyw.

.W tej samej chwili do pokoju wszedł admirał Chandler i pułkownik Frobisher. Za nimi szła Diana.

- Ten facet mówi, że nie jestem wariat! - powiedział Hugh słabym, oszołomionym głosem.

- Mam przyjemność powiadomić pana, że jest pan najzupełniej zdrowy - oświadczył Herkules Poirot.

Hugh roześmiał się. Był to śmiech, jakim w powszechnym mniemaniu śmieją się obłąkani.

- Dobre sobie! Podcinanie gardeł owcom i innym zwierzętom to pewnie oznaka zdrowotności, co? Byłem zdrowy, kiedy zabiłem tamtą papugę? I tego kota dziś w nocy?

- Powtarzam, że nie zabił pan owiec... ani papugi czy też kota.

- Więc kto?

- Ktoś, kto z całego serca pragnie udowodnić, że jest pan obłąkany! Za każdym razem podawano panu silny środek nasenny i wciskano panu do ręki zakrwawiony nóż albo brzytwę. Kto inny mył zakrwawione ręce w pańskiej umywalce.

- Ale w jakim celu?

- W takim, żeby zrobił pan dokładnie to, przed czym pana powstrzymałem.

Hugh wytrzeszczył oczy. Poirot zwrócił się do pułkownika Frobishera:

- Pułkowniku, wiele lat spędził pan w Indiach. Czy nigdy nie spotkał się pan z przypadkiem doprowadzenia człowieka do obłędu na skutek podawania mu lekarstw? Twarz pułkownika rozchmurzyła się.

- Sam nigdy się z tym nie zetknąłem, ale słyszałem o tym dość często. Zatrucie bieluniem. Człowiek popada w obłęd.

- Otóż to. Aktywny składnik bielunia to związek bardzo zbliżony do alkaloidu zwanego atropiną... który można otrzymać także z belladonny, zwanej również wilczą jagodą. Preparaty z belladonny są dosyć powszechne, natomiast sulfat atropiny często przepisuje się jako lekarstwo na oczy. Powielając recepty i dając lek do sporządzenia w coraz to innych aptekach, można zgromadzić spory jego zapas bez wzbudzenia podejrzeń. Następnie z lekarstwa można wyizolować czysty alkaloid i przyprawić nim, dajmy na to, krem do golenia. Stosowanie takiego kremu szybko doprowadzi do wysypki, która utrudni golenie się, w następstwie czego środek ten będzie systematycznie wprowadzany do organizmu. Wynikiem będą charakterystyczne objawy - suchość w ustach i gardle, trudności z przełykaniem, halucynacje, rozdziwienie wzroku - jednym słowem wszystkie te objawy, które zaobserwowano u pana Chandlera.

Odwrócił się do młodego człowieka.

- Aby usunąć ostatni cień podejrzenia, powiem panu, że to nie są przypuszczenia, lecz fakt. Pański krem do golenia zawiera pokąźną domieszkę sulfatu atropiny. Pobrałem z niego próbkę i dałem do zbadania.

- Kto to zrobił? - zapytał Hugh, blady i roztrzęsiony,

- Po co?

- Właśnie na to pytanie szukałem odpowiedzi od samego przyjazdu - oświadczył Poirot. - Szukałem motywu morderstwa. Finansowo na pańskiej śmierci zyskiwała Diana Maberly, ale jej nie brałem na serio pod uwagę...

- Mam nadzieję! - warknął Hugh.

- Wyobraziłem więc sobie następny możliwy do przyjęcia motyw. Odwieczny trójkąt: dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Pułkownik Frobisher kochał pańską matkę, admirał

Chandler się z nią ożenił.

- George? - zawołał admirał. - George?! Nie wierzę,

- Myśli pan, że nienawiść może przejść aż na syna? - zapytał Hugh z niedowierzaniem.

- W pewnych okolicznościach, owszem - odparł Poirot.

- To wierutne kłamstwo! - krzyknął Frobisher. - Nie wierz mu, Charles!

Chandler odsunął się od niego.

- Bieluń - mruknął do siebie. - Indie... tak, teraz rozumiem. A my ani przez chwilę nie podejrzewaliśmy że to trucizna... wiedząc o przypadkach obłędu w rodzinie...

- Mais oui!* - zawołał Herkules Poirot wysokim ostrym głosem. Obłęd w rodzinie.

Szaleniec, owładnięty żądzą zemsty, przebiegły jak tylko szaleńcy być potrafią ukrywający swój obłęd przez całe lata. - Okręcił się na pięcie do Frobishera. - Mon Dieu, musiał pan chyba wiedzieć, podejrzewać, że Hugh jest pańskim synem?

Dlaczego mu pan tego nie powiedział? Frobisher zająknął się, przełknął ślinę.

- Nie wiedziałem. Nie byłem pewny... Widzi pan, Caroline przyszła kiedyś do mojego pokoju... była czymś śmiertelnie przerażona... miała poważne kłopoty. Nie wiem, nigdy się nie dowiedziałem, o co wtedy chodziło. Ona i ja... straciliśmy głowę.

Natychmiast potem wyjechałem... to było jedyne wyjście, oboje o tym wiedzieliśmy.

Ja... zastanawiałem się nad tym, ale nie byłem pewny. Caroline nigdy nie dała mi poznać, że Hugh jest moim synem. A potem, kiedy... kiedy ujawnił się ten obłęd, uznałem, że wszystko jest jasne.

- Tak, wszystko jasne! - rzekł Poirot. - Nie mógł pan zauważyć, jak Hugh wysuwa głowę do przodu i opuszcza brwi na oczy... co odziedziczył po panu. Ale Charles Chandler to zauważył! Zauważył to już przed wielu laty... i zmusił żonę, by wyznała mu prawdę. Myślę, że się go bała... zauważyła oznaki szaleństwa i to ją popchnęło w pańskie ramiona... w ramiona pana, którego zawsze kochała. Charles Chandler obmyślił zemstę. Nastąpił wypadek, w wyniku którego jego żona utopiła się.

Wyłączyli wtedy sami, ale on wie, jak doszło do tego wypadku. Potem skierował swą nienawiść ku chłopcu, który nosił jego nazwisko, ale który nie był jego synem.

Pańskie opowieści o Indiach podsunęły mu pomysł z bieluniem. Hugh miał być stopniowo doprowadzony do szaleństwa. Doprowadzony do takiego stanu, żeby sam odebrał sobie życie. To admirał, nie Hugh, był żądny krwi. To Charles Chandler podcinał owcom gardła na pastwiskach. Ale to Hugh miał ponieść karę!

Wie pan, kiedy nabrałem podejrzeń? Kiedy admirał Chandler tak się sprzeciwił wizycie syna u lekarza. Obiekcje Hugh'a były naturalne. Ale ojciec! Przecież mogła istnieć kuracja, która uratowałaby jego syna... było tysiąc i jeden powodów, dla których powinien zasięgnąć porady lekarskiej. Ale nie, on nie mógł dopuścić, żeby lekarz zbadał Hugh'a... bo mógłby odkryć, że Hugh jest zdrowy!

- Zdrowy... - powtórzył Hugh spokojnie - Jestem zdrowy?

Zbliżył się do Diany.

- Jesteś zdrow jak ryba - burknął pułkownik Frobisher. - W naszej rodzinie nie ma obłędu.

- Hugh - szepnęła Diana.

Admirał Chandler podniósł strzelbę syna.

- Bzdury! - oświadczył. - Idę zapolować na królika. Frobisher ruszył ku niemu, lecz powstrzymała go dłoń Poirota.

- Sam pan przed chwilą powiedział... to najlepsze wyjście.

Hugh i Diana wyszli z pokoju. Dwaj mężczyźni, Anglik i Belg, patrzyli, jak ostatni z Chandlerów przemierza park i niknie w lesie. Po chwili usłyszeli strzał.

KLACZE DIOMEDESA

I

Zadzwoił telefon.

- Halo, Poirot, to pan?

Herkules Poirot rozpoznał głos młodego doktora Stoddarta. Lubił Michaela Stoddarta i jego nieśmiały, przyjacielski uśmiech. Bawiło go naiwne zainteresowanie doktora zbrodnią, ale považał go jako pracowitego i zdolnego fachowca.

- Nie chciałbym sprawiać panu kłopotu... - bąknął Stoddart i zawahał się.

- Ale coś sprawia kłopot panu? - podsunął detektyw przenikliwie.

- Otóż to. - W głosie doktora zabrzmiała ulga. - Trafił pan w dziesiątkę!

- Eh bien, cóż mogę dla pana zrobić, przyjacielu?

Widać było, że Stoddartowi brakuje pewności siebie.

Odpowiadając, zaczął się nieco jąkać.

- Uważam, że to straszliwy nietakt, prosić, żeby pan do mnie zajrzał o tak późnej porze... Ale wpadłem w t-t-tarapaty.

- Oczywiście, że przyjadę. Do pańskiego domu?

- Nie... właściwie to jestem teraz w jednym z bloków na tyłach mojego domu.

Conningby Mews, numer siedemnaście. Naprawdę mógłby pan przyjść? Moja wdzięczność nie miałaby granic.

- Wyruszam natychmiast - odparł Herkules Poirot.

II

Herkules Poirot szedł wzdłuż ciemnych bloków, patrząc na numery domów. Było już po pierwszej w nocy i wyglądało na to, że większość mieszkańców poszła spać, choć w jednym czy dwóch oknach paliło się jeszcze światło.

Kiedy doszedł do numeru siedemnastego, drzwi domu otworzyły się i stanął w nich doktor Stoddart.

- Jest pan! - powiedział. - Proszę do środka. Małe, przypominające drabinę schody prowadziły na piętro, gdzie po prawej stronie znajdował się przestronny pokój. Na jego wyposażenie składały się kozetki, dywany, trójkątne srebrne poduszki oraz liczne butelki i szklanki.

Wszędzie panował nieład, dokoła wałały się niedopałki papierosów i potłuczone kieliszki.

- Ha! - wyrzekł Herkules Poirot. - Mon cher Watson, dedukuję, że odbyło się tu przyjęcie!

- I owszem, było tu przyjęcie - przyznał Stoddart ponuro. - I to jakie!

- Czyli pan w nim nie uczestniczył?

- Nie, sprowadziły mnie tutaj wyłącznie sprawy zawodowe.

- A cóż się stało?

- Ten dom jest własnością kobiety nazwiskiem Patience Grace... pani Patience Grace - zaczął Stoddart.

- Imię i nazwisko nie pozbawione staroświeckiego uroku - wtrącił Poirot.

- Pani Grace nie jest ani urokliwa, ani staroświecka. Na swój sposób jest nawet przystojna. Zmieniła już kilku mężów, a obecnie nosi się z przyjacielem, którego podejrzewa, że chce ją porzucić. Przyjęcie rozpoczęło się od alkoholu, a skończyło na narkotykach... konkretnie na kokainie. Po kokainie człowiek czuje się początkowo wspaniale, wszystko wokół jest piękne. Wydaje się, że można przenosić góry. Zażywanie nadmiernej dawki powoduje gwałtowne podniecenie, halucynacje i ostatecznie delirium. Pani Grace pokłóciła się ze swoim przyjacielem, antypatycznym osobnikiem o nazwisku Hawker, w wyniku czego zerwał z nią natychmiast i wyszedł. Ona zaś

wychyliła się z okna i na chybił-trafił strzeliła do niego z fabrycznie nowego rewolweru, który dostała od jakiegoś półgłówka.

Herkules Poirot uniósł brwi.

- Trafiła go?

- Gdzie tam! Chybiła o dobre kilka jardów. Trafiła za to jakiegoś pechowego włóczęgę, który akurat grzebał na ulicy w pojemnikach na śmieci. Dostał w miesiąc ramienia. Naturalnie, narobił wrzasku jak sto diabłów. Tłum gapiów wepchnął go tu czym prędzej, zatamowali krew, która z niego sikała, i posłali po mnie.

- Tak?

- Załatałem go jak należy. To nie było nic poważnego. Potem paru gości wymaglowało go, aż zgodził się przyjąć kilka banknotów pięciofuntowych i nie wspominać więcej o tej sprawie. Oczywiście, biedakowi było w to graj. Cudowne zrządzenie losu.

- A pan?

- Ja miałem tu trochę więcej roboty. Pani Grace dostała ataku hysterii, więc dałem jej jakiś zastrzyk i wpakowałem ją do łóżka. Była tu jeszcze jedna dziewczyna, która niemal straciła przytomność... całkiem młoda dziewczyna. Nią też się zająłem.

Tymczasem pozostali goście ulotnili się czym prędzej.

Przerwał.

- A potem miał pan wreszcie czas na przemyślenie sytuacji - rzekł Poirot.

- Otóż to - przyznał Stoddart. - Gdyby to była tylko zwykła pijacka rozróżba, no, to byłoby po krzyku. Ale narkotyki to co innego.

- Jest pan zupełnie pewny, że faktycznie było tak, jak pan mówi?

- Absolutnie. Omyłka nie wchodzi w rachubę. To kokaina, bez dwóch zdań.

Znalazłem ją w emaliowanym pudełeczku... wie pan, oni to wachają. Pytanie - skąd się to tam wzięło? Przypominam sobie, że niedawno mówił pan o nowej wielkiej fali zażywania narkotyków i o wzrastającej liczbie narkomanów.

Herkules Poirot pokiwał głową.

- Policja niewątpliwie zainteresuje się tą dzisiejszą zabawą.

- Ano właśnie... - mruknął Michael Stoddart zmartwionym głosem.

Poirot zerknął na niego z nagłym zainteresowaniem.

- Ale taka perspektywa wcale pana nie cieszy?

- Niewinnym ludziom też się zdarza wpakować w różne sprawy - wyjąkał Stoddart. - To trudno wyjaśnić.

- Czy to o panią Patience Grace tak się pan niepokoi?

- Ależ skąd. Ona jest tak twarda, jak tylko jej podobne być potrafią!

- A więc chodzi o tę drugą... o tę dziewczynę? - powiedział Poirot łagodnie.

- Oczywiście, w pewnym sensie ona też jest twarda. To znaczy, sama tak uważa. Ale po prostu jest jeszcze bardzo młoda... trochę zwariowana, i tak dalej... taka szczeniacka brawura. Pakuje się w takie awantury, bo pewnie jej się wydaje, że to wytworne, modne alba co.

Na ustach Poirota pojawił się nikły uśmiech. - Ta dziewczyna... znał ją pan przed dzisiejszym przyjęciem? - zapytał cicho detektyw.

Michael Stoddart skinął głową. Sprawiał wrażenie bardzo młodego i zażenowanego.

- Poznałem ją w Mertonshire. Na balu myśliwych. Jej ojciec jest emerytowanym generałem. To taki pukka Sahib, wie pan, pieniacz i popędliwiec. Ma cztery córki i wszystkie są trochę zwariowane... moim zdaniem, to zasługa takiego ojca. Zresztą okolica, w której mieszkają, też nie jest najciekawsza - w pobliżu zakłady wojskowe, dookoła same pieniądze, ani śladu tradycyjnego wiejskiego spokoju. Wielu bogaczy, często kompletnie zdeprawowanych. Dziewczęta wpadły w złe towarzystwo.

Przez dłuższą chwilę Herkules Poirot przyglądał się doktorowi w zamyśleniu.

- Rozumiem teraz, dlaczego pragnął pan mojej obecności - powiedział. - Chce pan, żebym wziął tę sprawę w swoje ręce?
- Zgodziłby się pan? Czuję, że sam powinienem się tym zająć... ale wyznaję, że o ile to możliwe, chciałbym zaoszczędzić Sheili Grant takiego rozgłosu.
- Sadzę, że da się to zrobić. Chciałbym zobaczyć się z tą młodą damą.
- Proszę za mną.

Kiedy wychodzili, z pokoju naprzeciwko dobiegał rozdrażniony głos:

- Doktorze... na miłość boską, doktorze, ja zwariuję! Stoddart wszedł do pokoju. Poirot ruszył w jego ślady. Znalazł się w sypialni, w której panował kompletny chaos. Podłoga była zasypana pudrem, dookoła walały się jakieś słoiki i flakony, wszędzie poniewierały się części ubrania. Na łóżku leżała kobieta o nienaturalnie jasnych włosach i pustej, nacechowanej rozpustą twarzy.
- Łażą po mnie robaki! - krzyknęła. - Naprawdę, łażą po mnie. Ja zwariuję! Na miłość boską, dajcie mi jakiś zastrzyk!

Doktor Stoddart podszedł do łóżka, mówiąc coś kojącym, zawodowym tonem.

Herkules Poirot cicho wyszedł z pokoju. Naprzeciwko ujrzał inne drzwi. Otworzył je. Był to maleńki pokoik, właściwie skrawek pokoju, bardzo skromnie umeblowany. Na łóżku leżała smukła dziewczęca postać.

Herkules Poirot na palcach podszedł do łóżka i spojrzął na dziewczynę.

Ciemne włosy, owalna, blada twarz i... tak, młoda, bardzo młoda...

Otworzyła oczy - oczy zdziwione, przerażone. Popatrzyła na Poirota, usiadła i potrząsnęła głową, usiłując odrzucić gęstą grzywę czarnych włosów. Wyglądała jak wystraszone źrebę. Cofnęła się trochę, niczym dzikie zwierzę, które nie ufa obcemu przynoszącemu pokarm.

- Kim pan jest, u diabła? - zapytała znienacka młodym, cienkim głosikiem.
- Proszę się nie obawiać, mademoiselle.
- Gdzie jest doktor Stoddart?

W tej samej chwili młody człowiek wszedł do pokoju.

- O, jest pan! - powiedziała dziewczyna z ulgą w głosie. - Kto to jest?
- To mój przyjaciel, Sheilo. Jak się pani czuje?
- Okropnie. Podle... Po co ja brałam to świństwo?
- Na pani miejscu więcej bym tego nie robił - rzekł sucho Stoddart.
- Już... już nie będę.
- Skąd pani to dostała? - wtrącił Herkules Poirot.

Jej oczy rozszerzyły się, a górna warga zadrżała.

- Tutaj, na przyjęciu. Wszyscy tego próbowaliśmy. Na początku było cudownie.
- Ale kto to przyniósł? - zapytał detektyw łagodnie.

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem... Być może Tony, Tony Hawker. Ale tak naprawdę to nic o tym nie wiem.
- Czy był to pierwszy raz, kiedy zażywała pani kokainę, mademoiselle? - zapytał łagodnie Poirot.

Skinęła głową.

- I oby było to po raz ostatni - wtrącił szorstko Stoddart.
- Tak... chyba tak... ale to było naprawdę cudowne.
- Niech pani posłucha, panno Grant - rzekł Stoddart. - Jestem lekarzem i wiem, co mówię. Starczy, że raz pani wsiąknie w narkotyki, a skończy pani w nieprawdopodobnych męczarniach. Widziałem już takich, więc znam to. Narkotyki rujną człowieka, ciało i duszę. W porównaniu z nimi alkohol to niewinna igraszka, niech pani z tym skończy, natychmiast. Proszę mi wierzyć, to, wcale nie jest zabawne! Jak pani myśli, co by o tej historii powiedział pani ojciec?
- Ojciec? - Sheila Grant podniosła głos. - Ojciec? - Roześmiała się. - Wyobrażam

sobie jego minę! Nie może się o tym dowiedzieć. Wpadłby w szewską pasję!
- I słusznie - stwierdził Stoddart.
- Doktorze... doktorze... - z sąsiedniego pokoju doleciały jęki pani Grace.
Stoddart rzucił pod nos jakiegoś nieparlamentarne słówko i wyszedł.
Sheila Grant spojrzała na Poirota ze zdziwieniem.
- Kim pan właściwie jest? - odezwała się. - Nie widziałam pana na przyjęciu.
- Nie, nie byłem na przyjęciu. Jestem przyjacielem doktora Stoddarta.
- Pan też jest lekarzem? Nie wygląda pan -na doktora.
- Nazywam się - rzekł detektyw, jak zwykle nadając temu prostemu stwierdzeniu rangę ostatnich słów sztuki - nazywam się Herkules Poirot.
Stwierdzenie to odniosło należyty skutek. Od czasu do czasu Poirot z przykrością przekonywał się, że gruboskórne młode pokolenie nigdy o nim nie słyszało. Było jednak oczywiste, że Sheila Grant o nim słyszała. Zdumiona i osłupiona patrzyła na niego i patrzyła...

III

Słusznie lub niesłusznie, powiadają że każdy Anglik ma ciotkę w Torquay. Powiadają także, iż każdy ma kuzyna co najmniej drugiego stopnia pokrewieństwa w Mertonshire. Mertonshire leży dostatecznie daleko od Londynu, jest rajem dla myśliwych i wędkarzy, ma kilka wielce malowniczych, choć nieco zakompleksionych miasteczek, dobrą sieć kolejową i nową magistralę, ułatwiającą komunikację samochodową z metropolią. Pomoc domowa chętniej podejmuje tu pracę niż w innych, bardziej rolniczych okręgach Wysp Brytyjskich. W rezultacie jest praktycznie niemożliwe mieszkać w Mertonshire, jeżeli nie rozporządza się rocznym dochodem wyrażającym się liczbą czterocyfrową, choć jeśli wziąć po uwagę podatek dochodowy i różne tam takie, liczba pięciocyfrowa byłaby zdecydowanie lepsza. Jako cudzoziemiec, Herkules Poirot nie miał tam żadnego kuzyna, nawet w drugim stopniu pokrewieństwa, miał za to wielu przyjaciół, toteż bez większych trudności załatwił sobie zaproszenie do tej części świata. Co więcej, na gospodynię wybrał sobie uroczą damę, której główne zajęcie sprowadzało się do mielenia językiem na temat sąsiadów. Wiązała się z tym jedna tylko niedogodność - Poirot musiał mianowicie wysłuchać mnóstwo plotek o ludziach, którzy nie obchodzili go w najmniejszym stopniu, zanim rozmowa zeszała na temat ludzi, którzy interesowali go naprawdę.
- Dzieci Granta? Tak, ma ich czwórkę. Cztery dziewczęta. Nic dziwnego, że biedny generał nie może sobie z nimi dać rady. Jak mężczyzna mógłby sobie poradzić z czwórką dziewcząt? - lady Carmichael zagestykulowała wymownie.
- Właśnie, jak? - mruknął Poirot.
- Generał był w wojsku wielkim służbistą, sam mi to powiedział - ciągnęła lady. - Ale te dziewczęta go pokonały. To już nie te czasy, co za moich lat. Pamiętam, że stary pułkownik Sandys był takim pedantem, że jego biedne córki...
Tu nastąpiły długie dygresje na temat poczynąń córek Sandysa i innych przyjaciół lady Carmichael z lat jej młodości.
- Ale ja wcale nie twierdzę, że z tymi dziewczętami jest coś nie w porządku, nie - ciągnęła lady Carmichael, wracając do tematu. - Po prostu mają temperament i obracają się w nieodpowiednim towarzystwie. Tutaj już nie tak, jak to kiedyś bywało. Teraz zjeżdżają się tu najrozmaitsi ludzie. Nie zostało już nic z tak zwanego ziemiaństwa. Dziś są tu tylko pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. A czego to ludzie nie opowiadają? Jak pan mówił? Anthony Hawker? O tak, znam go. Wyjątkowo niesympatyczny młody człowiek. Ale najwyraźniej tarza się w pieniądzach. Przyjeżdża tu na polowanie... no i urządza przyjęcia, bardzo wystawne i

trochę dziwne, jeśli wierzyć w to, co mówią... ale ja tam nigdy nie wierzę w takie rzeczy, uważam, że ludzie są wyjątkowo złośliwi! Zawsze wierzą w to, co najgorsze. Wie pan, że opowiadanie o tym, jak ktoś pije albo zażywa narkotyki, niemal weszło już w modę. Niedawno ktoś mi powiedział, że wszystkie dziewczęta to urodzone pijaczki, ale moim zdaniem to bardzo nieładnie mówić w ten sposób. A jeśli ktoś się zachowuje trochę inaczej, trochę dziwnie, to od razu mówią "narkotyki", a to też nieładnie. Mówią tak o pani Larkin i chociaż za nią nie przepadam, to jednak uważam, że to tylko zwykłe roztargnienie. Ona jest bardzo zaprzyjaźniona z tym pańskim Anthonym Hawkerem i moim zadaniem to właśnie dlatego tak nie znosi panien Grant... mówi, że to pozeraczki mężczyzn! Prawdę mówiąc, uganiają się trochę za mężczyznami, ale co w tym złego? W końcu to naturalne. Zwłaszcza, że wszystkie są ładniutki, sztuka w sztukę.

Poirot wstrzelił się z pytaniem.

- Pani Larkin? Mój drogi, nie ma sensu pytać mnie, kim ona jest. Kim są ludzie w dzisiejszych czasach? Powiadają, że dobrze jeździ konno i widać, że jest bardzo zamożna. Jej mąż był kimś w City. Umarł, nie rozwiodła się. Ona tu mieszka od niedawna, sprowadziła się zaraz po Graniach. Zawsze uważałam, że...

Lady Carmichael przerwała. Otworzyła usta, oczy wyszły jej z orbit. Pochyliła się i nożem do papieru, który trzymała w ręku, uderzyła Poirota po kostkach dłoni. Nie bacząc na jego syk bólu, wykrzyknęła z podnieceniem: - Ależ to jasne! Wiec to dlatego pan tu przyjechał! Podstępny potworze, musi mi pan zaraz wszystko opowiedzieć!

- Ale o czym?

Lady Carmichael wymierzyła następny żartobliwy cios, którego detektyw zwinnie uniknął.

- Poirot, niech pan nie będzie jak ten ślimak w skorupie! Widzę, że już panu drgają wąsy. To jasne, że sprowadziła tu pana jakaś zbrodnia... i bezwstydnie mnie pan podpytuje! Niech no pomyślę... czyżby chodziło o morderstwo? Kto umarł ostatnimi czasy? Tylko stara Louisa Glimore, ale ona miała osiemdziesiąt pięć lat i była schorowana. Na pewno nie o nią chodzi. Biedny Leo Stevenson złamał kark na polowaniu i leży cały w gipsie... wiec to też nie on. A może nie chodzi o morderstwo? Jaka szkoda! Nie przypominam sobie żadnej kradzieży biżuterii w ostatnim czasie... A może szuka pan po prostu jakiegoś przestępcy... Czy chodzi o Beryl Larkin? Otruła męża? Może to z powodu wyrzutów sumienia jest taka dziwna?

- Madame, madame - przerwał jej Herkules Poirot. - Zbyt prędko wyciąga pani wnioski.

- Bzdura. Pan coś kombinuje, Poirot.

- Czy jest pani na bieżąco z klasyką, madame?

- A co klasyka ma z tym wspólnego?

- Ano to, że podjąłem rywalizację z moim wielkim poprzednikiem, Herkulesem. Jedną z prac Herkulesa było okiełznanie klaczy Diomedesa.

- Niech mi pan nie wmawia, że przyjechał pan tutaj trenować konie... w pańskim wieku i w nieodłącznych lakierkach! Nie wygląda mi pan na takiego, który choć raz siedział w siodle!

- Konie, madame, są w tym wypadku symboliczne. Były to dzikie klacze, które żywiły się ludzkim mięsem.

- Bardzo to nieładnie z ich strony. Zawsze uważałam, że ci starożytni Grecy i Rzymianie byli niesympatyczni. Nie mogę pojąć, dlaczego księża z takim upodobaniem cytują klasyków... po pierwsze, nie sposób zrozumieć, o co im chodzi, a po drugie zawsze byłam zdania, że tematyka klasyków niezbyt pasuje do księży. Tyle tam kazirodztwa, i te kompletnie gołe posągi... ja wprawdzie nie mam nic przeciwko

temu, ale wie pan, jacy są księża... denerwują się nawet, jeżeli dziewczyna przyjdzie do kościoła bez pończoch! Zaraz, o czym to ja mówiłam?

- Sam już nie wiem.

- Przypuszczam, ohydo w ludzkiej skórze, że nie powie mi pan, czy pani Larkin zamordowała swojego męża? A może Anthony Hawker jest tym mordercą z Brighton?

Spojrzała na niego z nadzieją, lecz twarz Herkulesa Poirota pozostała nieprzenikniona.

- A może chodzi o fałszerstwo? - Lady Carmichael nie zaprzestała domysłów. - Niedawno spotkałam panią Larkin w banku, z samego rana. Właśnie realizowała czek na pięćdziesiąt funtów... pomyślałam sobie wtedy, że to mnóstwo pieniędzy jak na gotówkę. Ależ nie, odwrotnie, gdyby sfalszowała czek, to przecież by wpłaciła pieniądze, dobrze mówię? Poirot, jeżeli dalej będzie pan tak siedział jak sowa i nic nie mówił, to chyba czymś w pana rzucę!

- Musi pani uzbroić się w cierpliwość - rzekł Herkules Poirot.

IV

Ashley Lodge, rezydencja generała Granta, nie była zbyt wielką posiadłością. Położona na zboczu wzgórza, miała niezłe stajnie i wybujały, nieco zapuszczony ogród.

Wnętrze domu pośrednik handlu nieruchomościami określiłby zapewne jako "całkowicie umeblowane". Posążki Buddy siedzącego ze skrzyżowanymi nogami spoglądały ze swoich wnęk, mosiężne tace z Benares i stoliki zagracały podłogi. Procesje słoni ozdabiały gzymsy kominków, na ścianach zaś wisiały przedmioty ze zmaltretowanego mosiądzu.

W samym środku tego anglo-indyjskiego domostwa zasiadał w wielkim, podniszczonym fotelu generał Grant, opierając obandażowaną nogę na sąsiednim krześle.

- Podagra - wyjaśnił - Cierpiał pan kiedyś na podagrę, panie, hm... Poirot? Cholernie psuje humor! Wszystko przez mojego ojca. Całe życie pił porto, tak jak i dziadek. Odbiło się to na mnie. Napije się pan? Może zadzwoni pan na tego mojego chłopaka? Pojawił się służący w turbanie. Generał Grant, zwracając się do niego per Abdul, kazał mu przynieść whisky i wodę sodową. Kiedy służący wrócił, generał nalał gościowi porcję tak solidną, że Poirot zmuszony był zaprotestować.

- Niestety, nie mogę dotrzymać panu towarzystwa, panie Poirot. - Generał ze smutkiem spojrzał na karafkę.

- Mój lekarz twierdzi, że to dla mnie trucizna. Niech pan nie myśli, że on ma o tym jakieś pojęcie. Kupa ignorantów, ci lekarze. Potrafią tylko psuć ludziom życie. Cieszą się, jak mogą pozbawić człowieka jedzenia i picia i kazać mu wsuwać jakieś papki w rodzaju gotowanej ryby. Gotowana ryba, fuj!

Powodowany oburzeniem, generał nieostrożnie poruszył chorą nogą i ryknął z przeszywającego bólu. Przeprósł gościa za swoje zachowanie.

- Jestem jak niedźwiedź, którego rozboleła głowa. Jak mnie łapie atak podagry, dziewczęta schodzą mi z oczu. Ja tam ich nie winię. Słyszałem, że poznał pan jedną z nich?

- Tak, miałem tę przyjemność. Pan, zdaje się, ma kilka córek?

- Cztery - odparł generał posepnie - I ani jednego chłopaka. Cztery zatracone dziewczuszyska. W dzisiejszych czasach to jeden wielki kłopot.

- Słyszałem, że wszystkie są urocze.

- Wcale niezłe, wcale niezłe. Tyle że nigdy nie wiem, co one tam kombinują. Dziś nie

sposób utrzymać dziewcząt pod kontrolą. Swobodne czasy... wszędzie za dużo swobody. Co mężczyzna może na to poradzić? Przecież nie mogę ich zaniknąć pod kluczem.

- Sądzę, że są bardzo popularne w sąsiedztwie?

- Niektóre stare zołzy ich nie lubią - odrzekł generał Grant. - Tutaj niejedna stara baba stroi się na podlotka. Człowiek musi uważać. Jedna z tych błękitnookich wdówek o mało mnie nie złapała... przychodziła tu do mnie i mruczała jak kotka: "Biedny generale Grant, pan musiał mieć takie ciekawe życie". - Grant puścił oko i przytknął palec do nosa. - Za bardzo to było oczywiste, panie Poirot. Ale w sumie uważam, że to nie najgorsze miejsce pod słońcem. Jak na mój gust może tylko trochę zbyt prężne i hałaśliwe. Lubilem wieś wtedy, kiedy była to prawdziwa wieś, bez ryku samochodów, jazzu i wiecznego, przeklętego radia. Nie pozwolę na radio pod moim dachem i dziewczęta wiedzą o tym. W końcu człowiek ma prawo do chwili spokoju we własnym domu. Poirot delikatnie skierował rozmowę na Anthony Hawkera.

- Hawker? Hawker? Nie znam go. Zaraz, tak, a jednak go znam. Paskudny facet o zbyt blisko osadzonych oczach. Niech pan nigdy nie ufa ludziom, którzy nie potrafią patrzeć prosto w oczy.

- Zdaje się, że jest zaprzyjaźniony z pańską córką, Sheila?

- Z Sheila? Nie wiedziałem. Dziewczęta o niczym mi nie mówią. - Krzaczaste brwi opadły niżej nad nos, sterczący z czerwonej twarzy, a świdrujące niebieskie oczy wbiły się w Herkulesa Poirot. - Chwileczkę, panie Poirot, o co właściwie chodzi? Mógłby mi pan powiedzieć, co pana do mnie sprowadza?

- Trudno to wyjaśnić - odparł detektyw powoli. - Chyba sam dobrze nie wiem. Mogę powiedzieć tylko tyle: pańska córka Sheila - a może wszystkie pańskie córki - znalazły sobie nieodpowiednich przyjaciół.

- Wpadły w złe towarzystwo, tak? Trochę się tego obawiałem. Czasami słyszy się to i owo. - Spojrzał na detektywa patetycznie. - I co ja mam z tym zrobić, panie Poirot? Co ja mam zrobić?

Detektyw z zakłopotaniem potrząsnął głową.

- Co jest nie w porządku z tą paczką, do której one się dostały? - zapytał generał Grant.

Poirot odpowiedział pytaniem:

- Czy zauważył pan, generale Grant, żeby któraś z pańskich córek była markotna, podniecona, a potem przybita, zdenerwowana... zmienna w nastrojach?

- Do diabła, gada pan, jakby zachwalał jakiś specyfik. Nie, nic takiego nie zauważyłem.

- Całe szczęście - stwierdził poważnie Poirot.

- Co pan chce przez to powiedzieć, do diabła?

- Narkotyki!

- Co takiego?! - ryknął generał.

- Ktoś usiłuje zrobić z pańskiej córki Sheili nałogową narkomankę. Kokaina bardzo szybko powoduje przyzwyczajenie. Wystarczy tydzień lub dwa. A kiedy już się człowiek przyzwyczai, zapłaci każdą cenę, zrobi absolutnie wszystko, byleby otrzymać kolejną dawkę narkotyku. Może pan sobie wyobrazić, jak bogaty połów wyciąga z tego osoba, która handluje narkotykami.

Detektyw w milczeniu słuchał gniewnych przekleństw, które posypały się z ust starego generała. Po chwili, kiedy pierwszy ogień już wygasł i zakończył się szczegółowy opis tego, co on, generał Grant, robi z tym takim a takim synem, kiedy dostanie go w swoje ręce, Herkules Poirot powiedział:

- Najpierw, jak podaje w przepisach wasza niedościgniona pani Beeton, zająca trzeba złapać. Kiedy już złapiemy naszego handlarza narkotyków, z największą

przyjemnością przekazać go w pańskie ręce, generale.

Detektyw wstał i potknął się o bogato rzeźbiony stolik. Odzyskał równowagę opierając się o generała i mruknął:

- Tysiącrotnie przepraszam i błagam pana, generale, błagam, niech pan nie mówi ani słowa na ten temat swoim córkom.

- Co? Już ja z nich wycisnę całą prawdę, ot co!

- Otóż nie wycisnie pan nic. Jedyne, co pan usłyszysz, to kłamstwa.

- Do diabła, ależ...

- Zapewniam pana, generale Grant, że musi pan się pohamować. To sprawa najwyższej wagi... rozumie pan? Najwyższej!

- Zgoda, jak pan chce - warknął stary wojak. Podał się, lecz nie był przekonany.

Lawirując ostrożnie pomiędzy mosiężnymi precjozami z Benares, Herkules Poirot wyszedł.

V

Salon pani Larkin był pełen ludzi.

Sama pani Larkin mieszała koktajle przy bocznym stoliku. Była to wysoka kobieta o jasnokasztanowych, zebranych w kok włosach. Miała zielonoszare oczy o wielkich czarnych źrenicach. Poruszała się swobodnie, z jakby złowróżbnym wdziękiem.

Wyglądała na niewiele ponad trzydzieści lat i dopiero po bliższym przyjrzeniu się widać było zmarszczki w kącikach oczu, zdradzające, że miała o dobre dziesięć lat więcej niż się wydawało na pierwszy rzut oka.

Herlukesa Poirot przyprowadziła tam pewna energiczna pani w średnim wieku, przyjaciółka lady Carmichael. Detektyw otrzymał koktajl, wraz z poleceniem, by zaniósł drugi kieliszek siedzącej pod oknem dziewczynie. Dziewczyna była drobna, jasnowłosa, o lekko zaróżowionej, podejrzanie anielskiej twarzy. Jej oczy, na co Poirot natychmiast zwrócił uwagę, miały czujny, nieufny wyraz.

- Za pani nieustające zdrowie, mademoiselle - wznosił toast detektyw.

Skinęła tylko głową i wypila. Nagle powiedziała:

- Pan zna moją siostrę.

- Pani siostrę? A, więc pani jest jedną z panien Grant?

- Nazywam się Pam Grant.

- A gdzie się dziś podziewa pani siostra?

- Jest na polowaniu. Wkrótce powinna wrócić.

- Spotkałem pani siostrę w Londynie.

- Wiem.

- Mówiła pani?

Pam Grant kiwnęła głową. Nagle zapytała:

- Czy Sheila miała jakieś kłopoty?

- A więc nie powiedziała pani o wszystkim? Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Był tam Tony Hawker? - spytała.

Zanim Poirot zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i wszedł Tony Hawker w towarzystwie Sheili Grant. Ubrani byli w myśliwskie stroje. Sheila miała ubrudzony błotem policzek.

- Ogólne cześć, wpadliśmy się czegoś napić. Manierka Tony'ego całkiem wyschła.

- O wilku mowa - mruknął Poirot.

- Raczej o diable! - warknęła Pam Grant.

- Ach tak? - rzucił ostro detektyw.

Beryl Larkin podeszła do nowych gości.

- Jesteś już, Tony. Opowiedz, jak poszło. Wylosowaliście Zagajnik Gelerta?

Z wprawą zaciągnęła go do sofy przy kominku. Poirot ujrzał, jak Hawker odchodząc odwrócił głowę i spojrzał na Sheilę.

Sheila spostrzegła Poirota. Zawahała się, po czym podeszła do pary pod oknem.

- A więc to pan był wczoraj u nas w domu? - odezwała się gwałtownie.

- Ojciec pani powiedział? Potrząsnęła głową.

- Abdul mi pana opisał. Sama zgadłam.

- Pan się widział z ojcem? - zawołała Pam.

- A, tak - odparł detektyw. - Mamy wspólnych znajomych.

- Nie wierzę - powiedziała ostro Pam.

- W co pani nie wierzy? Że pani ojciec i ja możemy mieć wspólnych znajomych?

Dziewczyna zarumieniła się.

- Niech pan nie udaje głupiego. Chodzi mi o to, że miał pan inne powody...

Odwróciła się do siostry.

- Dlaczego nic nie mówisz, Sheilo?

Sheila wzdrygnęła się.

- Czy... czy to w związku z Tonym Hawkerem?

- A dlaczego akurat w związku z nim? - odpowiedział pytaniem Poirot.

Sheila zarumieniła się i odeszła do innych gości.

- Nie lubię Tony'ego Hawkera! - wybuchnęła gwałtownie Pam Grant przyciszonym głosem. - Ma w sobie coś... coś złowróbnego... i ona też... mam na myśli panią Larkin. Proszę im się teraz przyjrzeć.

Poirot spojrzał w ślad za jej wzrokiem.

Hawker nachylił głowę ku pani domu. Wydawało się, że ją pociesza. Pani Larkin na chwilę podniosła głos.

- ...ale ja nie mogę czekać. Chcę dostać zaraz.

- Les femmes - odezwał się Poirot z uśmiechem - zawsze muszą mieć wszystko od razu, prawda?

Pam Grant nie odpowiedziała. Z opuszczoną głową nerwowo skubała fałdy plisowanej tweedowej spódnicy.

- Pani się krańcowo różni od siostry, mademoiselle - powiedział detektyw swobodnym tonem.

Poderwała głowę, zniecierpliwiona banalami.

- Panie Poirot, co Tony dawał Sheili? - zapytała. - Co to jest, to co ją tak zmieniło?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Czy kiedykolwiek zażywała pani kokainę, panno Grant? - spytał.

Potrząsnęła głową.

- Nie! A więc o to chodzi? Kokaina? Ale czy to nie jest niebezpieczne?

Sheila Grant podeszła do nich z nowym kieliszkiem w ręku.

- Co jest niebezpieczne? - powiedziała.

- Rozmawiamy o skutkach zażywania narkotyków - odparł Poirot. - O powolnej śmierci umysłu i ducha... o niszczeniu tego wszystkiego, co w człowieku jest prawdziwe i wartościowe.

Sheila Grant wstrzymała dech. Zakołysała kieliszkiem, rozlewając napój na podłogę.

Tymczasem Poirot mówił dalej:

- Sądzę, że doktor Stoddart wyjaśnił pani dokładnie, co pociąga za sobą ta śmierć za życia. Tak łatwo zacząć, a tak trudno skończyć. Ten, kto z premedytacją czerpie korzyści z degradacji i cierpienia innych ludzi, jest wampirem żywiącym się ludzkim ciałem i krwią.

Odwrócił się. Za plecami usłyszał głos Pam Grant, mówiący: "Sheila!" i szept, ledwie dosłyszalny szept Sheili Grant:

- Manierka...

Herkules Poirot pożegnał się z panią Larkin i wyszedł do holu. Na stoliku, obok szpicruty i czapki, leżała myśliwska manierka. Poirot podniósł ją. Widniały na niej inicjały: AH,

- Manierka Tony'ego jest pusta? - mruknął do siebie. Potrząsnął nią delikatnie. Nie usłyszał bulgotu płynu.

Odkręcił nakrętkę.

Manierka Tony'ego Hawkera nie była pusta. Była pełna... pełna białego proszku...

VI

Herkules Poirot stał na tarasie domu lady Carmichael, błagalnie przekonując dziewczynę.

- Pani jest bardzo młoda, mademoiselle. Wierzę, że nie wiedziała pani, nie zdawała pani sobie sprawy z tego, co pani i pani siostry robicie. Jak klacze Diomedesa żywiłyście się ludzkim mięsem.

Sheila wzdrygnęła się i zachlipała.

- Brzmi to straszliwie, tak pan to ujął. Ale to prawda! Nie zdawałam sobie z tego sprawy aż do tego wieczoru w Londynie, kiedy doktor Stoddart ze mną rozmawiał. Był taki poważny, taki szczerzy. Zrozumiałam wtedy, jakie to straszne, to co zrobiłam... Przedtem myślałam, że to coś... coś jakby kieliszek po pracy. Coś, za co ludzie chętnie zapłacą, ale co w gruncie rzeczy nie ma większego znaczenia.

- A teraz? - zapytał Herkules Poirot.

- Zrobię wszystko, co pan każe - odparła Sheila.

- Ja... porozmawiam z innymi. Doktor Stoddart pewnie nigdy już się do mnie nie odezwie...

- Wprost przeciwnie - rzekł Poirot. - Zarówno doktor Stoddart, jak i ja jesteśmy skłonni pomóc pani ze wszystkich sił w rozpoczęciu nowego życia. Może nam pani zaufać. Ale jedną rzecz musimy załatwić - musimy zniszczyć pewną osobę, zniszczyć całkowicie, a tylko pani i pani "siostry" możecie tego dokonać. Tylko i wyłącznie wasze zeznania mogą doprowadzić do wyroku skazującego.

- Pan myśli o... moim ojcu?

- Nie o pani ojcu, mademoiselle. Czyż nie mówiłem pani, że Herkules Poirot wie wszystko? Na policji bez trudu rozpoznano pani zdjęcie. Nazywa się pani Sheila Kelly i jest pani notoryczną złodziejką okradającą sklepy, skazaną kilka lat temu na dom poprawczy. Po zwolnieniu skontaktował się z panią człowiek tytułujący siebie generałem Grantem i zaproponował pani objęcie tej posady... posady "córki". Obiecywał mnóstwo pieniędzy, zabawy, rozrywki. Pani zaś miała jedynie pokazywać "wąchadło" znajomym, udając, że to kto inny je pani dostarczył. To samo się tyczy pani "sióstr".

Przerwał na moment.

- Niestety, mademoiselle... tego człowieka należy zdemaskować i skazać. A potem...

- Potem?

Poirot zakaszłał i rzekł z uśmiechem:

- Zostanie pani poświęcona służbie bogom...

VII

Michael Stoddart patrzył na Poirota ze zdumieniem. - generał Grant? - wybąkał. - Generał Grant? - Otóż, mon cher. Cała ta mise en scene* była, jak byś to powiedział, "mocno fałszywa". Te posążki Buddy, te mosiądze z Benares, ten służący Hindus! No i podagra! Podagra to przecież przeżytek. Cierpią na nią jeszcze bardziej podeszli w

latach panowie... ale nie ojcowie dziewiętnastoletnich córek.

Co więcej, sprawdziłem to. Wychodząc potknąłem się i oparłem o tę rzekomą chorą nogę. Dżentelmen ów tak się przejął tym, co mówiłem, że nawet tego nie zauważył. O tak, fałszywy jest nasz generał, bardzo fałszywy. Tout de meme*, pomysł był wcale dobry. Emerytowany generał po służbie w Indiach, dobrze znana karykaturalna postać z chorą wątrobą i cholerycznym usposobieniem, osiedla się nie wśród innych emerytowanych wojskowych, o nie, on sobie znajduje milieu* o wiele za drogie dla przeciętnego emerytowanego żołnierza. Takie, gdzie jest wielu bogaczy, ludzi z Londynu, gdzie ma znakomite pole do rozprowadzania towaru. A któż by podejrzewał cztery żywe, atrakcyjne młode dziewczęta? Jeżeli cokolwiek wyjdzie na jaw, będą uważane za ofiary, to pewnik!

- Co pan właściwie zamierzał, wybierając się do tego starego drania? Chciał mu pan popędzić kota?

- Tak. Chciałem się przekonać, co z tego wyniknie. Dziewczęta otrzymały rozkazy. Anthony Hawker, w rzeczywistości jedna z ofiar, miał zostać kozłem ofiarnym. Sheila miała mi powiedzieć o manierce w holu. Prawie nie mogła się na to zdobyć... ale ta druga warknęła na nią: "Sheila"! i w końcu jakoś to wykrztusiła.

Michael Stoddart wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Wie pan, nie zamierzam stracić z oczu tej dziewczyny - oświadczył. - Mam pewną teorię na temat skłonności przestępczych u młodocianych. Jeżeli zbadać ich przeszłość rodzinną, to niemal zawsze okazują się...

- Mon cher - przerwał mu Poirot - żywię najgłębszy szacunek dla pańskiej wiedzy. Nie wątpię, że w wypadku panny Kelly pańskie teorie sprawdzą się co do joty.

- W wypadku innych też.

- Być może. Niewykluczone. Ale mała Sheila jest jedyną, co do której jestem tego najzupełniej pewny.

Okiełzna ją pan, to pewne! Prawdę mówiąc, to już teraz je panu z ręki.

Michael Stoddart spłonął rumieńcem.

- Głupstwa pan gada, Poirot.

PAS HIPOLITY

I

"Po nitce do kłębka" - zwrot ten, choć niezbyt może oryginalny, Herkules Poirot powtarzał z upodobaniem, dodając, że nigdy nie było to bardziej widoczne niż w wypadku skradzionego Rubensa.

Sprawa Rubensa specjalnie go nie interesowała. Po pierwsze dlatego, że Rubens nie należał do jego ulubionych malarzy, a ponadto okoliczności kradzieży były ze wszech miar pospolite. Podjął się jednak tego zadania, chcąc oddać przysługę Alexandrowi Simpsonowi, który był w końcu jego przyjacielem, a także z pewnych powodów osobistych, mających związek z klasą.

Kiedy kradzież stała się faktem, Alexander Simpson wezwał Poirota i wyplakał przed nim swą niedolę. Skradziony Rubens był niedawnym odkryciem, nie znanym dotychczas arcydziełem, lecz jego autentyczność nie ulegała najmniejszej wątpliwości. Wystawiono go w Galerii Simpsona, skąd skradziono go w biały dzień. Działo się to w tym okresie, kiedy rzesze bezrobotnych stosowały taktykę blokowania przejść dla pieszych czy też wdzierania się do hoteli klasy Ritza. Do Galerii Simpsona wtargnęła niewielka grupka takowych demonstrantów i zaległa na podłodze, rozpościerając transparent z napisem: "Sztuka to luksus. Nakarmić głodnych". Wezwano policję, ciekawscy gapie zaczęli się tłoczyć, a kiedy już przedstawiciele prawa siłą usunęli demonstrujących, zauważono, że nowy Rubens został zgrabnie

wycięty z ramy i również usunięty!

- Widzi pan, to był nieduży obraz - wyjaśnił Simpson. - Ktoś mógł go zwinąć pod pachę i wyjść sobie spokojnie, podczas gdy wszyscy gapili się na tych zwariowanych bezrobotnych.

Okazało się, że ludzie ci zostali opłaceni w zamian za odegranie w kradzieży niewinnej roli. Mieli demonstrować w Galerii Simpsona, ale prawdziwy powód tej akcji poznali dopiero po wszystkim.

Herkules Poirot pomyślał, że była to wcale zabawna sztuczka, nie rozumiał jednak, co mógłby zrobić w tej sprawie. Dowodził, że przy tak banalnej kradzieży można z pełnym zaufaniem zdać się na policję.

- Niech pan posłucha, Poirot - rzekł Alexander Simpson. - Ja wiem, kto ukradł ten obraz i gdzie on teraz jedzie.

Według właściciela Galerii Simpsona płótno ukradła międzynarodowa szajka przestępców z inspiracji pewnego milionera, któremu odpowiadało zdobywanie dzieł sztuki po' zadziwiająco niskich cenach - i bez żadnych pytań! Rubens, powiedział Simpson, ma być przemycony do Francji, gdzie przejdzie w ręce milionera. Policja angielska i francuska były w pogotowiu, Simpson jednak przewidywał, że zawiodą.

- A jeśli obraz dostanie się w ręce tego łajdaka, sprawa stanie się o wiele trudniejsza. Bogatych trzeba traktować z szacunkiem. I właśnie w tym momencie wkroczy pan. Sytuacja będzie delikatna. Pan jest odpowiednim człowiekiem do takiego zadania. Ostatecznie Herkules Poirot dał się nakłonić do podjęcia się tej sprawy, choć bez entuzjazmu. Zgodził się wyruszyć natychmiast do Francji. Powierzone zadanie niezbyt go interesowało, ale to właśnie dzięki niemu zapoznał się ze sprawą zaginionej uczennicy, ta zaś zainteresowała go, i to bardzo.

Po raz pierwszy usłyszał o niej od nadinspektora Jappa, który wstąpił do niego w chwili, gdy Poirot wyrażał uznanie swojemu służącemu za spakowanie walizek.

- Ha! - huknął Japp. - Wybieramy się do Francji, co?

- Mon cher, wy w Scotland Yardzie jesteście nadzwyczaj dobrze poinformowani - zauważył Poirot.

Japp zachichotał.

Ma się swoje wtyczki! Simpson wciągnął pana w tę sprawę Rubensa. Wygląda na to, że nam nie ufa! No więc ja tak trochę ni z gruszki, ni z pietruszki, bo chciałbym, żeby pan się zajął czymś zupełnie innym. Skoro i tak jedzie pan do Paryża, pomyślałem, że mógłby pan upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Na miejscu jest tam już detektyw inspektor Hearn, współpracujący z Francuzami... zna pan Hearn? Dobry chłop, ale nie staje mu wyobraźni. Chętnie poznałbym pańskie zdanie o tej sprawie.

- O jakiej to sprawie pan mówi?

- Zaginionego dziecka. Znajdzie się to w wieczornych gazetach. Wygląda na to, że dziewczynka została porwana. Nazywa się King, Winnic King.

Przeszedł do faktów.

Winnie jechała do Paryża, by wstąpić do specjalnej ekskluzywnej szkoły z internatem dla dziewcząt z Anglii i Ameryki - do szkoły panny Pope. Przybyła do Londynu rannym pociągiem z Cranchester, a następnie pod opieką pracowniczki Elder Sisters Ltd., która to firma zajmuje się między innymi eskortowaniem młodych dziewcząt z jednej stacji na drugą, trafiła do rąk panny Burshaw, zastępczyni panny Pope, na dworzec Victoria, skąd wyjechała promem w towarzystwie osiemnastu innych dziewcząt. Dziewiętnaście dziewcząt przepłynęło kanał La Manche, przeszło przez kontrolę celną w Calais, wsiadło do pociągu paryskiego i jadło obiad w wagonie restauracyjnym. Kiedy jednak na przedmieściach Paryża panna Burshaw policzyła swoje podopieczne, okazało się, że jest ich tylko osiemnaście!

- Hm - bąknął Poirot. - czy pociąg gdzieś się zatrzymywał?

- Miał przystanek w Amiens, ale dziewczęta siedziały wtedy w restauracyjnym i wszystkie twierdzą zgodnie, że Winnie była tam razem z nimi. Zgubiły ją, że się tak wyrażę, w drodze powrotnej do przedziałów. Krótko mówiąc, nie wróciła do swojego przedziału razem z pięcioma innymi dziewczętami, które z nią jechały. Jej koleżanki nie podejrzewały, że stało się coś złego, sądziły, że została w którymś z dwóch pozostałych zarezerwowanych dla nich przedziałów.

Poirot pokiwał głową.

- A kiedy widziano ją po raz ostatni?

- Mfiej więcej dziesięć minut po odjeździe pociągu z Amiens. - Japp zakaszłał skromnie. - Ostatnio widziano ją, kiedy... hm... wchodziła do toalety.

- Typowe - mruknął Poirot pod nosem. - To już wszystko?

- Nie, jest jeszcze coś - rzekł Japp z ponurym wyrazem twarzy. - Na poboczu toru znaleziono jej kapelusz... mniej więcej czternaście mil za Amiens.

- Ale zwłok nie było?

- Żadnych zwłok.

- I co pan o tym sądzi? - zapytał Poirot.

- Trudno tu cokolwiek sądzić! Skoro nie ma jej zwłok, to nie mogła wypaść z pociągu. - Czy pociąg zatrzymywał się jeszcze gdzieś za Amiens?

- Nie. Raz tylko zwolnił... przed semaforem, ale nie zatrzymał się i wątpię, czy zwolnił na tyle, żeby ktoś mógł wyskoczyć i wyjść z tego cało. Myśli pan, że mała wystraszyła się i chciała uciec? To miał być jej pierwszy semestr, więc mogła ją ciągnąć do domu, to prawda, ale miała przecież ponad piętnaście lat... w tym wieku dziewczęta są rozsądne, a zresztą przez całą drogę była w świetnym humorze, wciąż szczebiotała i tak dalej...

- Czy przeszukano pociąg? - zapytał Poirot.

- A tak, przeszukano go jeszcze, zanim wyjechał na Gare du Nord. Nie było jej w pociągu, to pewne. - Po chwili milczenia Japp dorzucił z desperacją w głosie: - Po prostu zniknęła... rozplynęła się w powietrzu! W tym nie ma za grosz sensu, panie Poirot. To obłąd!

- Co to była za dziewczyna?

- Zwyczajna, z tego, co wiem, całkiem przeciętna.

- Chodzi mi o to, jak wyglądała?

- Mam tu jej zdjęcie. Szczerze mówiąc, nie jest to jakaś uderzająca piękność.

Wręczył zdjęcie Poirotowi, który obejrzał je w milczeniu.

Fotografia przedstawiała kościstą dziewczynę o włosach splecionych w dwa proste warkocze. Nie było to zdjęcie pozowane, dziewczynkę najwyraźniej sfotografowano zniechęta, w trakcie jedzenia jabłka. Jej rozchylone wargi ukazywały nieco wystające zęby przykryte aparatem dentystycznym. Nosila okulary.

- Przeciętna mała... ale w tym wieku one wszystkie są przeciętne! - odezwał się Japp. - Wczoraj przeglądałem u dentysty "Sketch" i zobaczyłem zdjęcie Marcii Gaunt, to tegoroczna piękność. Pamiętam ją, jak miała piętnaście lat. Byłem wtedy w ich "zamku z powodu włamania. Dziobata, niezdarna, z wystającymi zębami, proste włosy i w ogóle. One przemieniają się w piękność w ciągu jednej nocy. Nie mam pojęcia, jak to się dzieje! To jakiś cud.

Poirot uśmiechnął się.

- Kobiety - oświadczył - to cudowna pleć! A co z rodziną dziecka? Nie mają nic do powiedzenia?

Japp potrząsnął głową.

- Nic takiego, co mogłoby pomóc. Matka jest inwalidką. Biedny kanonik King jest zupełnie wytracony z równowagi. Przysięga, że dziewczynka aż się paliła do wyjazdu do Paryża... tylko na to czekała. Chciała uczyć się malarstwa i muzyki. Dziewczęta od

panny Pope zdają na malarstwo z samymi piątkami. Pewnie pan wie, że szkoła panny Pope jest powszechnie znana. Uczy się w niej wiele dziewcząt z wyższych sfer. Panna Pope jest surowa - to istny smok - bardzo droga i bardzo wybredna w doborze uczennic.

Poirot westchnął.

- Tak, znam ten typ. A panna Burshaw, która odebrała dziewczynki z .Anglii?

- Nadmiarem intelektu to ona nie grzeszy. Boi się, że panna Pope uzna, że to z jej winy.

- A czy w tej sprawie nie ma przypadkiem jakiegoś młodego człowieka? - zapytał Poirot w zamyśleniu.

Japp pomachał ręką w stronę zdjęcia.

- Czy ona na to wygląda?

- Nie, nie wygląda. Ale pomijając jej aparycję, być może ma romantyczną duszę. Piętnaście lat to wcale nie tak mało.

- No, jeżeli romantyczna dusza cudownym sposobem uniosła ją z pociągu, to zaczęć czytać babskie romanse - oświadczył Japp. Z nadzieją popatrzył na Poirota.

- Nic pana w tym nie uderzyło, co? Detektyw potrząsnął głową powoli.

- Czy nie znaleziono przypadkiem jej butów w pobliżu torów? - zapytał.

- Butów? Nie. A dlaczego?

- To tylko taki luźny pomysł - mruknął Poirot.

II

Kiedy zadzwonił telefon, Herkules Poirot miał właśnie zejść do taksówki. Podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Cieszę się, że pana złapałem - usłyszał głos Jappa.

- Już po wszystkim, mój stary. W Yardzie zastałem wiadomość. Dziewczynkę już znaleziono, na poboczu drogi piętnaście mil za Amiens. Jest oszołomiona i nie mogą wydobyć z niej żadnych składnych zeznań, lekarz twierdzi, że naszpikowano ją narkotykami, ale jest zdrowa i cała. Nic jej się nie stało.

- A więc moje usługi nie będą już panu potrzebne? - spytał detektyw powoli.

- Nie, niestety! Przepraszam, że pana trrudziłem. Japp uśmieł się ze swojego dowcipu i wyłączył się.

Herkules Poirot się nie roześmiał. Powoli odłożył słuchawkę. Twarz miał zmartwioną.

III

Detektyw inspektor Heam spojrział na Poirota ciekawie.

- Nie miałem pojęcia, że to pana tak zainteresuje - odezwał się.

- Nadinspektor Japp nie poinformował pana, że przypuszczalnie zwrócę się do pana w tej sprawie?

Heam skinął głową.

- Powiedział, że przyjeżdża pan tu w związku z inną sprawą i że być może zechce nam pan pomóc w rozwikłaniu tej łamigłówki. Ale nie spodziewałem się pana teraz, kiedy już po wszystkim. Myślę, że zajmie się pan własnymi sprawami.

- Moje sprawy mogą poczekać - rzekł Poirot. - Natomiast ta sprawa bardzo mnie interesuje. Nazwał pan ją łamigłówką i mówi pan, że już po wszystkim. A mnie się zdaje, że łamigłówka pozostała.

- No cóż, odzyskaliśmy dziewczynkę. I nic jej się nie stało. To najważniejsze.

- Ale to nie wyjaśnia, w jaki sposób ją odzyskaliście, przyzna pan? Co ona sama

mówi? Badał ją lekarz, prawda? Co on na to?

- Twierdzi, że podali jej narkotyki. Wciąż jeszcze jest po nich otepiała. Najwyraźniej niewiele pamięta z tego, co działo się po jej wyjeździe z Cranchester. Ma zanik pamięci. Lekarz uważa, że mogła doznać lekkiego wstrząsu. Ma siniaka z tyłu głowy. Lekarz mówi, że może to być powodem amnezji.

- Co dla kogoś jest bardzo dogodne - stwierdził Poirot.

- Nie sądzi pan chyba, że ona udaje? - rzekł inspektor Hearn z powątpiewaniem.

- A pan?

- Nie, jestem pewny, że nie. To miłe dziecko... trochę niedojrzałe jak na swój wiek.

- Tak, ona nie udaje - przyznał Poirot i potrząsnął głową. - Chciałbym się jednak dowiedzieć, w jaki sposób wysiadła z pociągu. Chciałbym się dowiedzieć, kto maczał w tym palce.... i dlaczego.

- Jeśli o to chodzi, powiedziałbym, że była to próba porwania. Zamierzali wziąć za nią okup.

- Ale tego nie zrobili!

- Przez to całe larum stracili zimną krew i porzucili ją na poboczu drogi.

- A jakiegoż to okupu mogli się spodziewać od kanonika katedry w Cranchester? - zapytał Poirot sceptycznie. - Dostojnicy Kościoła anglikańskiego to nie milionerzy.

- Moim zdaniem spartolili robotę - oświadczył radośnie inspektor.

- Ach, więc takie jest pańskie zdanie?

- A pańskie? - zapytał Hearn, rumieniąc się lekko.

- Chcę się dowiedzieć, w jaki sposób zniknęła z tego pociągu.

Twarz inspektora spochmurniała.

- Tak, proszę pana, to rzeczywiście zagadka. Najpierw siedziała w restauracyjnym, rozmawiając z resztą dziewcząt, a pięć minut później zniknęła... hokus-pokus i już, jak w kuglarskiej sztuczce.

- Otóż to, jak w kuglarskiej sztuczce! Kto jeszcze jechał w wagonie, w którym panna Pope zarezerwowała przedziały dla dziewcząt?

Inspektor Hearn pokiwał głową.

- Słuszne pytanie, proszę pana. To ważne. Ważne zwłaszcza dlatego, że był to ostatni wagon składu i jak tylko wszyscy wrócili z restauracyjnego, zamknięto drzwi między wagonami... prawdę mówiąc po to, żeby pasażerowie nie tłoczyli się przed restauracyjnym po herbatę, zanim nie posprzątają po obiedzie i się nie przygotują. Winnie King wróciła do wagonu z resztą dziewcząt... szkoła miała tam zarezerwowane trzy przedziały.

- A w innych przedziałach w tym wagonie?

Hearn wyciągnął notes.

- Panna Jordan i panna Butters - dwie stare panny udające się do Szwajcarii. Są w porządku, to bardzo szacowne damy, dobrze znane w Hampshire, skąd pochodzą. Dwóch francuskich komiwojazerów, jeden z Lyonu, drugi z Paryża. Szacowni panowie w średnim wieku. Młody człowiek nazwiskiem James Elliot i jego żona... całkiem niezła sztuka. On ma natomiast nieciekawą reputację, policja podejrzewa, że jest zamieszany w jakieś podejrzaną transakcję... ale nigdy nie parał się kidnappingiem. Tak czy inaczej, przeszukano jego przedziały i w jego bagażu nie znaleziono nic takiego, co by sugerowało jego związek z tą sprawą. Nie wiem zresztą, co mógłby mieć z tym wspólnego. No i wreszcie Amerykanka, pani van Suyder, udająca się do Paryża. Nic o niej nie wiadomo. Na pozór jest czysta. To już wszyscy.

- I jest absolutnie pewne, że po odjeździe z Amiens pociąg nie zatrzymał się ani na chwilę? - rzekł Herkules Poirot.

- Absolutnie. Raz zwolnił, ale nie na tyle, żeby można było wyskoczyć nie ryzykując przy tym własnym życiem.

- I właśnie dlatego ten problem jest tak ciekawy - mruknął Herkules Poirot. - Tuż za Amiens uczennica rozplywa się w powietrzu i tuż za Amiens zniemacka się pojawia. A gdzie się podziewa przez ten czas?

Inspektor Heam potrząsnął głową.

- Tak pan to ujął. że brzmi to jak jakieś wariactwo. A przy okazji, dowiedziałem się, że pytał pan o jakieś buty... o buty tej dziewczynki. Była w butach, kiedy ją znaleziono, ale koło torów leżała inna para butów. Znalazł je dróżnik i zabrał je do domu, bo były jeszcze całkiem dobre. Mocne, czarne buciki.

- Aha! - bąknął Poirot z wyraźnym zadowoleniem.

- Nie rozumiem, o co chodzi z tymi butami, proszę pana - powiedział inspektor z ciekawością. - Czy mają jakieś znaczenie?

- Potwierdzają moją teorię - odrzekł Herkules Poirot. - Teorię na temat sposobu, w jaki przeprowadzono tę kuglarską sztuczkę.

IV

Szkoła panny Pope, tak jak i wiele innych tego typu szkół, mieściła się w Neuilly. Herkulesa Poirot, który przyglądał się właśnie imponującej fasadzie gmachu, wchłonęła nagle fala dziewcząt, które wysypały się przez drzwi.

Naliczył ich dwadzieścia pięć. Wszystkie były ubrane tak samo - w ciemnoniebieskie płaszcze i spódniczki i ciemnoniebieskie kapelusze z weluru, przewiązane otoczką w barwach firmowych panny Pope - purpurze i złocie. Były w wieku od czternastu do osiemnastu lat, grube i szczupłe, jasne i ciemne, niezdarne i zgrabne. Na samych końcu, w towarzystwie jednej z młodszych dziewcząt, szła siwowłosa, zrzędlawa kobieta. Poirot domyślił się, że to panna Burshaw.

Przez chwilę detektyw spoglądał za uczennicami, po czym nacisnął dzwonek i spytał o pannę Pope.

Panna Lavinia Pope różniła się w każdym calu od swojej zastępczyni, panny Burshaw. Miała osobowość.

Wzbudzała lęk. Nawet w trakcie swobodnych rozmów z rodzicami zachowywała tę oczywistą wyższość, tak cenną u dyrektorki szkoły.

Siwe włosy miała wytwornie ufryzowane, a kostium surowy, lecz szykowny. Była kompetentna i wszechwiedząca.

Pokój, w którym przyjęła Poirota, był pokojem kobiety o dużej kulturze. Za wystrój służyły stylowe meble, kwiaty oraz kilka oprawionych w ramki i podpisanych fotografii tych uczennic panny Pope, które zyskały światową sławę. Na ścianach wisiały reprodukcje arcydzieł malarstwa światowego i kilka udanych akwareli. Całe pomieszczenie było czyste i lśniące jak lza. Odnosiło się wrażenie, że żaden pyłek kurzu nie ośmieliłby się osiąść w tej świątyni.

Panna Pope przyjęła Poirota z pewnością siebie kogoś, kto rzadko się myli.

- Monsieur Herkules Poirot? Oczywiście znam pańskie nazwisko. Przypuszczam, że zjawił się pan w związku z tą niemiłą sprawą Winnie King. To był bardzo przygnębiający wypadek.

Panna Pope nie sprawiała wrażenia przygnębionej. Podeszła do katastrofy jak należy, zajęła się nią z wprawą i kompletnie zbagatelizowała jej znaczenie.

- Nic podobnego do tej pory się nie zdarzyło - oświadczyła.

"I nigdy więcej nie zdarzy!" - zdawała się mówić cała jej postawa.

- To miał być jej pierwszy semestr u pani, prawda? - zapytał Poirot.

- Tak.

- Odbyła pani wstępną rozmowę z Winnie i jej rodzicami?

- Tak, choć nie tak ostatnio. Dwa lata temu przebywałam niedaleko Cranchester...

nawiasem mówiąc, u biskupa (postawa panny Pope dawała do zrozumienia: "Raczy pan zwrócić uwagę, że należę do grona tych, którzy bywają u biskupów"). Poznałam tam kanonika i panią King. Pani King jest, niestety inwalidką. Tam też poznałam Winnie. Bardzo dobrze wychowana panna, ma wyraźny pociąg do sztuki. Powiedziałam pani King, że z przyjemnością przyjmę jej córkę do siebie... za rok czy dwa, kiedy ukończy szkołę powszechną. My, panie Poirot, specjalizujemy się tu w muzyce i sztuce. Dziewczęta bywają w operze, w Comedie Française, chodzą na wykłady do Luwru. Przyjeżdżają tu najlepsi mistrzowie, aby uczyć je muzyki, śpiewu, malarstwa. Naszym celem jest upowszechnianie kultury.

Nagle panna Pope przypomniała sobie, że Poirot nie jest ojcem, i spytała zniecierpliwiona:

- Czym mogę panu służyć, monsieur Poirot?

- Chciałbym wiedzieć, jak się obecnie przedstawia sytuacja jeśli chodzi o Winnie?

- Kanonik King przyjechał do Amiens, aby zabrać Winnie z powrotem. To jedyne rozsądne wyjście zważywszy na wstrząs, jaki przeżyło to dziecko.

Przerwała na chwilę.

- My nie przyjmujemy delikatnych dziewcząt - ciągnęła. - Nie mamy tu specjalnych udogodnień, aby zajmować się inwalidkami. Powiedziałam kanonikowi, że moim zdaniem dobrze by zrobił zabierając dziecko z powrotem.

- A pani zdaniem, co się właściwie wydarzyło, panno Pope? - zapytał bez ogródek detektyw.

- Nie mam pojęcia, monsieur Poirot. Trudno uwierzyć w tę sprawę w takiej wersji, w jakiej do mnie dotarła. Nie widzę żadnego powodu, aby winić osobę z mojego personelu, która zajmowała się dziewczętami... ewentualnie tylko to, że mogła szybciej odkryć zaginięcie dziewczynki.

- A czy nie miała pani przypadkiem wizyty policji? Przez arystokratyczną postać panny Pope przeszedł lekki dreszcz.

- Był u mnie niejaki monsieur Lefarge z prefektury, dowiedzieć się, czy mogłabym rzucić trochę światła na ten incydent - odparła lodowatym tonem. - Naturalnie, nie mogłam mu pomóc. Wtedy zażyczył sobie, żeby dać mu do obejrzenia walizkę Winnie, którą, naturalnie dostarczono tu razem z bagażem innych dziewcząt. Powiedziałam, że po walizkę dzwonił już kto inny z policji. Coś mi się zdaje, że oni tam mają niezły bałagan. Krótco potem zadzwonili do mnie i upierali się, że nie wydałam im bagażu Winnie. Moja rozmowa z nimi była krótka. Nie można dopuścić, żeby władze weszły nam na głowę.

Poirot odetchnął głęboko.

- Ma pani nadzwyczaj dzielną naturę - oświadczył. - Podziwiam panią, mademoiselle. Rozumiem, że po dostarczeniu bagażu walizkę Winnie rozpakowano?

Panna Pope była wyraźnie zbита z tropu.

- i Taki mamy zwyczaj - powiedziała. - Żyjemy tu według ustalonych zwyczajów. Bagaże dziewcząt rozpakowujemy zaraz po dostarczeniu i chowamy je tak, jak mają być chowane zawsze. Rzeczy Winnie rozpakowano razem z rzeczami pozostałych dziewcząt. Naturalnie, potem spakowano je z powrotem, tak że oddałam walizkę w takim stanie, w jakim się tu znalazła.

- Dokładnie w takim samym stanie? - rzekł Poirot. Podszedł do ściany.

- Czyż nie jest to obraz słynnego mostu w Cranchester z widokiem katedry w tle?

- Ma pan słuszość, panie Poirot. Zapewne Winnie namalowała go dla mnie, chcąc mi zrobić niespodziankę. Ten obraz znajdował się w jej walizce, z napisem na opakowaniu: "Dla panny Pope od Winnie". To bardzo miły gest z jej strony.

- Aha! - bąknął Poirot. - A co pani o nim sądzi... jako o dziele sztuki?

On sam widział wiele obrazów przedstawiających most w Cranchester. Rokrocznie temat ten można było spotkać na wystawie w Akademii - czasami w oleju, czasami w

akwareli. Widział już ten most namalowany dobrze, miernie i nudno, nigdy jednak nie widział go w wersji tak surowej.

Panna Pope roześmiała się pobłaźliwie.

- Nie należy zniechęcać dziewcząt, panie Poirot. Przeciwnie, należy wzbudzać w nich zapał do lepszej pracy.

- Byłoby chyba bardziej naturalne, gdyby posłużyła się akwarelami, nie sądzi pani? - rzekł Poirot w zamyśleniu.

- Istotnie. Nie wiedziałam, że próbuje malować farbami olejnymi.

- Tak... Pozwoli pani, mademoiselle?

Poirot zdjął obraz ze ściany i podszedł z nim do okna. Obejrzał go dokładnie, po czym, odwracając się do panny Pope, oświadczył:

- Muszę panią prosić, mademoiselle, żeby dała mi pani ten obraz.

- No cóż, panie Poirot, doprawdy...

- Niech pani nie udaje, że jest pani do niego przywiązana. To malarstwo jest naprawdę ohydne.

- Tak, przyznaję, że nie ma żadnej wartości artystycznej. Ale to jednak praca uczennicy i...

- Zapewniam panią, mademoiselle, że obraz ten nie jest godny wisieć na pani ścianie.

- Nie wiem, dlaczego pan tak mówi, panie Poirot.

- Udowodnię to pani za chwilę.

Z kieszeni wyciągnął buteleczkę, gąbkę i kilka szmatek.

- Najpierw jednak opowiem pani pewną historyjkę, mademoiselle. W pewnym sensie ma ona coś wspólnego z baśnią o brzydkim kaczątku, które przemieniło się w łabędzia.

Mówiąc to, pracował pilnie. Pokój przepelnił zapach terpentyny.

- Przypuszczam, że nieczęsto bywa pani na rewiach teatralnych?

- Rzeczywiście, wydają mi się nader trywialne...

- Trywialne, to prawda, ale czasami pouczające. Widziałem jak sprytna artystka rewiiowa zmieniała swą powierzchowność w niemal magiczny sposób. W jednym skeczu była gwiazdą kabaretową, wspaniałą i olśniewającą. Dziesięć minut później była drobnym, anemicznym dzieckiem z polipami w nosie, ubranym w mundurek gimnazjalistki... a jeszcze dziesięć minut później była Cyganką w łachmanach, przepowiadającą przyszłość.

- Nie wątpię, że to możliwe, nie widzę jednak...

- Ależ ja pani tłumaczę, w jaki sposób odegrano tę kuglarską sztuczkę w pociągu.

Winnie, uczennica o jasnych warkoczach, w okularach i z aparatem dentystrycznym udaje się do toalety. Kwadrans później wychodzi stamtąd jako - że użyję słów detektywa inspektora Hearn - niezła sztuka. Jedwabne pończochy, boty na wysokich obcasach, futro z norek, by ukryć strój uczennicy, na lokach kawałek aksamitu zwany kapeluszem... i twarz, właśnie twarz! Róż, puder, szminka, makijaż! Jak wygląda naprawdę twarz tej artystki? Prawdopodobnie Bóg jeden wie! Ale pani, mademoiselle, pani sama wielokrotnie widziała, jak te niezdarne uczennice cudem jakimś zmieniają się nagle w atrakcyjne, wyrosnięte panny. Panna Pope jęknęła.

- Chce pan powiedzieć, że Winnie King przebrała się za...

- Nie, nie Winnie King. Winnie porwano po drodze w Londynie, a jej miejsce zajęła artystka od przebierania się. Panna Bershaw nigdy nie widziała Winnie King... skąd mogła wiedzieć, że dziewczynka z warkoczami i aparatem dentystrycznym na zębach to nie jest Winnie King? Do tej pory szło więc łatwo, ale osoba, która podszyla się pod Winnie, nie mogła przyjechać aż tutaj, ponieważ pani знаła prawdziwą Winnie King. A więc hokus-pokus i dziewczynka znika w toalecie, z której wychodzi jako żona człowieka nazwiskiem Jim Elliot, mającego w paszporcie wpisaną żonę! Jasne

warkocze, okulary, wełniane pończochy, aparat dentystyczny... wszystko to da się ukryć bez kłopotu. Ale grube buciki i kapelusz, ten twarde brytyjski kapelusz muszą zniknąć.... więc wylatują przez okno. Później prawdziwą Winnie przewieziono przez kanał - nikt przecież nie szuka chorego, prawie nieprzytomnego dziecka jadącego z Anglii do Francji - i spokojnie wyrzucono ją z samochodu na pobocze szosy. Jeżeli przez cały ten czas była pod wpływem skopolaminy, to nie może pamiętać, co się z nią działo.

Panna Pope szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w detektywa.

- Ależ dlaczego? - zapytała stanowczo. - Jaki powód miałaby taka bezsensowna maskarada?

- Bagaż Winnie! - odparł Poirot poważnie. - Ci ludzie chcieli przemycić coś z Anglii do Francji... coś, czego szukali wszyscy celnicy. Łup pochodzący z kradzieży. A cóż bardziej niewinnego niż walizka uczennicy? Jest pani szeroko znana, panno Pope, a pani szkoła jest wręcz sławna. Na Gare du Nord walizki panienek przechodzą przez kontrolę celną en bloc. Wszak jadą do znanej angielskiej szkoły panny Pope! A potem, po porwaniu, cóż bardziej naturalnego niż posłać po bagaż dziecka... w dodatku rzekomo z prefektury? Herkules Poirot uśmiechnął się.

- Na całe szczęście panuje tu zwyczaj rozpakowywania walizek uczennic natychmiast po dostarczeniu ich.... a do tego dochodzi prezent dla pani od Winnie. Ale to nie jest ten sam prezent, który Winnie spakowała w Cranchester.

Podszedł do panny Pope.

- Dała mi pani ten obraz. Proszę więc spojrzeć, przyzna pani, że nie pasuje on do pani szkoły!

Pokazał jej płótno.

W magiczny sposób most w Cranchester zniknął. Zamiast niego pojawiła się klasyczna scena utrzymana w bogatych, mrocznych kolorach.

- "Pas Hipolity" - powiedział cicho Poirot. - Hipolita wręczająca swój pas

Herkulesowi... płótno pędzła. Rubensa. Wielkie arcydzieło... mais tout de meme* nie pasuje do pani salonu.

Panna Pope spłonęła lekkim rumieńcem.

Dłoń Hipolity spoczywała na jej pasie... Amazonka nie miała na sobie nic więcej...

Herkules miał tylko przerzuconą przez jedno ramię lwia skórę... Ciało rubensowskie jest obfite, zmysłowe...

Panna Pope doszła do siebie.

- Tak, to wspaniałe arcydzieło - stwierdziła. - Ale jak wiadomo, należy mieć na uwadze wrażliwość rodziców. Niektórzy z nich są nieco surowi... jeżeli rozumie pan, co mam na myśli...

V

Herkules Poirot opuszczał już szkołę, kiedy nastąpił szturm. Został otoczony, osaczony, przytłoczony przez tłum dziewcząt - grubych i chudych, ciemnych i jasnych.

- Mon Dieu! - mruknął pod nosem. - Oto najprawdziwszy najazd Amazonek!

- Doszły nas słuchy... - krzyczała wysoka, jasnowłosa dziewczynka.

Nacierają na niego. Herkules Poirot nie miał drogi odwrotu. Zniknął w powodzi młodej, żywiołowej kobiecości.

Usłyszał dwadzieścia pięć głosów. Każdy był w innej tonacji, lecz wszystkie wypowiadały to samo doniosłe zdanie:

- Monsieur Poirot, czy mogę prosić o autograf do mojego sztambucha?

STADO GERYONA

I

- Ja naprawdę bardzo przepraszam za to najście, panie Poirot.
Ranna Carnaby gorliwiej zacisnęła dłonie na torebce i pochyliła się, wpatrzona badawczo w twarz Poirota. Jak zwykle, odnosiło się wrażenie, że brak jej tchu. Brwi Herkulesa Poirot powędrowały w górę.
- Pan mnie sobie nie przypomina? - zapytała z niepokojem.
Herkules Poirot zamrugął.
- Przypominam sobie panią jako jedną z najbardziej pomysłowych przestępczyń, z jakimi się zetknąłem! - oświadczył.
- Ależ doprawdy, panie Poirot, czy musi pan tak mówić? Taki pan był dla mnie dobry. Emily i ja ciągle o panu rozmawiamy, a jak tylko widzimy w gazecie jakąś wzmiankę o panu, to zaraz ją wycinamy i wklejamy do albumu. A jeśli chodzi o Augusta, nauczyłyśmy go nawet sztuczki. Mówimy: "Umrzyj za Sherlocka Holmesa, umrzyj za pana Fortune'a, umrzyj za sir Henry'ego Merrivale'a, a potem: umrzyj za pana Poirot", i wtedy on się kładzie i leży jak zabity... ani drgnie, dopóki nie pozwolimy mu wstać!
- Cieszę się - odparł krótko Poirot. - A jakże się miewa ce cher Auguste? Panna Carnaby splotła dłonie i zaczęła sypać pochwałami pod adresem swojego pekińczyka.
- O, panie Poirot, on jest jeszcze mądrzejszy. Rozumie dosłownie wszystko. Czy pan wie, że pewnego razu podziwiałam dziecko w wózek, aż tu nagle poczułam szarpnięcie, a to August z całych sił próbował przegryźć smycz. Czyż nie jest mądry? Herkules Poirot zamrugął ponownie.
- Coś mi się zdaje, że August przejawia te same przestępcze skłonności, o których przed chwilą mówiliśmy! - zauważył.
Panna Carnaby nie roześmiała się. Zamiast tego jej miła, pulchna twarz przybrała smutny, zmartwiony wyraz.
- Och, panie Poirot, ja się tak martwię - rzekła płacząc.
- Czym? - zapytał uprzejmie detektyw,
- Widzi pan, boję się - naprawdę się boję - że jestem zatwardziałą przestępczynią, jeśli można się tak wyrazić. Mam dziwne pomysły!
- Jakie pomysły?
- Zupełnie niezwykle! Na przykład wczoraj przyszedł mi do głowy wyjątkowo praktyczny pomysł na obrabowanie poczty. Ja o tym wcale nie myślałam... to przyszło samo! I do tego jeszcze przemyślany sposób na uniknięcie odprawy celnej... Jestem przekonana, wręcz pewna, że byłby skuteczny.
- Zapewne - stwierdził sucho Poirot. - W tym właśnie tkwi niebezpieczeństwo pani pomysłów.
- Bardzo mnie to martwi, panie Poirot. W dzieciństwie wpojono mi bardzo surowe zasady, więc nie jest to dla mnie przyjemne, że takie myśli przychodzą mi do głowy. Myślę, że kłopot polega między innymi na tym, że mam teraz za dużo wolnego czasu. Odeszłam od lady Hoggin i pracuję u pewnej staruszki, której codziennie muszę czytać i pisać za nią listy. Z listami uwijam się szybko, a ledwo zacznę czytać, ona zasypia, więc siedzę beczynnie, nie mając nic do roboty, a wie pan, jakie pole do popisu daje szatanowi beczynność.
- Uhm - mruknął detektyw.
- Czytałam niedawno książkę... bardzo nowoczesną, przekład z niemieckiego. Rzuca ciekawe światło na skłonności przestępcze. Jak zrozumiałam, należy hamować swoje popędy! Właśnie dlatego przyszedłam do pana.
- Tak?
- Widzi pan, panie Poirot, ja myślę, że to nie tyle oznaka zła, co chęć przygód!

Niestety, moje życie było okropnie monotonne. Ta hm.... kampania z pekińczykami to był jedyny okres, kiedy żyłam naprawdę, a przynajmniej tak mi się czasami wydaje. Oczywiście, to jest ze wszech miar godne potępienia, ale jak twierdzi moja książka, należy stawić czoło prawdzie. Przyszłam do pana, panie Poirot, z nadzieją, że być może powstrzymam tę żądzę przygód, jeżeli zacznę ją stosować na użytek annałów, jeśli można to tak ująć.

- A, więc zjawia się pani w roli mojej koleżanki po fachu?

Panna Carnaby spłonęła rumieńcem.

- Wiem, że to wielka zarozumiałość z mojej strony. Ale pan był taki dobry....

Przerwała. Jej jasnoniebieskie oczy miały błagalny wyraz oczu psa, który wbrew zdrowemu rozsądkowi ma nadzieję, że wyprowadzi się go na spacer.

- To jest pomysł - oświadczył powoli detektyw.

- Oczywiście, ja wcale nie jestem sprytna - wyjaśniła panna Carnaby. - Ale mam dużą łatwość symulowania. Osoba do towarzystwa musi ją mieć, inaczej natychmiast straciłaby posadę. Przekonałam się, że udawanie głupszej niż się jest w istocie, najczęściej przynosi dobre wyniki.

Herkules Poirot roześmiał się.

- Mademoiselle, pani jest czarująca.

- Ależ, panie Poirot, co też pan mówi! Więc myśli pan, że mogę mieć nadzieję? Tak się składa, że niedawno dostałam niewielki spadek... naprawdę nieduży, ale dzięki niemu stać nas z siostrą na skromne utrzymanie, więc nie jestem już uzależniona od tego, co zarabiam.

- Muszę się zastanowić, w jaki sposób można by najlepiej spożytkować pani zdolności - rzekł detektyw. - Przypuszczam, że pani sama też ma jakiś pomysł?

- Pan chyba czyta w myślach, panie Poirot. Ostatnio niepokoję się o jedną z moich przyjaciółek. Oczywiście, może pan uważać, że to tylko gadanie starej panny... efekt wyobraźni. Możliwe, że mam skłonności do pewnej przesady, do doszukiwania się zamysłów tam, gdzie to tylko zbieg okoliczności...

- Nie sądzę, żeby pani przesadzała, panno Carnaby. Proszę mi powiedzieć, co panią niepokoi.

- No cóż, mam przyjaciółkę, bardzo bliską przyjaciółkę, choć w ostatnich latach nie widywałam jej zbyt często. Nazywa się Emmeline Clegg. Wyszła za człowieka mieszkającego na północy Anglii, który umarł przed kilkoma laty, zostawiając jej pokaźny spadek. Od jego śmierci jest bardzo nieszczęśliwa i samotna i niestety w pewnym sensie to raczej głupia, za to przesądna kobieta. Religia, panie Poirot, może być wielką pomocą i podporą... ale tylko religia ortodoksyjna.

- Myśli pani o Kościele greckokatolickim? - zapytał Poirot.

Panna Carnaby była wyraźnie wstrząśnięta.

- Ależ skąd! O Kościele anglikańskim. I chociaż nie pochwalam rzymskich katolików, to przynajmniej są oni uznani. A metodyści czy kongregacjoniści... to znane, szacowne wyznania. Nie, ja mówię o tych dziwnych sektach, które wyrastają jak grzyby po deszczu. One potrafią przemawiać do duszy, ale czasami mam bardzo poważne wątpliwości, czy kryje się za tym wszystkim prawdziwa religia.

- I myśli pani, że pani przyjaciółka padła ofiarą jednej z takich sekt?

- Tak. Właśnie tak! Nazwali się Stadem Pasterza. Maja siedzibę w Devonshire... bardzo piękną posiadłość nad morzem. Wyznawcy zjeżdżają się tam na tak zwane rekolekcje. Trwa to przez dwa tygodnie, podczas których odprawia się tam różne obrzędy i posługi religijne. Każdego roku odbywają się trzy wielkie festiwale - Nadejście Paszy, Pełna Pasza i Zbieranie Paszy.

- Głupia nazwa, ponieważ paszy się nie zbiera - wtrącił Poirot.

- Tam wszystko jest głupie - oświadczyła z przekonaniem panna Carnaby. -

Wyznawcy sekty skupiają się wokół głowy tego ruchu, Wielkiego Pasterza, jak go nazywają. To niejaki doktor Andersen. Zdaje się, że jest wyjątkowo przystojny, z prezencją.

- Atrakcyjny dla kobiet, to chciała pani powiedzieć?

- Tak, niestety. - Panna Carnaby westchnęła.

- Mój ojciec też był bardzo przystojny. Czasami bardzo to utrudniało życie w naszej parafii. Ta rywalizacja w wyszywaniu ornatów... w podziale zajęć kościelnych... Pokiwała głową, zatopiona we wspomnieniach.

- Czy do tej sekty należą głównie kobiety?

- Z tego, co wiem, przynajmniej w trzech czwartych. Mężczyźni, jeżeli już się tam trafiają, to zwykle sami maniacy! Powodzenie tego ruchu zależy wyłącznie od kobiet... i od funduszy, których dostarczają.

- Nareszcie do tego doszliśmy - rzekł Poirot. - Wiec pani uważa, że cała ta impreza to oszustwo?

- Szczerze mówiąc, tak, panie Poirot. I jeszcze jedno mnie martwi. Przypadkiem dowiedziałam się, że moja przyjaciółka tak dała się omamić, że niedawno spisała testament, na mocy którego cały swój majątek zostawia sekcje.

- Czy ktoś jej to podsunął? - zapytał detektyw ostro.

- Żeby być szczerą, nie. To był wyłącznie jej pomysł. Wielki Pasterz ukazał jej nowe życie... więc wszystko, co posiada, spożytkowane będzie po jej śmierci dla dobra sprawy. Ale tak naprawdę, to martwię się, że...

- Tak, słucham.

- Wśród tych dewotek było kilka bogatych kobiet. Nie mniej niż trzy z nich zmarły w ciągu ostatniego roku.

- Zostawiając cały majątek sekcje?

- Tak.

- Ich rodziny nie protestowały? Nikt nie próbował podważyć testamentu?

- Widzi pan, panie Poirot, do sekty należą przeważnie kobiety samotne. Takie, które nie mają bliskich krewnych ani przyjaciół.

Poirot w zamyśleniu pokiwał głową.

- Oczywiście, nie mam prawa niczego sugerować - ciągnęła pośpiesznie panna Carnaby. - O ile wiem, te wypadki śmiertelne były całkiem naturalne. Jedna, zdaje się, zmarła na zapalenie płuc w następstwie grypy, inna w związku z wrzodem żołądka. Nie było żadnych podejrzanych okoliczności, jeśli rozumie pan, co mam na myśli, poza tym one nie umarły w Sanktuarium Zielonych Wzgórz, lecz we własnych domach. Nie wątpię, że wszystko jest w porządku, niemniej jednak... no cóż, nie chciałabym, żeby to samo przydarzyło się Emmie.

Splotła dłonie, spoglądając błagalnym wzrokiem na Poirota.

Ten zaś przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie zaszła wyraźna zmiana. Stał się poważny i głęboki.

- Czy poda mi pani albo wyszuka nazwiska i adresy tych członków sekty, którzy umarli w ostatnim czasie?

- Naturalnie, panie Poirot.

- Mademoiselle - rzekł detektyw - myślę, że jest pani kobietą odważną i zdecydowaną. Ma pani zdolności aktorskie. Czy chciałaby pani podjąć się zadania, które może się wiązać z niebagatelnym niebezpieczeństwem?

- Niczego bardziej nie pragnę - odparła nieustraszona panna Carnaby.

- Ryzyko może być poważne - przestrzegł detektyw. - Rozumie pani, albo to ślepy strzał, albo poważna sprawa. Żeby się o tym przekonać, będzie pani musiała stać się jedną z członkiń Wielkiego Stada. Proponuję, żeby wyolbrzymiała pani wysokość spadku, który pani właśnie odziedziczyła. Od tej chwili jest pani bogatą kobietą bez

sprecyzowanego celu w życiu. Niech pani posprzecza się z Emmeline na temat religii, którą przyjęła. Proszę jej wmawiać, że to jedna wielka bzdura. Ona będzie chciała panią przekonać. Da się pani namówić na wizytę w Sanktuarium Zielonych Wzgórz, a tam ulegnie pani sile perswazji i magnetyzmowi doktora Andersena. Czy można powierzyć pani takie zadanie?

Panna Carnaby uśmiechnęła się skromnie i mruknęła:

- Myślę, że poradzę sobie z tym bez kłopotu!

II

- I cóż mi pan przynosi, przyjacielu? Nadinspektor Japp spojrział w zamyśleniu na małego

człowieczka, który zadał to pytanie.

- Nie to, co bym chciał, Poirot - odrzekł ponuro. - Nienawidzę tych długowłosych maniaków religijnych jak zarazy. Oglupiają tylko ludzi. Ale ten gość jest ostrożny. Nie można się do niego przyczepić. Wygląda to wprawdzie na zwariowaną imprezę, ale nieszkodliwą.

- Czy dowiedział się pan czegoś o doktorze Andersenie?

- Sprawdziłem jego przeszłość. Był obiecującym chemikiem, ale wyrzucono go z jakiegoś niemieckiego uniwersytetu. Zdaje się, że jego matka była Żydówką. Zawsze interesował się mitami i religiami Wschodu, poświęcał temu cały wolny czas, pisał o tym artykuły... niektóre z nich są w moim odczuciu zupełnie zwariowane.

- A więc możliwe, że to autentyczny fanatyk?

- Muszę przyznać, że to bardzo prawdopodobne!

- A co z tymi nazwiskami i adresami, które panu dałem?

- Ano nic. Panna Everitt zmarła na zapalenie wrzodu żołądka. Lekarz jest absolutnie pewny, że nie było żadnych machlojek. Pani Lloyd umarła na zapalenie płuc połączone z bronchitem. Lady Western zmarła na gruźlicę. Chorowała na nią już wcześniej, zanim jeszcze związała się z tą grupą. Panna Lee umarła na dur brzuszny... podobno w następstwie zjedzenia jakiejś sałatki gdzieś na północy Anglii. Trzy z nich zachorowały i umarły u siebie w domu, a pani Lloyd umarła w hotelu na południu Francji. Nic nie wskazuje na związek tych zgonów z Wielkim Stadem ani z posiadłością Andersena w Devonshire. Według Cockera wszystko jest w absolutnym porządku.

Herkules Poirot westchnął.

- A jednak, mon cher, wydaje mi się, że będzie to dziesiąta praca Herkulesa. Doktor Andersen to olbrzym Geryon, moją zaś misją jest go zniszczyć.

Japp spojrział na niego zaniepokojony.

- Poirot, nie czytał pan ostatnio jakiejś szemranej literatury?

- Moje uwagi są jak zawsze trafne, mądre i na temat - odrzekł Poirot z godnością.

- Mógłby pan sam stworzyć jakąś nową religię - rzekł Japp. - Na przykład pod wezwaniem: „Nie masz nikogo mądrzejszego nad Herkulesa Poirot, amen”.

Powtarzać ad libitum!

III

- Cudowny jest tutejszy spokój - powiedziała panna Carnaby, oddychając głęboko i z zapalem.

- A nie mówiłam, Amy? - odparła Emmeline Clegg.

Dwie przyjaciółki siedziały na zboczu wzgórza, spoglądając na głęboki błękit morza. Wokół nich trawa była soczystozielona, a ziemia i skały ognistoczerwone. Mała

posiadłość zwana Sanktuarium Zielonych Wzgórz zajmowała cypel o powierzchni około sześciu akrów, połączony ze stałym lądem tak wąskim paseczkiem ziemi, że była to nieomal wyspa.

Pani Clegg pomrukiwała sentymentalnie:

- Czerwona ziemia, ziemia wybrana i obiecana, gdzie dopełni się potrójne przeznaczenie... Panna Carnaby westchnęła głęboko i rzekła:

- Uważam, że Mistrz tak pięknie to ujął na wczorajszym kazaniu.

- Poczekaj na dzisiejszy festiwal! - odrzekła przyjaciółka. - Pełny Rozkwit Paszy!

- Nie mogę się doczekać - powiedziała panna Carnaby.

- Przekonasz się, że to wspaniałe przeżycie duchowe.

Panna Carnaby przebywała w Sanktuarium Zielonych Wzgórz od tygodnia. Jej komentarze po przyjeździe brzmiały: "A to co za bzdury? Wiesz, Emmie, żeby taka rozsądna kobieta jak ty..." i tak dalej.

Podczas wstępnej rozmowy z doktorem Andersenem od razu jasno sprecyzowała swoje stanowisko.

- Nie chciałabym, żeby źle zrozumiano powody mojego przyjazdu tutaj, doktorze.

Mój ojciec był pastorem anglikańskim i nigdy nie zachwiałam się w swojej wierze.

Nie pociągają mnie pogańskie doktryny.

Potężnie zbudowany, złotowłosy mężczyzna uśmiechnął się do niej miłym, pełnym wyrozumiałości uśmiechem. Spojrzał pobłażliwie na krępa, wojowniczą postać siedzącą sztywno na krześle.

- Droga panno Carnaby, jest pani przyjaciółką pani Clegg i jako taką serdecznie panią witamy. Proszę mi wierzyć, nasze doktryny nie są pogańskie. Wszystkie religie są u nas mile widziane i wszystkie cenimy na równi.

- To niedobrze - odrzekła nieodrodna córka świętej pamięci wielbnego Thomasa Carnaby.

Mistrz odchylił się na krześle i mruknął głębokim głosem:

- Wiele jest pokoi w domu Pana mojego... Pamięta pani, panno Carnaby?

Po tej rozmowie panna Carnaby szepnęła do przyjaciółki:

- To rzeczywiście niezwykle przystojny mężczyzna.

- O tak - przyznała pani Clegg. - I taki uduchowiony.

Panna Carnaby zgodziła się od razu. Była to prawda, czuła to, tę atmosferę anielskości, uduchowania...

Wzięła się w karby. Nie po to tu przyjechała, żeby stać się ofiarą fascynacji, duchowej czy innej, Wielkim Pasterzem. Wyobraziła sobie Herkulesa Poirot. Wydawał jej się dziwnie daleki i dziwnie doczesny...

- Amy - przywołała się do porządku - weź się w garść. Pamiętaj, po coś tu przyjechała.

Jednakże z upływem dni stwierdzała, że aż nazbyt łatwo poddaje się urokowi Zielonych Wzgórz. Spokój, prostota, wysmienite, choć proste jedzenie, piękne kazania i pieśni o miłości i wielbieniu, poruszające słowa Mistrza, odwołujące się do najczystszych wartości ludzkości - wszelkie konflikty i brudy życia nie miały tu prawa wstępu. Tutaj panowały wyłącznie miłość i spokój. Tego dnia zaś miał się rozpocząć wielki letni festiwal, festiwal Pełnej Paszy, podczas którego ona, Amy Carnaby, miała przejść inicjację i stać się jedną ze Stada. Festiwal odbywał się w błyszczącym, białym budynku z betonu, zwanym przez nowicjuszy Świętą Zagrodą. Wyznawcy zbierali się tam tuż przed zachodem słońca. Ubrani byli w owcze skóry i sandały. Ramiona mieli odkryte. W środku zagrody, na wysokiej platformie, stał doktor Andersen. Ten potężny mężczyzna o złotych włosach, błękitnych oczach, jasnej brodzie i regularnych rysach twarzy nigdy jeszcze nie wyglądał bardziej zniewalająco. Ubrany w zieloną szatę, trzymał w dłoni złoty kij pasterski.

Kiedy go uniósł ponad głowę, wśród zebranych zapadła śmiertelna cisza.

- Gdzie są moje owieczki? Odpowiedź padła z tłumy wiernych:

- Jesteśmy tutaj, o pasterzu.

- Natchnijcie swe serca radością i dziękczynieniem. To święto radości.

- To święto radości i jesteśmy radośni.

- Nie zaznaczajcie więcej smutku ani bólu. Jest tylko radość!

- Tylko radość...

- Ile głów ma Pasterz?

- Trzy głowy: głowę ze złota, głowę ze srebra i głowę z dźwięcznego mosiądzu.

- Ile postaci ma Pasterz?

- Trzy postaci: postać z ciała, postać z rozkładu i postać ze światła.

- W jaki sposób zostaniecie przyjęci do Stada?

- Sakramentem krwi.

- Czy jesteście gotowi przyjąć ten sakrament?

- Jesteśmy gotowi.

- Zakryjcie oczy i wyciągnijcie prawe ramiona.

Wierni posłusznie przewiązali oczy zielonymi szarfami, rozdane im uprzednio w tym celu. Panna Carnaby, śladem pozostałych, wyciągnęła prawe ramię.

Wielki Pasterz przechodził między rzędami wyznawców. Rozległy się ciche krzyki i jęki, bólu lub ekstazy.

- To jedno wielkie bluźnierstwo! - powiedziała w duchu panna Carnaby. - Taka histeria religijna jest godna ubolewania. Muszę zachować absolutny spokój i obserwować reakcje innych. Nie dam się omamić, nie...

Podszedł do niej Wielki Pasterz. Poczwała, jak bierze ją za ramię, poczuła ostry, kłujący ból, jakby od ukłucia igłą. Głos Pasterza powiedział cicho:

- Sakrament krwi, który przynosi radość... Przeszedł dalej.

Wkrótce padł rozkaz:

- Odsłońcie oczy i napawajcie się radością ducha!

Słońce właśnie zachodziło. Panna Carnaby rozejrzała się. Razem z innymi wyszła powoli z Zagrody. Nagle poczuła się podniesiona na duchu, szczęśliwa. Opadła na miękką trawę. Jak mogła myśleć, że jest samotną, niechcianą kobietą w średnim wieku? Życie jest cudowne... ona sama jest cudowna! Mogła myśleć... marzyć. Nie było takiej rzeczy, której by nie potrafiła osiągnąć!

Przepelniała ją potężna fala uniesienia. Obserwowała przechodzących obok niej innych wiernych - zdawało się, że nagle urosli do niebotycznych rozmiarów.

- Jak drzewa kroczące - powiedziała sama do siebie głosem pełnym czci.

Uniosła dłoń. Był to gest pełen zdecydowania - tak, mogła-panować nad całą Ziemią. Cezar, Napoleon, Hitler - biedne mizerne istoty! Nie mieli pojęcia, czego może dokonać ona - Amy Carnaby! Jutro zarządzi pokój na świecie, powoła Braterstwo Międzynarodowe. Nie będzie więcej wojen, biedy, chorób. Ona, Amy Carnaby, zaprojektuje Nowy Świat.

Lecz pośpiech nie jest konieczny. Czas jest nieskończony... Minuta następuje po minucie, godzina po godzinie. Panna Carnaby poczuła ociężałość kończyn, ale jej umysł był cudownie wolny. Mógł ogarnąć w każdej chwili cały wszechświat. Spała, lecz nawet podczas snu marzyła... Przestrzenie... wielkie gmachy... nowy cudowny świat...

Stopniowo świat zaczął się kurczyć. Panna Carnaby ziewnęła. Poruszyła zeszywniałymi kończynami. Co się wydarzyło od wczoraj? Zeszłej nocy śniło jej się...

Na niebie stał księżyc. W jego świetle panna Carnaby z trudem dojrzała tarczę zegarka. Ku jej zdumieniu, wskazówki pokazywały za kwadrans dziesiątą. Wiedziała,

że słońce zaszło o ósmej dziesiątej. Za ledwie nieco ponad półtorej godziny temu? Niemożliwe. A jednak...

- Bardzo to dziwne - powiedziała w duchu panna Carnaby.

IV

- Musi pani ściśle zastosować się do moich poleceń - oświadczył Herkules Poirot. - Rozumie pani?

- Oczywiście, panie Poirot. Może pan na mnie polegać.

- Czy powiedziała już pani o swoim zamiarze dofinansowania sekty?

- Tak, panie Poirot. Rozmawiałam z Mistrzem... przepraszam, z samym doktorem Andersenem. Ze wzruszeniem powiedziałam mu, jak cudownym objawieniem był dla mnie pobyt u niego... jak pojechałam tam, by szydzić, a wyjeżdżam, by wierzyć. Ja... naprawdę, te słowa przyszły mi całkiem naturalnie. Widzi pan, doktor Andersen ma wiele magicznego czaru.

- Właśnie widzę - skwitował Poirot sucho.

- Był tak przekonujący. Ma się wrażenie, że on wcale nie dba o pieniądze. "Proszę dać tyle, ile pani może - powiedział z tym swoim rozbrajającym uśmiechem. - A jeżeli nie może pani dać nic, nie szkodzi. I tak należy pani do Stada". "Ależ doktorze - powiedziałam. - Nie jestem aż taka biedna. Właśnie odziedziczyłam spora sumkę po dalekim krewnym i chociaż nie mogę pobrać pieniędzy, dopóki wszystkim formalnościom nie stanie się zadość, to jednak jest coś, co chciałabym uczynić natychmiast". Wyjaśniłam, że spiszę testament i że chciałabym zapisać wszystko naszemu bractwu. Powiedziałam, że nie mam bliskich krewnych.

- A on łaskawie przystał na ten zapis?

- Podszedł do tego bardzo spokojnie. Powiedział, że będę żyła jeszcze wiele lat, że wie, iż mam przed sobą długie lata radości i spełnienia duchowego. On mówi tak poruszająco.

- Na to wygląda - rzekł sucho Poirot. - Czy wspominała pani o swoim zdrowiu?

- Tak, panie Poirot. Powiedziałam, że mam chore płuca, że to się powtarzało, ale że ostatnia kuracja w sanatorium przed kilkoma laty chyba mnie wyleczyła.

- Znakomicie!

- Chociaż nie mogę zrozumieć, dlaczego muszę mówić, że choruję na płuca, skoro jestem zdrowa jak ryba.

- Może być pani pewna, że to konieczne. Wspomniała pani o swojej przyjaciółce?

- Tak. Powiedziałam mu w najgłębszym zaufaniu, że kochana Emmeline, oprócz majątku, który odziedziczyła po mężu, wkrótce dostanie jeszcze większą sumę od ciotki, która jest do niej ogromnie przywiązana.

- Eh: bien, to powinno zapewnić pani Clegg bezpieczeństwo na pewien czas!

- Panie Poirot, czy pan naprawdę podejrzewa coś złego?

- Właśnie zamierzam się o tym przekonać? Czy w Sanktuarium spotkała pani pana Cole'a?

- Kiedy tam pojechałam ostatnio, był tam jakiś pan Cole. To bardzo dziwny człowiek. Nosi jasnozielone szorty i jada tylko kapustę. To bardzo gorliwy wierny.

- Eh hien, wszystko układa się pomyślnie. Proszę przyjąć wyrazy uznania za pani pracę. Teraz wszystko już jest przygotowane na festiwal jesienny.

V

- Proszę zaczekać, panno Carnaby.

Pan Cole chwycił pannę Carnaby za ramię, wpatrując się w nią błyszczącymi,

rozgorączkowanymi oczyma.

- Miałem widzenie... nadzwyczajne widzenie. Muszę pani o tym opowiedzieć.

Panna Carnaby westchnęła. Trochę się bała pana Cole'a i jego widzeń. Czasami była niemal pewna, że pan Cole to szaleniec.

Przekonała się, że jego widzenia bywają dosyć zenujące. Przywodziły jej na myśl pewne śmiałe ustępy z tej nowoczesnej niemieckiej książki o podświadomości, którą czytała przed przyjazdem do Devonu.

Pan Cole, z błyszczącymi oczyma i rozedrganymi wargami, zaczął opowiadać z ożywieniem.

- Medytowałem, koncentrując się na pełni życia i najwyższej radości, aż nagle, mając otwarte oczy, ujrzałem...

Panna Carnaby zebrała się w sobie, z nadzieją, że to, co ujrzał pan Cole, nie będzie podobne do tego, co widział ostatnim razem - rytualnego aktu ślubu boga i bogini w starożytnej Sumerii.

- Ujrzałem - pan Cole nachylił się ku niej, oddychając ciężko i wpatrując się w nią (naprawdę!) oczami szaleńca - proroka Eliasza, zstępującego z nieba na ognistym rydwanie.

Panna Carnaby odetchnęła z ulgą. Eliasz był już lepszy, nie miała nic przeciwko niemu.

- Później - ciągnął pan Cole - były ołtarze Baala... całe setki ołtarzy. „Patrz, pisz i świadcz o tym, co będzie ci dane zobaczyć” - zawołał do mnie głos.

Zamilkł.

- Tak? - mruknęła uprzejmie panna Carnaby.

- Na ołtarzach leżały ofiary, skrępowane bezbronne, czekające na cios noża. Dziewice, całe setki dziewcząt, pięknych nagich dziewcząt...

Pan Cole mlasnął. Panna Carnaby zarumieniła się.

- Wtem nadleciały kruki, kruki Odyna. Leciały z północy. Spotkały się z krukami Eliasza i razem krążyły na niebie, pikowały, wydziobywały oczy ofiarom... słyszałem jęki i zgrzyt zębów, a głos krzyknął: "Patrz na sakrament, w tym bowiem dniu Jehowa i Odyn połączą się braterstwem krwi!" A potem księża rzucili się na swe ofiary, wznosząc noże, kalecząc je i...

- Przepraszam na chwileczkę.

Panna Carnaby z desperacją wydarła się z rąk prześladowcy, który ślinił się w sadystycznym zapamiętaniu.

Czym prędzej zaczęła Lipscomba, który zajmował domek przy bramie wjazdowej na teren Zielonych Wzgórz i który nader szczęśliwie "pojawił się w pobliżu.

- Czy przypadkiem nie zauważył pan mojej broszki? - zagadnęła go. - Musiałam ją gdzieś tu zgubić.

Lipscomb, który był doskonale odporny na słodycz i spokój Zielonych Wzgórz, warknął tylko, że nie widział żadnej broszki. Nie jego sprawa szukać zagubionych rzeczy. Próbował pozbyć się panny Carnaby, lecz ona nie odstępowała go, paplając o swojej broszce, dopóki nie znalazła się w bezpiecznej odległości od zapamiętałego pana Cole'a.

Z Wielkiej Zagrody wyszedł sam Mistrz. Ośmielona jego dobrodusznym uśmiechem, panna Carnaby odważyła się odkryć przed nim swe myśli.

- Czy Mistrz nie sądzi, że pan Cole jest... jest... Mistrz oparł jej dłoń na ramieniu.

- Musisz się wyzbyć strachu - powiedział. - Miłość doskonała usuwa strach. - Ale ja myślę, że pan Cole jest obłąkany. Te jego widzenia...

- Na razie - oświadczył Mistrz - widzi on jeszcze w sposób niedoskonały... przez pryzmat swej cielesnej natury. Nadejdzie jednak dzień, gdy zaczniesz widzieć duchowo... twarzą w twarz.

Panna Carnaby była zbита z tropu. Oczywiście, jeżeli tak to ująć... Czym prędzej więc wystrzeliła z mniejszego kalibru protestem:

- A czy Lipscomb naprawdę musi być tak okropnie grubiański?

I znów Mistrz obdarzył ją anielskim uśmiechem.

- Lipscomb to wierny pies łańcuchowy. Jest szorstki, to prymitywna dusza... ale jest wierny, wierny jak pies.

Ruszył dalej. Panna Carnaby ujrzała, jak podchodzi do pana Cole'a, przystaje i kładzie mu dłoń na ramieniu. Miała nadzieję, że wpływ Mistrza pohamuje nieco dalsze widzenia.

A zresztą festiwal jesienny miał się odbyć już za tydzień.

VI

Po południu w dniu poprzedzającym festiwal panna Carnaby spotkała się z Herkulesem Poirot w małej herbaciarni w sennym miasteczku Newton Woodbury. Była zarumieniona i jeszcze bardziej niż zwykle brakowało jej tchu. Siedziała popijając herbatę i krusząc w palcach bułeczkę.

Poirot zadał jej kilka pytań, na które odpowiedziała monosylabami. Wreszcie zapytał:

- Ile osób będzie na festiwalu?

- Myślę, że sto dwadzieścia. Będzie Emmeline i pan Cole... ostatnio naprawdę zdziwaczał. Ma widzenia. Opowiedział mi niektóre z nich... doprawdy, nader dziwne. Mam nadzieję, że nie jest obłąkany. Będzie też sporo nowych członków... blisko dwudziestu.

- Dobrze. Wie pani, co robić?

Po chwili milczenia panna Carnaby odezwała się dziwnym głosem:

- Wiem, co mi pan powiedział, panie Poirot...

- Tres bien!

- Ale ja tego nie zrobię! - dokończyła Amy Carnaby głośno i wyraźnie.

Herkules Poirot wytrzeszczył oczy. Panna Carnaby wstała. Mówiła szybko i histerycznie:

- Wysłał mnie pan, żebym szpiegowała doktora Andersena. Pan go podejrzewa o najgorsze. A to cudowny człowiek, wielki nauczyciel. Wierzę mu z całego serca! Nie będę więcej dla pana szpiegować, panie Poirot! Jestem jedną z owieczek Pasterza. Mistrz ma nowe posłanie do świata i od tej pory należę do niego ciałem i duszą. A za herbatę sama zapłacę.

I przeskakując od spraw wzniosłych do przyziemnych, panna Carnaby rzuciła na stół szylinga i trzypensówkę i wybiegła na ulicę.

- Nom d'un nom d'un nom* - mruknął Herkules Poirot.

Kelnerka zwracała się do niego dwa razy, nim zorientował się, że przyniosła rachunek. Napotkał ciekawski wzrok posępnego mężczyzny przy sąsiednim stoliku, zarumienił się, zapłacił i wyszedł.

Myślał intensywnie.

VII

I znów owieczki zebrały się w Wielkiej Zagrodzie. Odmówiono rytualne pytania i odpowiedzi.

- Czy jesteście gotowi przyjąć ten sakrament?

- Jesteśmy gotowi.

- Zakryjcie oczy i wyciągnijcie prawe ręce. Wielki Pasterz, wspaniały w swej zielonej szacie, przechodził wśród zebranych. Żywiący się kapustą i wizjami pan Cole,

siedzący obok panny Carnaby, wydał bolesny jęk ekstazy, kiedy igła wbiła mu się w ciało.

Wielki Pasterz stanął przy pannie Carnaby. Dotknął jej ramienia...

- O nie! Nic z tego!

Słowa niespodziewane, nie do wiary. Zamieszanie, gniewny pomruk. Zielone szarfy zerwane z oczu - niewiarygodny widok - Wielki Pasterz szarpie się z odzianym w owczą skórę panem Cole, któremu pomagał jeszcze jeden wyznawca.

Szybkim, profesjonalnym tonem niedawny pan Cole mówił:

- ...a tutaj mam nakaz aresztowania pana. Ostrzegam, że od tej chwili wszystko, co pan powie, może być wykorzystane w sądzie.

W drzwiach Wielkiej Zagrody pojawiły się nowe postacie - w niebieskich mundurach.

- To policja! - krzyknął ktoś. - Zabierają nam Mistrza! Zabierają Mistrza...

Wszyscy byli wstrząśnięci, przerażeni... Dla nich Wielki Pasterz był męczennikiem, cierpiącym, jak wszyscy wielcy nauczyciele, z powodu ignorancji i prześladowań ze strony zewnętrznego świata...

Tymczasem detektyw inspektor Cole ostrożnie pakował strzykawkę, która wypadła z dłoni Wielkiego Pasterza.

VIII

- Moja dzielna koleżanko!

Poirot gorąco uściśkał dłoń panny Carnaby i przedstawił jej nadinspektora Jappa.

- Robota pierwszej klasy, panno Carnaby - pochwalił Japp. - Bez pani nie dalibyśmy rady, to fakt.

- Ależ skąd! - Panna Carnaby była wyraźnie polechtana. - To bardzo miło z pana strony. Boję się tylko, że niestety to mi się podobało. To podniecenie, odgrywanie swej roli. Czasami całkiem mnie ponosiło. Naprawdę czułam, że staję się jedną z tych głupich kobiet.

- I w tym tkwi pani sukces - stwierdził Japp. - Była pani autentyczna. Inaczej ten jegomość nie dałby się nabrać! To kawał sprytnego łajdaka.

Panna Carnaby zwróciła się do Poirota:

- To była straszna chwila, tam w herbaciarni. Nie wiedziałam, co robić. Musiałam coś wymyślić na poczekaniu.

- Była pani wspaniała - odrzekł detektyw ciepło. - Przez chwilę myślałem, że któreś z nas postradało zmysły. Przez mgnienie oka zdawało mi się, że pani mówi poważnie.

- To był taki wstrząs. Akurat, kiedy sobie rozmawialiśmy, zobaczyłam w szybie, że Lipscomb, który pilnuje Sanktuarium, siedzi zaraz za mną. Nie wiem, czy był to przypadek, czy może on mnie śledził. Jak mówiłam, musiałam wymyślić coś na poczekaniu i wierzyć, że pan zrozumie. Poirot uśmiechnął się.

- Zrozumiałem. Tylko jeden człowiek siedział w zasięgu słuchu, więc natychmiast po wyjściu z herbaciarni załatwiłem, żeby go śledzono. Kiedy poszedł wprost do Sanktuarium, zrozumiałem, że mogę na pani polegać i że pani mnie nie zawiedzie... ale bałem się, ponieważ znalazła się pani w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

- Czy... czy to naprawdę było niebezpieczne? Co było w tej strzykawce?

- Mam wyjaśnić, czy pan to zrobi? - wtrącił Japp.

- Mademoiselle - odparł poważnie Poirot - ten doktor Andersen obmyślił plan wyzyskiwania i mordowania... mordowania w sposób naukowy. Większość życia poświęcił badaniom bakteriologicznym. Posiada on, zarejestrowane na inne nazwisko, laboratorium chemiczne w Sheffield. Hoduje tam szczepy różnych bakterii. Na festiwalach miał zwyczaj wstrzykiwać swym wyznawcom niewielkie, lecz wystarczające dawki konopi indyjskich, znanych także jako haszysz. Powoduje on

złudne poczucie radości i zadowolenia. Dzięki temu wierni przywiązywali się do niego jeszcze bardziej. To były te radości ducha, które obiecywał.

- Zdziwiająca - wtrąciła panna Carnaby. - To absolutnie zdziwiająca uczucie.

Poirot pokiwał głową.

- To były jego atuty: dominująca osobowość, zdolność wywoływania masowej hysterii i reakcja powodowana przez narkotyki. Ale na uwadze miał inny cel. Samotne kobiety, z wdzięczności i oszołomienia, zapisywały swoje pieniądze sekcje, po czym jedna po drugiej umierały. Umierały w swych domach, najwyraźniej z przyczyn naturalnych. Postaram się to wyjaśnić bez wdawania się w zbytne szczegóły. Można wyhodować szczepy pewnych bakterii o spotęgowanych właściwościach, na przykład pałeczkę *Coli communis*, powodującą zapalenie wrzodu żołądka. Można wprowadzić do organizmu pałeczkę duru brzuszego, podobnie jak i *Pneumococcus*. Jest także bakteria nieszkodliwa dla osób zdrowych, ale powodująca odnowienie się gruźlicy u osób, które na nią kiedyś chorowały. Widzi pani teraz przebiegłość tego człowieka? Zgony następowały w różnych częściach kraju, świadectwa wystawiali różni lekarze i nie istniało ryzyko nawet cienia podejrzeń. Zdaje się, że wyhodował on także coś, co opóźnia, a zarazem wzmaga działanie wybranych bakterii.

- To diabeł wcielony! - rzucił nadinspektor Japp.

- Na moje polecenie wyznała mi pani, że chorowała pani na gruźlicę. Kiedy Cole go aresztował, w strzykawce była owa bakteria powodująca nawrót gruźlicy. Nie wyrządziłaby pani krzywdy, jako że jest pani zdrowa - właśnie dlatego kazałem pani zwrócić jego uwagę na gruźlicę. Ale bałem się, że mimo tego może on wybrać jakiś inny; związek. Mam jednak wielki szacunek dla pani odwagi, więc zdecydowałem się na to ryzyko.

- Och, nie ma o czym mówić - rzuciła lekko panna Carnaby. - Nie boję się ryzyka.

Mnie strachu napędzają na przykład byki na pastwisku czy coś takiego. Ale czy macie panowie dość dowodów, żeby go skazać?

Japp wyszczerzył zęby.

- Całe mnóstwo dowodów - odparł. - Mamy jego laboratorium, jego hodowle, wszystko!

- Moim zdaniem bardzo możliwe, że popełnił on cały szereg morderstw - dodał Poirot. - Powiedziałbym, że przyczyną wyrzucenia go z uniwersytetu w Niemczech wcale nie był fakt, że jego matka była Żydówką. To był tylko wygodny pretekst tłumaczący, dlaczego tu przyjechał, i zjednujący mu współczucie. O ile wiem, to czystej krwi Aryjczyk. Panna Carnaby westchnęła.

- Qu'est-ce qu'il y a?* - zapytał Poirot.

- Myślałam właśnie o cudownym śnie, który miałam na pierwszym festiwalu... pewnie po haszyszu. Tak wspaniale zorganizowałam cały świat! Bez wojen, bez biedy, bez chorób, bez brzydoty...

- To musiał być piękny sen - powiedział Japp z zazdrością.

Panna Carnaby poderwała się nagle.

- Muszę wracać do domu - oświadczyła. - Emily tak się niepokoi. I słyszałam, że kochany August strasznie za mną tęskni.

- Może się boi - powiedział detektyw z uśmiechem - że podobnie jak on, także i pani chce "umrzeć za Herkulesa Poirot"!

JABŁKA HESPERYD

I

Herkules Poirot wodził zamyślonym wzrokiem po twarzy mężczyzny siedzącego pod drugiej stronie wielkiego mahoniowego biurka. Zwrócił uwagę na wydatne czoło,

wąskie usta, drapieżny zarys szczęk i przesywające oczy wizjonera. Patrząc na tego człowieka rozumiał, dlaczego Emery Power został potentatem finansowym. Kiedy zaś jego oczy przesunęły się na dłonie, delikatne dłonie o subtelnym kształcie, spoczywające na biurku, zrozumiał także, dlaczego Emery Power cieszył się sławą, wielkiego kolekcjonera. Po obu stronach Atlantyku znano go jako konesera dzieł sztuki. Jego zamiłowanie do sztuki szło w parze z jego zamiłowaniem do historii. Nie wystarczyło mu, że coś jest piękne - dla niego to coś musiało mieć jeszcze historię. Emery Power odezwał się. Mówił spokojnie, głosem cichym i wyraźnym, co skutkowało dużo lepiej niż najgłośniejsze wrzaski.

- Wiem, że obecnie bardzo rzadko podejmuje się pan nowych zadań. Myślę jednak, że weźmie pan tę sprawę.

- Czyżby było to coś wielkiej wagi?

- Dla mnie to sprawa bardzo wielkiej wagi - rzekł Emery Power.

Poirot, z głową lekko przechyloną na bok, zachowywał wyczekującą postawę.

Wyglądał jak zamyślony drożdź.

- Chodzi o odzyskanie dzieła sztuki - ciągnął kolekcjoner. - Ściślej mówiąc, szczerozłotego, cyzelowanego kielicha, pochodzącego z epoki Renesansu. Podobno kielicha tego używał papież Aleksander VI - Roderigo Borgia. Czasami pozwalał napić się z niego wybranemu gościowi. Gość taki, panie Poirot, zazwyczaj umierał.

- Ładna historia - mruknął Poirot.

- Dzieje tego naczynia były nieodłącznie związane z gwałtem. Kradziono je wielokrotnie. Aby je zdobyć, popełniano morderstwa. Pasma krwi ciągnie się za nim przez wieki.

- Z powodu jego wartości czy też z jakichś innych przyczyn?

- Jego wartość sama w sobie z całą pewnością jest znaczna. To arcydzieło - podobno kielich ten wyszedł spod ręki Benvenuto Celliniego. Wyobrażono na nim jabłoń, którą opasuje wysadzany kamieniami wąż. Same jabłka wykonane są z nadzwyczaj pięknych szmaragdów.

- Jabłka? - powiedział cicho Poirot, nagle wyraźnie zainteresowany.

- Szmaragdy są wyjątkowo wspaniałe, podobnie zresztą jak i rubiny na wężu, ale naturalnie prawdziwa wartość kielicha tkwi w jego historii. W 1929 roku wystawił go na sprzedaż markiz di San Veratrino. Kolekcjonerzy prześcigali się w licytacji, aż w końcu zdobyłem go dla siebie za sumę równą - po ówczesnym kursie przeliczeniowym - trzydziestu tysiącom funtów.

Poirot uniósł brwi.

- W rzeczy samej, królewska cena! - mruknął. - Markiz di San Veratrino miał szczęście.

- Jeśli czegoś chcę, panie Poirot, to płacę - oświadczył Emery Power.

- Nie wątpię, że zna pan hiszpańskie przysłowie: "Bierz, co chcesz, i płac za to - tak mówi Bóg"?

Przez chwilę finansista zmarszczył brwi; w jego oczach mignął gniewny błysk.

- Ma pan usposobienie filozofa, panie Poirot - rzekł sucho.

- Doszedłem do wieku, w którym człowiek staje się refleksyjny, monsieur.

- Nie wątpię. Ale same refleksje nie zwrócą mi mojego kielicha.

- Tak pan sądzi?

- Moim zdaniem należy działać.

Herkules Poirot łagodnie pokiwał głową.

- Wielu ludzi popełnia ten sam błąd. Ale wybaczy pan, panie Power, odeszliśmy od tematu. Mówił pan, że nabył pan ten kielich od markiza di San Veratrino.

- Właśnie. A teraz muszę panu powiedzieć, że skradziono go, zanim jeszcze przeszedł w moje ręce.

- Jak do tego doszło?
- W nocy w. dniu licytacji ktoś włamał się do pałacu markiza i skradł osiem czy dziewięć cennych eksponatów, wśród nich mój kielich.
- Co zrobiono w tej sprawie? Poirot wzruszył ramionami.
- Oczywiście, policja wzięła sprawę w swoje ręce. Ustalono, że kradzieży dokonała znana międzynarodowa szajka złodziei. Dwóch z nich, Francuza nazwiskiem Dublay i Włocha Riccovettiego złapano i skazano... znaleziono u nich część przedmiotów pochodzących z tej kradzieży.
- Ale kielicha Borgiów nie było?
- Kielicha Borgiów nie było. Z tego, co zdołała ustalić policja, w kradzież zamieszane były trzy osoby - ci dwaj, których właśnie wymieniłem, i trzeci - Irlandczyk nazwiskiem Patrick Casey. Ten ostatni był doświadczonym włamywaczem. Powiadano, że to właśnie i on dokonał tej kradzieży. Dublay był mózgiem szajki i obmyślał plany napadów, a Riccovetti czekał w samochodzie na łupy.
- A skradzione przedmioty? Czy podzielili je między sobą na trzy części?
- Być może. Z drugiej strony, odzyskano tylko najmniej cenne przedmioty. Bardzo możliwe, że najbardziej godne uwagi i wartościowe dzieła czym prędzej wywieziono za granicę.
- A co z tym trzecim, Caseyem? Czy jego nie dosięgło ramię sprawiedliwości?
- Nie w takim sensie, jak pan myśli. Nie był już taki młody. Jego mięśnie nie pracowały już tak jak kiedyś. Dwa tygodnie później spadł z piątego piętra, ponosząc śmierć na miejscu.
- Gdzie?
- W Paryżu. Próbował okraść dom bogatego bankiera nazwiskiem Duvauglier.
- I nigdy więcej nie widziano tego kielicha?
- Otóż to.
- Nigdy nie wystawiono go na sprzedaż?
- Nie, jestem tego pewny. Muszę dodać, że szukała go nie tylko policja, lecz także prywatni detektywi.
- A co się stało z pieniędzmi, które pan włożył?
- Markiz, człowiek bardzo dbały o konwenanse, zaproponował mi ich zwrot, jako że kielich skradziono z jego domu.
- Ale pan odmówił?
- Tak.
- Dlaczego?
- Powiedzmy, że wolałem wziąć sprawę w swoje ręce.
- Innymi słowy, gdyby przyjął pan propozycję markiza, kielich po odzyskaniu wróciłby do niego, tymczasem teraz należy do pana?
- Właśnie tak.
- Co się za tym kryje?
- Widzę, że docenia pan ten aspekt sprawy - rzekł Emery Power z uśmiechem. - Widzi pan, panie Poirot, to proste. Myślałem, że wiem, u kogo jest kielich.
- To bardzo ciekawe. A któż to taki?
- Sir Reuben Rosenthal. On jest nie tylko kolekcjonerem, lecz w owym czasie był także moim osobistym wrogiem. Rywalizowaliśmy ze sobą w interesach... w sumie ja wyszedłem na tym lepiej. Kulminacją naszej animozji była rywalizacja o ten kielich Borgiów. I on, i ja byliśmy zdecydowani go zdobyć. Postawiliśmy to sobie jakby za punkt honoru. Nasi przedstawiciele na licytacji przebijali się nawzajem.
- I ostateczna oferta pańskiego przedstawiciela zapewniła panu ten skarb?
- Niezupełnie. Przezornie wynająłem drugiego agenta - z pozoru, przedstawiciela paryskiego handlarza. Rozumie pan, żaden z nas nie był skłonny ustąpić przed

drugim, ale pozwolić komuś trzeciemu wejść w posiadanie kielicha, to zupełnie inna sprawa. Potem można by się po cichu zwrócić do tego kogoś.

- Jednym słowem, un petite déception*.

- Otóż to.

- Które dało pozytywne wyniki... i zaraz potem sir Reuben odkrył, że został wprowadzony w pole?

Power uśmiechnął się wymownie.

- Teraz rozumiem - rzekł Poirot. - Wierzył pan, że sir Reuben, nie chcąc się dać pobić, sam zorganizował tę kradzież?

Emery Power uniósł dłoń.

- Ależ nie, nie! Nie tak ostro. Po prostu krótko potem sir Reuben nabyłby renesansowy kielich nieznanego pochodzenia.

- Którego opis policja rozesłała na cały świat?

- Kielicha nie wystawiono by na widok publiczny.

- Myśli pan, że sir Reubenowi wystarczyłaby sama świadomość, że wszedł w jego posiadania?

- Tak. Co więcej, gdybym przyjął ofertę markiza, to sir Reuben mógłby później wejść z markizem w prywatny układ, dzięki czemu kielich stałby się legalnie jego własnością.

Zamilkł na chwilę, po czym rzekł:

- Ale zachowując legalne prawo własności, zostawiłem sobie otwartą drogę do odzyskania mojego kielicha.

- Chce pan powiedzieć, że starał się pan go ukraść z domu sir Reubena? - walnął Poirot prosto z mostu.

- Nie ukraść, panie Poirot. Ja tylko chciałem odzyskać to, co moje.

- Ale się panu nie powiodło, jak rozumiem?

- Nic dziwnego.

Rosenthal nigdy nie miał tego kielicha!

- Skąd pan wie?

- Niedawno nastąpiła fuzja w branży naftowej. Teraz interesy Rosenthala i moje są zbieżne. Jesteśmy sprzymierzeńcami, a nie wrogami. Rozmawiałem z nim szczerze na ten temat i zapewnił mnie natychmiast, że nigdy nie posiadał tego kielicha.

- I pan mu uwierzył?

- Tak.

- A więc przez niemal dziesięć lat, jak to się mówi, gonił pan w piętę? - rzekł Poirot w zamyśleniu.

- Tak, dokładnie tak! - przyznał finansista z goryczą.

- A teraz...; zaczyna pan wszystko od początku? Kolekcjoner skinął głową.

- I ja mam wkroczyć na tym etapie? Mam być psem, którego puszcza pan starym tropem... bardzo starym?

- Nie wzywałbym pana, gdyby sprawa była prosta - odrzekł sucho magnat. - Oczywiście, jeżeli uważa pan, że to niemożliwe...

Trafił w sedno. Herkules Poirot zeszywniał w fotelu.

- Ja nie znam słowa "niemożliwe", monsieur - odparował zimno. - Ja tylko zadaję sobie pytanie, czy sprawa ta jest dostatecznie ciekawa, żebym miał się jej podjąć.

Emery Power uśmiechnął się po raz drugi.

- Jest dostatecznie ciekawa... bo sam pan określi wysokość swojego honorarium.

Mały człowieczek spojrział na dużego.

- Aż tak zależy panu na tym dziele sztuki? - zapytał cicho. - Chyba nie!

- Powiedzmy, że, tak jak pan, nie przyjmuję porażki do wiadomości - rzekł Emery Power.

Herkules Poirot pochylił głowę.

- Tak - mruknął. - Jeśli tak, to rozumiem...

II

Inspektor Wagstaffe był zaintrygowany.

- Kielich Veratrino? Tak, pamiętam doskonale. Prowadziłem tę sprawę z naszej strony. Wie pan, mówię trochę po włosku, więc pojechałem tam i pogadałem sobie z makaroniarzami. Ten puchar nigdy się już nie pojawił na widoku. Śmieszna sprawa.

- A jak pan to sobie tłumaczy? Prywatna sprzedaż? Wagstaffe potrząsnął głową.

- Wątpię. Oczywiście, nie jest to wykluczone... Ale nie, ja to tłumaczę dużo prościej. Towar zamelinowano, a jedyny człowiek, który wiedział gdzie, już nie żyje.

- Myśli pan o Caseyu?

- Tak. Mógł go schować gdzieś we Włoszech albo udało mu się go wywieźć za granicę. Ale on go gdzieś ukrył i do tej pory ten kielich tam leży.

Herkules Poirot westchnął.

- Bardzo romantyczna teoria. Perły schowane w gipsowych rzeźbach... jakże się nazywało to opowiadanie... Popiersie Napoleona, nieprawdaż? Ale w tym wypadku mamy nie klejnoty, lecz duży, solidny złoty puchar. To już nie tak łatwo ukryć.

- Bo ja wiem? - bąknął Wagstaffe. - Sądzę, że dałoby się zrobić. Pod podłogą, czy coś w tym rodzaju.

- Czy Casey miał własny dom?

- Tak, w Liverpoolu. - Inspektor uśmiechnął się szeroko. - Nic tam nie było pod podłogą. Sprawdziliśmy.

- A co z jego rodziną?

- Żona była przyzwoitą kobietą... chorowała na gruźlicę. Zamartwiała się postępowaniem męża. Wierzyła... była gorliwą katoliczką i nie mogła się zdecydować, żeby od niego odejść. Zmarła kilka lat temu. Opiekowała się nią córka... teraz jest zakonnica. Syn był inny... wykapany ojciec. Z tego, co ostatnio słyszałem, odsiaduje wyrok w Ameryce.

Herkules Poirot zapisał w notatniku: "Ameryka".

- Czy to możliwe, żeby syn Casey'a znał miejsce kryjówki? - zapytał.

- Nie wierzę. Inaczej kielich już dawno wpadłby w ręce paserów.

- Mogli go przetopić.

- Możliwe, to nawet bardzo prawdopodobne. Ale bo ja wiem... dla kolekcjonerów miał olbrzymią wartość, zdziwiłby się pan! Czasami - dorzucił inspektor cnotliwie - mam wrażenie, że ci kolekcjonerzy są wyzbyci jakiegokolwiek moralności.

- Aha! Czy zdziwiłoby pana, gdyby na przykład sir Reuben Rosenthal był zamieszany w tę, jak pan to określił, "śmieszna sprawa"?

Wagstaffe wyszczerzył zęby.

- Nie wykluczałbym tego. Tam, gdzie w grę wchodzi dzieła sztuki, nie ma on opinii człowieka szczególnie uczciwego.

- A co z resztą szajki?

- Riccovetti i Dublay odsiadują wysokie wyroki. Zdaje mi się, że już niedługo powinni wyjść.

- Dublay to Francuz, tak?

- Tak, był mózgiem bandy.

- Kto jeszcze do nich należał?

- Jakaś dziewczyna... wołali na nią Ruda Kaśka. Zatrudniała się jako pokojówka i wywiadywała co i jak.... gdzie trzymają forsy i tak dalej. Zdaje się, że po rozbięciu gangu wyjechała do Australii.

- To wszyscy?
- Podejrzewano, że ma z nimi powiązania taki jeden o nazwisku Yougouian. To handlarz. Kwaterę główną ma w Istambule, ale ma też sklep w Paryżu. Wprawdzie niczego mu nie udowodniono... ale to śliski gość.
- Poirot westchnął. Zerknął na swój mały notes, gdzie zapisał: Ameryka, Australia, Włochy, Francja, Turcja...
- I Ziemię opasać... mruknął.
- Słucham? - bąknął inspektor Wagstaffe. - Mówiłem tylko - oświadczył Herkules Poirot - że wskazana będzie podróż dookoła świata.

III

Do stałych zwyczajów Herkulesa Poirot należało omawianie aktualnie prowadzonych spraw z jego służącym doskonałym - Georgesem. Znaczy to, że Herkules Poirot rzucał luźne uwagi, na które Georges reagował z doświadczeniem życiowym, nabytym w ciągu swej wieloletniej kariery lokaja.

- Georges, gdybyś stanął w obliczu konieczności prowadzenia śledztwa w pięciu różnych częściach kuli ziemskiej, jak byś się do tego zabrał?
- No cóż, proszę pana, podróże samolotem są bardzo szybkie, choć niektórzy twierdzą, że źle wpływają na żołądek. Trudno mi o własne zdanie na ten temat.
- Należy zadać sobie pytanie, jak w takiej sytuacji postąpiłby Herkules?
- Czy mówi pan o tym fabrykancie rowerów?
- Albo - ciągnął Herkules Poirot - zapytać jeszcze prościej: jak on naprawdę postąpił? Odpowiedź zaś, Georges, brzmi: podróżował, i to energicznie. W końcu jednak musiał zasięgnąć informacji... według jednych u Prometeusza, według innych - u Nereusa.
- Doprawdy, proszę pana? - rzekł Georges. - Nigdy nie słyszałem o żadnym z tych dwóch panów. Czy oni prowadzą biura podróży?
- Herkules Poirot, napawając się brzmieniem swojego głosu, ciągnął:
- Mój klient, Emery Power, rozumie tylko jedno: działać! Tymczasem niepotrzebne trwonienie energii to bezsens. W życiu, Georges, należy kierować się złotą zasadą: nigdy nie rób nic, co inni mogą zrobić za ciebie. Zwłaszcza - dodał, wstając i podchodząc do półki z książkami - kiedy cena nie gra roli.
- Zdjął z półki teczkę oznaczoną literą "D" i otworzył ją na słowach "Detektywistyczne agencje - godne zaufania".
- Współczesny Prometeusz - mruknął pod nosem. - Bądź łaskaw, Georges, wynotować mi kilka nazwisk i adresów. Panowie Hankerton z Nowego Jorku, panowie Laden i Boshier z Sydney, signor Giovanni Mezzi z Rzymu, monsieur Nahum z Istambułu i panowie Roget i Franconard z Paryża.
- Przerwał, czekając, aż Georges skończy pisać. Następnie polecił:
- I bądź tak dobry zorientować się w rozkładzie jazdy pociągów do Liverpoolu.
- Tak jest, proszę pana. Czy wybiera się pan do Liverpoolu?
- Tak, niestety. Niewykluczone, Georges, że udam się nawet dalej. Ale to jeszcze nie teraz.

IV

Trzy miesiące później Herkules Poirot stał na skalnym nawisie, spoglądając na Ocean Atlantycki. Mewy, krzycząc przeciągle i melancholijnie, wzbijały się w niebo i opadały. Powietrze było ciepłe i wilgotne.

Herkules Poirot miał wrażenie, dość powszechne u ludzi po raz pierwszy

odwiedzających Inishgowlen, że dotarł na skraj świata. Nigdy w życiu nie wyobrażał sobie niczego równie dalekiego, osamotnionego i opuszczonego. Była to piękna okolica; piękna melancholijna, obsesyjna pięknnością odległej przeszłości, w którą trudno uwierzyć. Tutaj, na zachodzie Irlandii, nigdy nie stanęła noga rzymskich legionów; tu nigdy Rzymianie nie rozstawili obozów warownych, nie pobudowali porządných, użytecznych dróg. Była to ziemia, gdzie nie znano zdrowego rozsądku i uporządkowanego życia.

Herkules Poirot spojrział na czubki swoich lakierków i westchnął. Czuł się opuszczony i samotny. Tutaj nie doceniano standardu życia, do którego przywykł. Omiótł wzrokiem opustoszałe wybrzeże i raz jeszcze spojrział na morze. Gdzieś tam, jak głosi tradycja, leżą Wyspy Błogosławione, Kraina Młodości....

- Jabłoń, śpiew i złoto - szepnął do siebie.

Nagle znów stał się sobą - czar chwili przysnął.

Gdzieś w pobliżu rozległo się bicie dzwonów. Znajomy sygnał. Z tym dźwiękiem był obeznany od dzieciństwa.

Żwawym krokiem ruszył wzdłuż nabrzeża. Dziesięć minut później zobaczył na skalnym nawisie budynek, otoczony wysokim murem, w którym osadzono wielkie, nabite ćwiekami drewniane drzwi. Herkules Poirot podszedł do nich i zapukał żelazną kołatką. Następnie pociągnął ostrożnie za zardzewiały łańcuch, na co po drugiej stronie drzwi zabrzmiał wesoło mały dzwoneczek.

Otworzyło się małe okienko w bramie i ukazała się twarz. Twarz podejrzliwa, okolona nakrochmaloną bielą. Nad górną wargą widniał wyraźny wąsik, lecz głos należał do kobiety. Był to głos z gatunku tych, które Herkules Poirot określał mianem femme formidable.

Głos zapytał, o co chodzi.

- Czy to klasztor pod wezwaniem świętej Marii i Wszystkich Aniołów?

- A cóżby innego? - odparł kobiecy głos opryskliwie. Herkules Poirot nie próbował znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

- Chciałbym się widzieć z siostrą przełożoną - powiedział do smoka.

Smoczysko opierało się, lecz wreszcie ustąpiło. Odsunięto rygle, drzwi się otworzyły i wprowadzono Herkulesa Poirot do małego, prostego pomieszczenia, w którym przyjmowano gości odwiedzających klasztor.

Wkrótce pojawiła się siostra z różańcem u pasa.

Herkules Poirot był od urodzenia katolikiem. Atmosfera, w której się znalazł, była mu bliska.

- Przepraszam za kłopot, ma mere* - odezwał się -ale zdaje mi się, że ma pani tutaj religieuse*, która dla ludzi nazywała się Kate Casey.

Siostra przełożona skłoniła głowę.

- To prawda. Dla Boga to siostra Maria Urszula.

- Wydarzyło się zło, które trzeba naprawić - rzekł detektyw. - Wierzę, że siostra Maria Urszula mogłaby mi w tym pomóc. Ma ona informacje, które mogą się okazać bezcenne.

Siostra przełożona potrząsnęła głową. Twarz miała łagodną, a głos spokojny.

- Siostra Maria Urszula nie może panu pomóc.

- Ależ zapewniam...

Przerwał. Siostra przełożona rzekła:

- Siostra Maria Urszula zmarła dwa miesiące temu.

V

Herkules Poirot siedział niewygodnie oparty o ścianę w sali barowej hotelu

Jimmy'ego Donovana. Hotel nie odpowiadał jego wyobrażeniom o tym, czym hotel być powinien. Jego łóżko było w rozsypce, podobnie jak i dwie szyby w oknie pokoju, co umożliwiało wstęp nocnemu powietrzu, któremu detektyw tak bardzo nie ufał. Gorąca woda, którą mu przyniesiono, okazała się letnia, po posiłku zaś odczuwał w swym wnętrzu dziwne, bolesne skurcze.

W barze siedziało pięciu mężczyzn; wszyscy rozmawiali o polityce. Przez dłuższy czas Herkules Poirot nie mógł zrozumieć, o czym mówią. Mało go to zresztą obchodziło.

Wkrótce jeden z mężczyzn przysiadł się do niego. W pewien sposób odróżniał się od pozostałych. Miał typowy wygląd mieszczucha.

- Coś panu powiem - odezwał się z godnością. - Powiem panu... Pegeen's Pride nie ma szans... ani cienia szansy. Przyjdzie na szarym końcu, na szarym końcu. Pan wierzy w moje typy. Wie pan, kto ja jestem... no, wie pan? Atlas, jestem Atlas z "Dublin Sun"..., typowałem zwycięzców na cały sezon. Czyż nie przewidziałem Larry's Girl? Płacili za nią dwadzieścia pieg do jednego... dwadzieścia pięć do jednego! Słuchajcie Atlasa, a dobrze na tym wyjdziecie.

Herkules Poirot spojrział na niego z uwielbieniem.

- Mon Dieu, toż to omen! - mruknął drżącym głosem.

VI

Minęło kilka godzin. Księżyc wychodził co chwila, kokieteryjnie zerkając spoza chmur. Poirot i jego nowy przyjaciel przeszli kilka mil. Detektyw kulał. Przyszło mu na myśl, że w końcu istnieją inne buty, bardziej stosowne do chodzenia w terenie niż lakierki. Właściwie to nawet Georges zwracał mu na to uwagę. "Jakieś ładne obuwie z juchtowej skóry" - radził z szacunkiem.

Herkulesowi Poirot nie spodobał się ten pomysł. Uważał, że jego stopy powinny być porządnie, elegancko obute. Teraz jednak, wędrując kamienistą ścieżką, uświadomił sobie, że istnieją jeszcze inne buty...

Nagle jego towarzysz odezwał się:

- Czy ksiądz nie będzie miał do mnie za to pretensji? Nie chciałbym mieć żadnego grzechu na sumieniu.

- Oddajesz tylko cesarzowi to, co cesarskie - zapewniał go detektyw.

Dotarli do murów klasztoru. Atlas przygotował się do wypełnienia swej roli.

Jęknął potężnie i oświadczył cichym, rozgoryczonym tonem, że jest kompletnie zniszczony!

- Spokój! - nakazał detektyw autorytatywnie. - Nie musisz dźwigać na barkach ciężaru świata... tylko ciężar Herkulesa Poirot.

VII

Atlas obracał w palcach dwa nowiutkie banknoty pięciofuntowe. - Może do rana zapomnę, w jaki sposób je zarobiłem. Przestałem się już przejmować ojcem O'Reilly.

- Zapomnij o wszystkim przyjacielu. Jutro należy do ciebie.

- I na co mam je postawić? - mruknął Atlas. - Jest Working Lad, to wspaniały koń, cudowny! Jest też Sheila Bayne. Dostałbym za nią siedem do jednego.

Zamilkł na chwilę.

- Czy mi się zdaje, czy słyszałem, że wspomniał pan imię jakiegoś pogańskiego boga? Mówił pan o Herkulesie, i chwala Bogu, o trzeciej trzydziści biegnie jutro Herkules.

- Przyjacielu, postaw całe pieniądze na tego konia - doradził detektyw. - Wierz mi, Herkules nie może przegrać.

I stało się, że następnego dnia Herkules ze stajni pana Rosylina całkiem niespodziewanie wygrał gonitwę o puchar Baynana. Płacono sześćdziesiąt do jednego.

VIII

Herkules Poirot zręcznie rozpakował starannie zawiniętą paczkę. Najpierw szary papier, potem watę, a na końcu bibułę.

Na biurku przed Emerym Powerem ustawił błyszczący złoty kielich, ozdobiony wizerunkiem jabłoni o owocach wykonanych ze szmaragdów.

Finansista, odetchnął głęboko.

- Gratuluję, panie Poirot.

Herkules Poirot skłonił się. Emery Power wyciągnął rękę.

Dotknął brzegu naczynia, przesuając palcem po jego krawędzi.

- Mój! - powiedział głębokim głosem.

- Pański - zgodził się Poirot.

Kolekcjoner odetchnął i rozparł się w fotelu.

- Gdzie go pan znalazł? - zapytał rzeczowym tonem.

- Na ołtarzu - odparł detektyw. Emery Power wytrzeszczył oczy.

- Córka Caseya była zakonnica. Miała właśnie składać ostatnie śluby, kiedy umarł jej ojciec. Była niedouczone, za to wierząca. Zabrała go do klasztoru, aby - jak sędzę - odpokutować za grzechy ojca. Oddała go na użytek ku chwale Pana. Wątpię, czy siostry poznały się na jego prawdziwej wartości. Prawdopodobnie uważały, że to rodzinny spadek. W ich oczach było to zwykłe naczynie liturgiczne i używały go zgodnie z przeznaczeniem.

- Niebywała historia! - rzekł Emery Power. - A co pana skłoniło, żeby tam pojechać? Poirot wzruszył ramionami.

- Być może rezultat eliminacji. A także zadziwiający fakt, że nikt nie próbował się pozbyć tego kielicha. Rozumie pan, wyglądało na to, że znajduje się on gdzieś, gdzie zwykłe materialne wartości nie mają znaczenia. Przypomniałem sobie, że córka Patricka Caseya była zakonnica.

- No, jak już mówiłem, gratuluję - rzekł Power serdecznie. - Proszę mi podać wysokość pańskiego honorarium, zaraz wystawię czek.

- Nie żądam honorarium - powiedział detektyw.

Finansista wlepił w niego wzrok.

- Jak to?

- Czy w dzieciństwie czytał pan baśnie? Gdzie królowie zwykle mówili: "Proś, o co chcesz". - Więc jednak prosi pan o coś?

- Tak, ale nie o pieniądze. Mam tylko jedno proste życzenie.

- Jakie? Chce pan, żebym panu podsunął, jak zagrać na giełdzie?

- To też byłyby pieniądze, tyle że w innej postaci. Moja prośba jest dużo prostsza.

- Więc słucham?

Herkules Poirot położył obie dłonie na kielichu.

- Niech go pan zwróci do klasztoru.

Zapadła cisza. Po chwili Emery Power zapytał:

- Czy pan oszalał?

Herkules Poirot potrząsnął głową.

- Nie, nie oszalałem. Coś panu pokażę. Podniósł kielich i mocno wbił paznokcie w otwartą paszczę węża oplatającego drzewo. Malutki fragment rzeźbionego wnętrza złotego kielicha przesunął się, odsłaniając otwór prowadzący do pustej w środku nóżki naczynia.

- Widzi pan? - rzekł detektyw. - Był to kielich papieża Borgii. Przez ten otworek

trucizna dostawała się do napoju. Sam pan powiedział, że historia tego pucharu jest nierozłącznie związana ze złem. Gwałt, krew i przemoc towarzyszyły jego właścicielom. Kto wie, czy teraz nie kolej na pana.

- Zabobony!

- Być może. Ale dlaczego tak bardzo chciał pan zdobyć ten puchar? Nie dla jego urody. Ani dla wartości. Ma pan setki, być może tysiące pięknych i rzadkich dzieł sztuki. Chciał pan tylko zaspokoić swą pychę. Postanowił pan za wszelką cenę nie dać się pokonać. Eh bien, no i nie dał się pan. Pan wygrał! Kielich jest w pańskich rękach. Ale dlaczego nie zdobyć się na wielki, największy gest? Niech go pan zwróci tam, gdzie przebywał przez niemal dziesięć lat. Niech oczyści się tam ze zła, które go otaczało. Kiedyś należał on do Kościoła... więc niech tam też wróci. Niech znów stanie na ołtarzu, oczyszczony i rozgrzeszony, tak jak - miejmy nadzieję - i ludzie będą oczyszczeni i rozgrzeszeni. Pochylił się.

- Pozwoli pan, że opiszę miejsce, w którym go odnalazłem... ogród pokoju, wychodzący na zachodnie morze w kierunku zapomnianego raju młodości i wiecznej piękności...

Mówił jeszcze przez chwilę, w prostych słowach opisując odległy urok Inishgowlan. Emery Power odchylił się w fotelu i zasłonił dłonią oczy. W końcu powiedział:

- Urodziłem się na zachodnim wybrzeżu Irlandii. Opuściłem ją jako dziecko, by wyjechać do Ameryki.

- Słyszałem o tym - wtrącił Poirot łagodnie.

Finansista wyprostował się w fotelu. Jego oczy znów stały się przebiegłe.

- Jest pan dziwnym człowiekiem, panie Poirot - powiedział, a na jego wargach zaigrał nikły uśmiešek. - Postawił pan na swoim. Niech pan zawiezie ten kielich do klasztoru jako prezent ode mnie. Raczej kosztowny prezent. Trzydzieści tysięcy funtów... a co dostanę w zamian?

- Siostry będą się modlić za pańską duszę - odrzekł Poirot poważnie.

Bogacz uśmiechnął się szerzej - drapieżnym, wygłodniałym uśmiechem.

- A więc to jednak inwestycja! Być może najlepsza w mojej karierze...

IX

W niewielkiej sali przyjęć w klasztorze Herkules Poirot opowiedział całą historię i przekazał kielich siostrze przełożonej.

- Niech mu pan powie, że dziękujemy i że będziemy się za niego modlić - powiedziała cicho.

- On potrzebuje waszych modlitw - rzeki detektyw łagodnie.

- Czyżby był nieszczęśliwy?

- Tak bardzo nieszczęśliwy, że zapomniał, czym jest szczęście. Jest tak nieszczęśliwy, że sam o tym nie wie.

- Ach, bogaty... - szepnęła zakonnica.

Herkules Poirot nie odpowiedział - wiedział, że wszelkie słowa są zbędne.

POJMANIE CERBERA

I

Herkules Poirot, kiwając się z boku na bok w wagonie metra i objijając raz o tego, raz o innego sąsiada, myślał w duchu, że na świecie jest stanowczo za dużo ludzi! A już z całą pewnością było ich za dużo w podziemnym świecie Londynu o tej konkretnej godzinie (szóstej trzydzieści wieczorem). Upał, hałas, tłum, ścisk... niemiły dotyk dłoni, ramion, brzuchów i pleców! Otoczony i ściśnięty przez obcych... okropność,

pomyślał z niesmakiem - przez szarych i nieciekawych obcych! Ludzkość oglądana tak en masse nie przedstawia się zbyt atrakcyjnie. Jakże rzadko spotyka się twarz promieniującą inteligencją, jak rzadko widuje się teraz femme bien mise*! Jakaż to namiętność każe kobietom robić na drutach nawet w najbardziej nieodpowiednich po temu warunkach? Kobieta robiąca na drutach nigdy nie wygląda zbyt korzystnie; zaabsorbowana, wzrok szklany, niespokojne, pracowicie migające palce! Potrzeba kociej zwinności i napoleońskiej siły woli, aby robić na drutach w zatłoczonym metrze, ale kobietom jakoś się to udaje. Gdy tylko złapią miejsce siedzące, natychmiast wyciągają jakąś nędzną robótkę i druty ze stukotem wkraczają do akcji! Ani chwili wytchnienia, myślał Poirot, ani odrobiny kobiecego wdzięku! Jego staroświecka dusza buntowała się przeciw stresom i pośpiechowi współczesnego świata. Wszystkie te młode kobiety, które go otaczały - tak podobne jedna do drugiej, tak pozbawione uroku, tak wyzbyte bujnej, ponętnej kobiecości! On wymagał czegoś barwniejszego. Ba, ujrzyć jakąś femme du monde*, szykowną, sympatyczną, spirituelle*... kobietę o obfitych wypukłościach, kobietę zabawnie, ekstrawagancko ubraną! Kiedyś były takie kobiety, ale teraz... teraz...

Pociąg zatrzymał się na stacji. Ludzie rzucili się do wyjścia, niemal nabijając Poirota na czubki drutów; wpychali się do środka, przez co Poirot, wgnieciony w sąsiadów, czuł się niczym sardynka. Pociąg ruszył z szarpnięciem. Detektyw zatoczył się na korpulentną kobietę z sękatymi pakunkami, powiedział: Pardon! i odbił się z powrotem wpadając na wysokiego, kanciastego mężczyznę, którego neseser uderzył go w krzyże. Powtórzył "Pardon!" Poczul, że jego wąsy wilgotnieją i prostują się. Quel enfer*! Na całe szczęście wysiadał na następnej stacji!

Razem z nim wysiadło także sto pięćdziesiąt innych osób - ponieważ była to stacja Piccadilly Circus - jak wielka fala przyływu. Ludzie wylewali się na peron, wkrótce Poirot uwiązał w ścisku na schodach ruchomych, wynoszących go ku powierzchni Ziemi.

W górę, myślał Poirot, z dala od regionów piekielnych... Jak wyjątkowo bolesna może stać się walizka, wbita od tyłu pod kolana na jadących w górę ruchomych schodach! W tej samej chwili usłyszał swoje nazwisko. Zaskoczony, podniósł wzrok. Nie wierząc własnym oczom, zobaczył naprzeciwko siebie, na schodach jadących w dół, wizję dawno minionej przeszłości: kobietę o bujnych, obfitych kształtach. Jej grzywę farbowanych na rudo włosów przykrywał cienki słomkowy kapelusz, do którego przyczepiony był co najmniej pułk małych, jaskrawo upierzonych ptaszków. Z ramion spływało jej egzotycznie wyglądające futro.

Purpurowe usta miała szeroko otwarte, a jej pełny głos o cudzoziemskim akcencie rozbrzmiewał tubalnie. Miała krzepkie płuca.

- Tak! - wrzasnęła. - Ależ tak! Mon cher Hercule Poirot! Musimy się znowu spotkać! Ja nalegam!

Lecz nawet przeznaczenie nie jest tak nieubłagane, jak schody ruchome poruszające się w przeciwnych kierunkach. Nieuchronne, bezlitosne. Herkules Poirot wznosił się w górę, podczas gdy hrabina Vera Rossakoff opadała w dół.

Przekręcając się na bok i przechylając nad poręczą, detektyw; zawołał z rozpaczą:

- Chere madame, gdzie mogę panią znaleźć?

Z dołu dobiegła go jej cicha odpowiedź. Była nieoczekiwana, a jednak w tej chwili wydawała się dziwnie na miejscu.

- W piekle...

Herkules Poirot mrugnął. Mrugnął drugi raz. Nagle zachwiał się - nie zauważył, że dojechał już na samą górę, i nie zszedł ze schodów w odpowiednim momencie. Tłum otoczył go ze wszystkich stron. Z boku inny gęsty tłum ścisnął się, by wsiąść na schody jadące na dół. Czy powinien się do niego przyłączyć? Czy właśnie to hrabina

miała na myśli? Nie da się ukryć, że podróżowanie we wnętrznościach Ziemi w godzinach szczytu to piekło. Jeżeli to właśnie hrabina miała na myśli, to zgadzał się z nią bez zastrzeżeń.

Poirot zdecydował się, ustąpił na bok, wcisnął się w zjeżdżający tłum i wrócił do głębin. U stóp schodów ani śladu hrabiny. Do wyboru miał ruszyć za niebieskimi, bursztynowymi lub innymi światłami.

Czy hrabina zwykła jeździć linią Bakerloo czy Piccadilly? Poirot po kolei zwiedził wszystkie perony. Przepychany przez tłum wsiadających lub wysiadających pasażerów, nigdzie jednak nie wyśledził barwnej rosyjskiej postaci - hrabiny Very Rossakoff.

Zmęczony, sponiewierany i bezgranicznie zasmucony, Herkules Poirot raz jeszcze wyjechał na powierzchnię Ziemi i wyszedł w gwar Piccadilly Circus. Do domu doszedł w nastroju miłego podniecenia.

Nieszczęście małych pedantycznych mężczyzn polega na tym, że pociągają ich duże, obfite w kształtach kobiety. Poirotowi nigdy nie udało się otrząsnąć z fatalnej fascynacji hrabiną. I chociaż minęło już pewnie ze dwadzieścia lat, odkąd widzieli się ostatnim razem, ów czar trwał nadal. To prawda, że jej obecny makijaż przypominał zachód słońca, który wyszedł spod pędzla pejzażysty, a kobieta pod tym makijażem była ukryta przed oczami świata, lecz dla Herkulesa Poirot wciąż była ona uosobieniem przepychu i powabu. W małym mieszczechu arystokratka nadal wywoływała dreszczyk podniecenia. Wspomnienie pomysłowości, z jaką ukradła biżuterię, jeszcze bardziej rozbudziło jego podziw. Przypomniawszy sobie, z jaką imponująco zimną krwią przyznała się do wszystkiego, kiedy stanęła w obliczu faktów. Kobieta jedna na tysiąc... jedna na milion! A on spotkał ją po latach... aby ją stracić!

"W piekle" - powiedziała. Wszak słuch go chyba nie mylił? Tak właśnie powiedziała? Ale co ona miała na myśli? Czyżby londyńskie metro? A może jej słowa należy rozumieć w sensie religijnym? A jednak, nawet jeżeli jej styl życia powodował, że piekło było najbardziej prawdopodobnym miejscem spoczynku jej duszy po śmierci, to przecież rosyjska grzeczność nie pozwoliłaby jej sugerować, że i Herkules Poirot trafi w to samo miejsce.

Nie, na pewno chodziło jej o co innego. Z pewnością myślała... Herkules Poirot poczuł zamęt w głowic. Cóż za intrygująca, nieobliczalna kobieta? Kobieta mniejszego kalibru krzyknęłaby pewnie "W Ritzu" albo "U Claridge'a". Ale Vera Rossakoff zawołała zjadliwie i nieprawdopodobnie: "W piekle!"

Poirot westchnął. Ale nie był jeszcze pokonany. Następnego dnia rano wybrał najprostsze i najłatwiejsze wyjście - zapytał swoją sekretarkę, pannę Lemon. Panna Lemon była nieprawdopodobnie szpetna i niewiarygodnie kompetentna. Poirot nie był dla niej nikim szczególnym - jedynie pracodawcą. Ze swoich obowiązków wywiązywała się doskonale. Jej prywatne myśli i marzenia obracały się wokół nowego systemu gromadzenia akt, który powoli udoskonalała w skrytości ducha.

- Panno Lemon, czy mogę panią o coś zapytać?

- Oczywiście, panie Poirot. - Panna Lemon zdjęła palce z klawiatury maszyny do pisania i czekała uważnie.

- Jeżeli ktoś zaproponowałby pani spotkanie - z nim albo z nią - w piekle, to co by pani zrobiła?

Panna Lemon, jak zwykle, odpowiedziała bez namysłu. Znała jak to się mówi, wszystkie odpowiedzi.

- Uważam, że byłoby wskazane zarezerwować stolik. Herkules Poirot przyglądał się jej w osłupieniu.

- Pani by zarezerwowała stolik? - wyjąkał staccato. Panna Lemon skinęła głową i

przysunęła sobie telefon. - Na dzisiaj? - zapytała, a przyjmując jego milczenie za zgodę, szybko nakręciła numer.

- Temple Bar jeden, cztery, pięć, siedem, osiem? Czy to "Piekło"? Proszę zarezerwować stolik na dwie osoby. Dla pana Herkulesa Poirot. Na jedenastą. Odłożyła słuchawkę i zawiesiła dłonie nad maszyną do pisania. Na jej twarzy pojawił się wyraz lekkiego, bardzo lekkiego zniecierpliwienia. Zrobiła, co do niej należało, zdawała się mówić jej mina; wobec czego może pracodawca łaskawie zechce odejść i pozwoli jej wrócić do pracy.

Herkules Poirot domagał się jednak wyjaśnień.

- A cóż to takiego, to "Piekło"? - zapytał stanowczo. Panna Lemon była nieco zaskoczona.

- Czyżby pan nie wiedział, panie Poirot? To klub nocny... zupełnie nowy i bardzo na fali. Zdaje się, że prowadzi go jakaś Rosjanka. Jeszcze dziś przed wieczorem bez trudu mogę pana zapisać na członka klubu.

Po czym, zmarnowawszy (co jasno dała do zrozumienia) dosyć czasu, panna Lemon zaczęła trząść na swojej maszynie z szybkością karabinu maszynowego.

Tego dnia, o jedenastej wieczorem, Herkules Poirot przeszedł przez drzwi, nad którymi dyskretny neon oświetlał po kolei litery nazwy klubu. Podszedł do niego jakiś osobnik i odebrał płaszcz.

Gestem ręki wskazał mu szerokie, prowadzące na dół schody. Na każdym stopniu wypisano jedno zdanie. Pierwsze z nich brzmiało:

"Chciałem dobrze..."

Drugie:

"Zapomnij o tym, co było, i zacznij na nowo..."

Trzecie:

"Mogę z tym skończyć w każdej chwili..."

- Dobre chęci, którymi wybrukowana jest droga do piekła - mruknął Herkules Poirot. - C'est hien imaginé, ça*!

Zszedł na dół. U stóp schodów znajdował się basen, w którym pływały szkarłatne lilie. Nad basenem przerzucono most w kształcie łodzi. Poirot przeszedł po nim.

Po lewej stronie, w czymś w rodzaju marmurowej groty, siedział największy, najbrzydszy i najczarniejszy pies, jakiego Poirot kiedykolwiek widział!

Prawdopodobnie, pomyślał detektyw z nadzieją, nie jest prawdziwy. Ale w tej samej chwili pies uniósł dziką, brzydką głowę, a z głębi jego czarnego cielska wyrwał się niski, grzmiący pomruk. Przerazający dźwięk.

Jednocześnie Poirot zauważył ozdobny koszyk z małymi, okrągłymi biszkoptami.

Obok niego znajdowała się tabliczka z napisem: "Łapówka dla Cerbera".

Oczy psa utkwione były w koszyku. Znowu rozległ się niski, grzmiący pomruk. Poirot czym prędzej złapał biszkopt i rzucił go wielkiemu psisku.

Przepastny czerwony pysk otworzył się i po chwili potężne szczęki zamknęły się z kłapnięciem. Cerber przyjął łapówkę! Poirot przeszedł przez otwarte drzwi.

Sala była niezbyt duża, upstrzona małymi stolikami, na środku zaś miała wydzielony parkiet do tańca. Za oświetlenie służyły małe czerwone lampki, na ścianach widniały freski, a naprzeciwko wejścia znajdował się olbrzymi ruszt, przy którym uwijali się kucharze przebrani za diabły z rogami i ogonami.

Wszystko to Poirot zdążył obrzucić wzrokiem, zanim - z właściwą Rosjanom impulsywnością - hrabina Vera Rossakoff rzuciła się na niego z otwartymi ramionami, cała w blasku szkarłatnej sukni.

- Ach, więc przyszedł pan! Mój drogi, mój kochany przyjacielu, cóż to za radość znów pana spotkać! Po tylu latach, po tylu... po ilu? Nie, nie będziemy mówić, po ilu! Mam takie wrażenie, jakby to było wczoraj. Pan się nie zmienił... nie zmienił się pan

ani trochę!

- Pani też nie, chere madame - zawołał Poirot, nachylając się nad jej ręką.

Niemniej był w pełni świadomy, że dwadzieścia lat to dwadzieścia lat. Nie siląc się na złośliwość, można by określić hrabinę Rossakoff jako ruinę. Ale przynajmniej była ruiną imponującą. Jej bujne kształty, jej pełnokrwista radość życia były takie same jak kiedyś, no i jak nikt inny potrafiła lechtać męską próżność.

Zaciągnęła Poirota do stolika, przy którym siedziały dwie osoby.

- Mój przyjaciel, mój sławny przyjaciel pan Herkules Poirot - przedstawiła go. -

Postrach złoczyńców! Kiedyś sama się go bałam, ale teraz prowadzę krańcowo inne życie, cnotliwie nudne. Czyż nie mam racji?

- Hrabino, niech pani nigdy nie wymawia słowa "nuda" - odpowiedział wysoki, szczupły mężczyzna w starszym wieku, do którego się zwróciła.

- Profesor Liskeard - oświadczyła hrabina. - Wie wszystko o przeszłości i to właśnie on udzielił mi bezcennych wskazówek co do wystroju tego wnętrza.

Archeolog wzruszył lekko ramionami.

- Gdybym wiedział, co pani zamierza! - mruknął. - Rezultat jest raczej przerażający! Poirot bacznie przyjrzał się freskom. Na ścianie przed sobą ujrzał Orfeusza grającego z orkiestrą jazzową, podczas gdy Eurydyka spoglądała pełnym nadziei wzrokiem na ruszt. Naprzeciwko Ozyrys i Izis najwyraźniej wydawali przyjęcie na łodziach w podziemnym Egipcie.

Na trzeciej ścianie młodzi ludzie obojga płci zażywali wspólnej kąpieli w strojach Adama i Ewy.

- Kraina młodości - wyjaśniła hrabina i jednym tchem dopełniła formalności, przedstawiając: - A to jest moja mała Alice.

Poirot skłonił się drugiej osobie przy stoliku - poważnej dziewczynie w kostiumie w szachownicę. Nosiła okulary w rogowej oprawie.

- Ona jest bardzo, bardzo mądra - ciągnęła hrabina Vera Rossakoff. Ma doktorat, jest psychologiem i zna wszystkie powody, dla których wariaci są wariatami! To wcale nie dlatego, jak by się zdawało, że są obłąkani! Nie, jest całe mnóstwo innych powodów! Uważam, że to bardzo dziwne.

Dziewczyna imieniem Alice uśmiechnęła się uprzejmie, choć z pewnym lekceważeniem. Stanowczym tonem zapytała profesora, czy nie miałby ochoty zatańczyć. Wyraźnie mu to schlebilo, choć wzbudziło też niejakie wątpliwości.

- Droga młoda damo, obawiam się, że potrafię tańczyć tylko walca.

- To właśnie jest walc - powiedziała cierpliwie Alice. Wstali i poszli na parkiet. Nie tańczyli .dobrze. Hrabina Rossakoff westchnęła.

- A jednak ona wcale nie jest taka brzydka - wypowiedziała na głos swoje myśli.

- Nie próbuje zaprezentować się z najkorzystniejszej strony - ocenił Poirot.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem tej dzisiejszej młodzieży - zawołała hrabina. - Oni wcale nie starają się podobać... Ja w latach mojej młodości zawsze się o to starałam... twarzowe kolory, sukienki wypchane tu i tam, mocno ściągnięty w talii gorset, włosy w może nieco bardziej interesującym odcieniu... Odrzuciła z czoła ciężkie tycjanowskie sploty - trudno byłoby zaprzeczyć, że ona w każdym razie starała się, i to bardzo!

- Zadowolac się tym, co ci dała natura... ależ to głupota! A nawet bezczelność! Ta mała Alice, ona wypisuje długie elaboraty na temat seksu, ale jak często, pytam pana, jakiś mężczyzna proponuje jej wyjazd do Brighton na weekend? Wciąż tylko długie słowa, praca, dobrobyt klasy robotniczej i przyszłość świata. Bardzo to zacne, ale pytam pana, czy jest w tym jakaś radość? Niech pan tylko spojrzy, cóż za nudny świat urządziła nam ta młodzież! Same przepisy i zakazy! Nie tak, jak za moich lat.

- A właśnie, madame, jak się miewa pani syn? - Poirot w ostatniej chwili powiedział

"syn" zamiast "malec", przypominając sobie, że minęło już dwadzieścia lat.

Twarz hrabiny rozpromieniła się macierzyńskim entuzjazmem.

- Ukochany aniołek! Jest już taki duży, taki barczysty, przystojny! Mieszka w Ameryce. Buduje tam... mosty, banki, hotele, domy towarowe, koleje, wszystko, czego Amerykanie sobie życzą!

Poirot był nieco zaskoczony.

- A więc jest inżynierem? Albo architektem?

- Czy to ważne? - zapytała hrabina. - Jest cudowny! Jest pochłonięty żelaznymi dźwigarami, maszynami i czymś, co się nazywa napięciem. Rzeczami, których zupełnie nie mogę zrozumieć. Ale się uwielbiamy, uwielbiamy się cały czas! I ze względu na niego uwielbiam też małą Alice. Ależ tak, są zaręczeni. Spotkali się w samolocie, na statku czy w jakimś pociągu i zakochali się, w dodatku w trakcie rozmowy na temat dobrobytu klasy robotniczej. A kiedy przyjechała do Londynu, przyszła do mnie, a ja ją przygarnęłam całym sercem.

- Hrabina splótła ramiona na obfitej piersi. - I powiedziałam: "Ty i Niki się kochacie, więc ja też cię kocham, ale jeżeli go kochasz, dlaczego zastawiłaś go w Ameryce?" A ona na to coś o swojej "pracy" i o książce, którą pisze, o swojej karierze, i szczerze mówiąc, nic z tego nie rozumiem, ale zawsze mówiłam: "Grunt to tolerancja".

A co pan myśli, cher ami - dorzuciła jednym tchem - o tym, jak tu wszystko urządziłam?

- Urządzone to jest znakomicie - stwierdził Poirot, rozglądając się z uznaniem. - Jest sztywnie!

Lokal był pełen gości; panowała w nim ta nieomylna atmosfera sukcesu, której nie sposób podrobić. Wśród bawiących się były ospałe pary w strojach wieczorowych, cyganeria w sztruksowych spodniach, panowie z brzuszkiem w garniturach. Orkiestra, przebrana za diabłów, grała hot jazz. Nie ulegało wątpliwości, że "Piekło" chwyciło.

- Przychodzi tu różne towarzystwo - powiedziała hrabina. - Ale tak być powinno, prawda? Wrota piekła stoją otworem dla wszystkich?

- No może z wyjątkiem ubogich - odpowiedział Poirot.

Hrabina roześmiała się.

'- Czyż nie mówi się, że bogatym trudno jest się dostać do królestwa niebieskiego? Naturalnie więc, że powinni mieć pierwszeństwo w piekle.

Profesor i Alice wracali do stołu. Hrabina wstała.

- Muszę porozmawiać z Aristide'em.

Zamieniła kilka słów ze starszym kelnerem - szczupłym Mefistofelesem - po czym zaczęła krążyć między stolikami, rozmawiając z gośćmi.

Profesor, ocierając pot z czoła i pociągając wino z kieliszka, zauważył: - Prawda, że to indywidualność? Ludzie to czują. Przeprosił i wstał, by porozmawiać z kimś przy innym stoliku. Poirot, pozostawiony sam na sam z poważną Alice, czuł lekkie skrępowanie spoglądając w jej zimne niebieskie oczy. Przekonał się, że jest wcale przystojna, lecz wydała mu się wyraźnie niepokojąca.

- Nic znam jeszcze pani nazwiska - mruknął.

- Cunningham. Doktor Alice Cunningham. Rozumiem, że zna pan Verę od lat?

- Minęło już ze dwadzieścia lat.

- Uważam, że jest to bardzo ciekawy okaz - oświadczyła doktor Alice Cunningham. - Naturalnie, interesuje mnie jako matka mężczyzny, z którym mam się pobrać, ale także i od strony zawodowej.

- Tak?

- Tak. Piszę książkę o psychologii przestępców. Moim zdaniem nocne życie w tym lokalu jest bardzo kształcące. Mamy tu kilku przestępców, którzy przychodzą regularnie. Z niektórymi rozmawiałam o ich dzieciństwie. Oczywiście, wie pan

wszystko o przestępczych skłonnościach Very... o tym, że kradnie?

- Cóż, tak.... wiem o tym - przyznał Poirot, nieco zaskoczony.

- Ja na własny użytek nazywam to kompleksem sroki. Wie pan, że ona kradnie zawsze rzeczy błyszczące. Nigdy pieniędzy. Zawsze klejnoty. Dowiedziałam się, że w dzieciństwie była rozpieszczana i psuta, ale też trzymana pod kloszem. Życie było dla niej nieprawdopodobnie nudne... nudne i bezpieczne. Jej charakter domagał się dramatu... pragnął kary. To właśnie leży u podłoża jej folgowania złodziejskim skłonnościom. Pragnie poczucia ważności, rozgłosu z powodu kary!

- Ależ jako przedstawicielka ancien regime'u w Rosji z pewnością nie miała nudnego i bezpiecznego życia podczas rewolucji?

W jasnoniebieskich oczach panny Cunningham pojawił się błysk lekkiego rozbawienia.

- A, przedstawicielka ancien regime'u? - powiedziała. - Tak panu mówiła?

- Ona jest bez wątpienia arystokratką - stwierdził Poirot lojalnie, usiłując odepchnąć od siebie pewne niemile wspomnienia krańcowo różnych opowieści z życia hrabiny.

- Wierzy się w to, w co się chce wierzyć - zauważyła panna Cunningham, spoglądając na detektywa z zawodowym zainteresowaniem.

Poirot poczuł niepokój. Przewidywał, że za chwilę usłyszy o swoich kompleksach. Postanowił przenieść pole walki na teren nieprzyjaciela. Towarzystwo hrabiny Rossakoff bawiło go między innymi z powodu jej arystokratycznej proveniencji i nie miał zamiaru pozwolić, aby przyjemność tę zepsuła mu jakaś okularnica o oczach barwy gotowanego agrestu i legitymująca się doktoratem z psychologii!

- Wie pani, co mnie zdumiewa? - powiedział. Alice Cunningham nie odpowiedziała, zadowolając się znudzonym i pobłażliwym wyrazem twarzy.

- Zdumiewa mnie - ciągnął Poirot - że pani, która jest młoda i mogłaby wyglądać ładnie, gdyby zadała pani sobie nieco trudu, otóż zdumiewa mnie, że pani sobie tego trudu nie zadaje! Nosi pani ciężki kostium z wielkimi kieszeniami, jak gdyby wybierała się pani na partyjkę golfa. Ale nie jesteśmy na polu golfowym, jesteśmy w podziemnym pomieszczeniu, gdzie panuje temperatura siedemdziesiąt jeden stopni Fahrenheita. Ma pani rozgrzany i świecący nos, ale go pani nie pudruje, a szminkę nakłada pani na usta bez zainteresowania, nie starając się nawet podkreślić rysunku warg! Jest pani kobietą, ale nie zwraca pani uwagi na ten fakt. Dlaczego? - pytam. To wielka szkoda.

Z satysfakcją przekonał się, że Alice Cunningham potrafi wyglądać jak człowiek. W jej oczach zauważył nawet iskierkę gniewu. Szybko jednak odzyskała pogardliwy uśmiech.

- Drogi panie Poirot, obawiam się, że obca jest panu współczesna ideologia - powiedziała. - Teraz liczą się rzeczy podstawowe, a nie ciuchy.

Podniosła wzrok, spoglądając na zbliżającego się do nich ciemnowłosego i bardzo przystojnego młodego człowieka.

- To bardzo interesujący typ - mruknęła z zapalem. - Paul Varesco! Żyje z kobiet i ma dziwne, zwyrodniałe upodobania! Chce, żeby mi powiedział coś więcej o niani, która opiekowała się nim, kiedy miał trzy lata.

Po chwili tańczyła już z młodym człowiekiem. Tańczyła bosko. Kiedy przepływali obok stolika Poirota, detektyw usłyszał jej słowa:

- A po letnim pobycie w Bognor dała panu zabawkę w postaci dźwigu? Dźwig... tak, to daje wiele do myślenia.

Przez chwilę Poirot zabawiał się myślą, iż zainteresowanie panny Cunningham przestępcami może pewnego dnia doprowadzić do tego, że ktoś odnajdzie jej zmasakrowane zwłoki w leśnej głuszy. Nie lubił Alice Cunningham, lecz był na tyle uczciwy, by przyznać, że powodem tej niechęci jest fakt, iż Herkules Poirot nie zrobił

na niej najmniejszego wrażenia! Jego próżność została zraniona!
Nagle zauważył coś, co natychmiast wybiło mu z głowy Alice Cunningham. Przy stoliku po drugiej stronie parkietu siedział młody jasnowłosy mężczyzna. Był w stroju wieczorowym, a jego zachowanie zdradzało człowieka nawykłego do łatwego i przyjemnego życia. Naprzeciw niego siedziała odpowiednio odstawiona dziewczyna. Wpatrywał się w nią głupkowato. Na ich widok każdy mógłby powiedzieć: "bogate próżniaki!", niemniej Poirot wiedział doskonale, że ów młody człowiek nie był ani bogaty, ani próżniakiem. Był to detektyw inspektor Charles Stevens, a Poirot uznał za nader prawdopodobne, że detektyw inspektor Stevens jest na służbie...

II

Następnego dnia rano Poirot wybrał się z wizytą do Scotland Yardu, do swego starego przyjaciela, nadinspektora Jappa.

Reakcja Jappa na jego próbne pytania była nieoczekiwana.

- Stary lis z pana! - powiedział Japp z uczuciem. - Nie mam pojęcia, jak pan wpada na takie rzeczy!

- Ależ zapewniani pana, że ja nic nie wiem... zupełnie nic! To tylko zwykła ciekawość.

Japp zareplikował, że takie bajki Poirot może opowiadać grzecznym dzieciom!

- Chce pan się dowiedzieć wszystkiego o tym "Piekło"? No cóż, na oko to jeszcze jeden z tych lokali. Chwycił! Z pewnością zarabiają na tym niemało, choć naturalnie wydatki też muszą mieć niewąskie. Prowadzi to rzekomo jakaś Rosjanka, hrabina jakaś-tam...

- Znam hrabinę Rossakoff - wtrącił zimno Poirot. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Ale ona to tylko parawan - ciągnął Japp. - Nie ona wyłożyła na to pieniądze.

Możliwe, że to starszy kelner, Aristide Papopoulos - on ma w tym jakiś udział - ale nie wierzymy, żeby to było naprawdę jego. Na dobrą sprawę nie wiemy, czyj to właściwie lokal!

- A inspektor Stevens chodzi tam, żeby się tego dowiedzieć?

- A, widział pan Stevensa? Kawał szczęściarza, że podłapał taką robotę na koszt podatników! Na razie nic jeszcze nie wykrył!

- A co, pańskim zdaniem, można tam wykryć?

- Narkotyki! Handel na wielką skalę. I to nie za pieniądze, lecz za drogie kamienie.

- Ach tak?

- To jest tak: lady Iks czy jakaś tam hrabina ma trudności ze zdobyciem gotówki - a zresztą woli nie podejmować z banku większych sum. Ma za to kamienie... często rodzinne klejnoty! Zabiera się je do "oczyszczenia" czy "przerobienia", a tam kamienie wyjmują się z oprawy i zastępują szkiełkami. Kamienie te sprzedaje się potem tu albo na kontynencie. Czysta robota - nie było kradzieży, więc nie ma żadnego larum. A powiedzmy, że prędzej czy później okaże się, że jakiś diament czy naszyjnik jest fałszywy? Lady Iks będzie uosobieniem niewinności i rozpaczy... nie potrafi sobie wyobrazić, jak i gdzie mogło dojść do zamiany kamieni, przecież naszyjnik przez cały czas był w jej posiadaniu! Wysyła biedną, zaharowaną policję szukać wiatru w polu, każąc im łapać zwolnione pokojówki, podejrzanych lokai czy ludzi wynajętych do mycia szyb. Ale my nie jesteśmy aż tak tępi, jak to sobie wyobrażają te arystokratyczne ptaszki! Mieliśmy kilka takich spraw jedna po drugiej - i znaleźliśmy wspólny mianownik. Wszystkie z tych kobiet wykazywały objawy typowe dla narkomanów - nerwowość, pobudliwość, drganie mięśni, rozszerzone źrenice i tak dalej. Pytanie - skąd brały narkotyki i kto prowadził ten interes?

- A pańskim zdaniem odpowiedź brzmi: "Piekło"?

- Wydaje nam się, że to kwatery główna tego interesu. Odkryliśmy, gdzie odbywa się zamiana kamieni... w firmie zwanej Golconda Ltd., na oko czystej jak łąka, a zajmującej się produkcją wysokiej klasy imitacji kamieni szlachetnych. Jest taki jeden paskudny facet, nazywa się Paul Varesco... o, widzę, że zna go pan?
- Spotkałem go... w "Piekło".
- Właśnie tam chętnie bym go widział.... w prawdziwym piekło! To typ spod ciemnej gwiazdy, ale kobiety, nawet te przyzwoite, jedzą mu z ręki! Ma jakieś powiązania z Golconda Ltd. i jestem pewny, że to on stoi za tym całym "Piekłem". Dla jego celów to idealny lokal - bywają tam wszyscy, kobiety z towarzystwa, zawodowi przestępcy... to idealne miejsce spotkań.
- I myśli pan, że zamiana - kamieni na narkotyki - odbywa się właśnie tam?
- Tak. Znamy już tę sprawę od strony Golcondy, a teraz chcemy poznać drugą stronę, stronę narkotyków. Chcemy wiedzieć, kto je rozprowadza i skąd je bierze.
- Jak na razie nie ma pan jeszcze pojęcia?
- Myślę, że to ta Rosjanka... ale nie mamy dowodów. Kilka tygodni temu zdawało nam się, że wreszcie do czegoś doszliśmy. Varesco poszedł do Golcondy, wziął stamtąd kilka kamieni i pojechał prosto do "Piekła". Stevens obserwował go, ale nie zauważył, żeby przekazywał komuś narkotyki. Kiedy Varesco wyszedł z lokalu, zatrzymaliśmy go... ale nie miał przy sobie kamieni! Zrobiliśmy nalot na klub, przeszukaliśmy wszystkich! Rezultat - ani kamieni, ani narkotyków!
- Jednym słowem, fiasko?
- Japp skrzywił się.
- Pan mi to mówi! Mogły być z tego większe kłopoty, ale na szczęście złapaliśmy wtedy Peverela... wie pan, mordercę z Battersca. Przypadek, bo sądziliśmy, że uciekł do Szkocji. Jeden z naszych co bystrzejszych sierżantów rozpoznał go ze zdjęcia. No więc wszystko dobre, co się dobrze kończy - dla nas sława, dla klubu reklama nie z tej ziemi, od tej pory jest zapchany jeszcze bardziej!
- Ale dochodzenie w sprawie narkotyków nie posunęło się naprzód - rzekł Poirot. - Może w lokalu jest jakaś kryjówka?
- Musi być. Ale nie potrafimy jej znaleźć. Przetrzęsaliśmy tam wszystko jak przez sito. A tak między nami, dokonaliśmy też rewizji nieoficjalnej... - inspektor puścił oko. - To tylko do pańskiej wiadomości. Włamanie. Ale bez powodzenia, nasz "nieoficjalny" człowiek omal nie został rozszarpany przez tego sakramenckiego psa! To bydlę śpi w klubie!
- A, Cerber?
- Tak. Głupie imię... jak nazwa soli.
- Cerber - mruknął Poirot w zamyśleniu.
- A może by tak pan spróbował swojego szczęścia w tej sprawie - zaproponował Japp.
- To ciekawy problem, wart zainteresowania. Nie znoszę narkotyków, niszczą ludziom ciało i duszę. To rzeczywiście piekło!
- Tak, to by zakończyło całą sprawę - mruknął Poirot kontemplacyjnie. - Czy wie pan, co było ostatnią pracą Herkulesa?
- Nie mam pojęcia.
- Pojmanie Cerbera. Stosownie do sytuacji, prawda?
- Nie wiem, stary, o czym pan mówi, ale niech pan pamięta, "Pies zjadł człowieka" to tytuł w sam raz na pierwszą stronę. - I Japp odchylił się w fotelu, wybuchając śmiechem.

III

Chciałbym z panią naprawdę poważnie porozmawiać - rzekł Poirot.

Pora była wczesna i klub świecił pustkami. Hrabina i Poirot siedzieli przy małym stoliku koło drzwi.

- Ale ja wcale nie chce być poważna - zaprotestowała hrabina. - La petite Alice, ona to zawsze jest poważna, co entre nous* strasznie mnie nudzi. Mój biedny Niki, jakie przyjemności go czekają? Żadne.

- Mam do pani wielką słabość - ciągnął Poirot nieporuszony. - I nie chciałbym widzieć pani w tarapatkach.

- Ależ to, co pan mówi, to absurd! Świat leży u moich stóp, pieniądze sypią się do moich rąk!

- Czy ten lokal należy do pani? Hrabina unikała jego wzroku.

- Naturalnie - odparła.

- Ale ma pani współnika?

- Kto panu powiedział? - zapytała ostro.

- Czy pani współnikiem jest Paul Varesco?

- Co? Paul Varesco? Cóż za pomysł?

- Ma nieciekawą, kryminalną przeszłość. Czy zdaje pani sobie sprawę, że do pani lokalu przychodzą przestępcy?

Hrabina wybuchnęła śmiechem.

- Oto i cały bon bourgeois!* Naturalnie, że zdaje sobie z tego sprawę! Czy nie widzi pan, że to właśnie polowa atrakcji tego lokalu? Wszyscy ci młodzi ludzie z Mayfair... oni już mają dość oglądania podobnych sobie na West Endzie. Przychodzą tu i oglądają przestępców - złodziei, szantażystów, oszustów, może nawet morderców... tych, którzy za tydzień mogą się znaleźć w niedzielnych gazetach! To jest podniecające, to im pozwala myśleć, że oglądają prawdziwe życie! Tak samo jak ludziom interesu, którzy przez okrągły tydzień sprzedają damskie majtki, pończochy czy gorsety! Cóż za odmiana od przyzwoitego życia i przyzwoitych przyjaciół! A do tego jeszcze jeden dreszczyk emocji - oto przy jednym ze stolików, gładząc wąża, siedzi inspektor policji ze Scotland Yardu... inspektor we fraku!

- Więc pani o tym wiedziała? - rzekł cicho Poirot. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

- Mon cher ami, nie jestem tak głupia, jak to się panu wydaje.

- Czy handlujecie także narkotykami?

- Ah, ça non! - zaprzeczyła hrabina ostro. - To by było niegodziwe!

Poirot spoglądał na nią przez dłuższą chwilę, po czym westchnął.

- Wierzę pani - powiedział. - Ale w takim razie tym bardziej musi mi pani powiedzieć, kto jest właścicielem tego lokalu.

- Ja - warknęła.

- Tak, na papierze. Ale ktoś za panią stoi.

- Czy pan wie, mon ami, że na mój gust jest pan zbyt ciekawski? Czy on nie jest ciekawski, Dou dou?

Przy ostatnich słowach jej głos przeszedł w gruchanie. Wzięła ze swojego talerza kość kaczki i rzuciła ją wielkiemu czarnemu psisku, które złapało ją z potężnym kłapięciem szczęk.

- Jak pani nazwała to zwierzę? - zapytał Poirot, odrywając się od tematu.

- C'est mon petit Dou dou!*

- Ależ to śmieszne, takie imię!

- Przecież on jest cudowny! To pies policyjny! Potrafi wszystko... dosłownie wszystko! Niech pan patrzy.

Wstała, rozejrzała się i wzięła talerz z soczystym stekiem, który przed chwilą postawiono na sąsiednim stoliku. Podeszła do marmurowej niszy i postawiła talerz przed psem, jednocześnie mówiąc mu kilka rosyjskich słów.

Cerber patrzył prosto przed siebie, jak gdyby stek w ogóle nie istniał.

- Widzi pan? I nie jest to kwestia minut! Nie, w razie potrzeby będzie tak siedział godzinami!

Powiedziała cicho kilka słów, na co Cerber z szybkością błyskawicy zgiął szyję i stek zniknął jak zaczarowany.

Vera Rossakoff objęła psa za szyję i uściślała go namiętnie, stając do tego na palcach.

- Widzi pan, jaki potrafi być łagodny! - zawołała. - Dla mnie, dla Alice, dla przyjaciół... oni mogą z nim robić, co tylko chcą! Ale starczy mu tylko szepnąć słówko i jazda! Zapewniam pana, że na przykład takiego inspektora policji rozerwałby na strzępy. Tak, na strzępy!

Wybuchnęła śmiechem.

- Gdybym tylko powiedziała jedno słówko...

Poirot wtrącił się czym prędzej. Nie dowierzał poczuciu humoru hrabiny. Inspektor Stevens mógł się znaleźć w prawdziwym niebezpieczeństwie.

- Profesor Liskeard chce z panią pomówić.

Profesor patrzył na nią z wyrzutem.

- Pani zabrała mój stek - poskarżył się. - Dlaczego mi pani zabrała stek? To był dobry stek!

IV

- W czwartek wieczorem, mój stary - powiedział Japp. - Wtedy bomba idzie w górę. To oczywiście jest działka Andrews'a - z Wydziału Narkotyków - ale będzie zachwycony, jeżeli wtrąci pan swoje trzy grosze. Nie, dzięki, nie mam ochoty na żaden z pańskich syropów. Muszę dbać o żołądek. Czy to nie whisky, to co widzę? To coś bardziej dla mnie!

Odstawiając szklanę, ciągnął:

- Zdaje się, że rozwiązaliśmy ten problem. Z klubu jest zapasowe wyjście... i znaleźliśmy je!

- Gdzie?

- Za rusztem. Częściowo jest ruchomy.

- Ale przecież zauważylibyście, że...

- Nie mój stary. Kiedy zaczął się nalot, zgasły światła. Ktoś odciął główny dopływ prądu i włączenie go zabrało nam dwie minuty. Nikt nie wydostał się frontowym wejściem, bo było obserwowane, ale teraz już jasne, że ktoś mógł się wymknąć tajnym wyjściem razem z towarem. Zbadaliśmy dom za klubem i w ten sposób wpadliśmy na tę sztuczkę.

- I co pan proponuje z tym zrobić?

Japp puścił oko.

- Niech to będzie zgodnie z planem... policja wchodzi, światła gasną... a po drugiej stronie tych ukrytych drzwi czeka już. ktoś na wychodzących. Tym razem ich mamy!

- Dlaczego akurat w czwartek? Japp znowu puścił oko.

- Wiemy już to i owo o Golcondzie. W czwartek wyjdzie stamtąd towar. Szmaragdy lady Carrington.

- Pozwoli pan - rzekł Poirot - że i ja poczynię pewne przygotowania?

V

W czwartek wieczorem, siedząc jak zwykle przy małym stoliku koło drzwi wejściowych, Poirot przyglądał się otoczeniu. Jak zwykle, w "Piekło" hulano w najlepsze.

Hrabina była tego wieczora jeszcze bardziej wystrojona niż zwykle, jeśli to w ogóle możliwe. Jeszcze bardziej prezentowała rosyjski temperament, klaszcząc w ręce i wybuchając śmiechem, kiedy przyszedł Paul Varesco. Czasami występował w nienagannym stroju wieczorowym, czasami zaś, tak jak teraz, ubierał się na apasza - w zapiętą po szyję marynarkę i apaszkę. Wyglądał groźnie, a zarazem atrakcyjnie. Oderwał się od korpulentnej kobiety w średnim wieku, obwieszanej diamentami, i pochylił nad Alice Cunningham, która siedziała przy stoliku, notując coś pilnie. Poprosił ją do tańca. Korpulentna kobieta łypnęła na Alice i obrzuciła Varesco zakochanym spojrzeniem. W oczach panny Cunningham nie było miłości. Błyszczały czysto zawodowym zainteresowaniem. Kiedy zbliżyli się w tańcu do niego, Poirot podchwycił fragment ich rozmowy. Alice wyszła już poza etap niańki i teraz zbierała informacje o wychowawczyni Paula ze szkoły podstawowej.

Kiedy muzyka umilkła, usiadła koła Poirota, szczęśliwa i podniecona.

- To nadzwyczaj ciekawe - odezwała się. - Varesco będzie jednym z najważniejszych przypadków opisanych w mojej książce. Symbolika jest tu niewątpliwa. Na przykład kłopot z kaftanikami - czytaj: włosiennicami, i wszystko, co się z tym kojarzy - i cała sprawa staje się jasna. Można powiedzieć, że to zdecydowanie przestępczy typ, ale można tu zastosować skuteczną kurację.

- Jednym z najbardziej ulubionych złudzeń kobiet zawsze było przekonanie, że potrafią nawrócić rozpustnika! - oświadczył detektyw.

Alice Cunningham obrzuciła go zimnym spojrzeniem.

- Nie ma w tym nic osobistego, panie Poirot.

- Jak zawsze - odrzekł detektyw. - To tylko czysty, bezinteresowny altruizm... tyle że zwykle obiektem tegoż altruizmu jest atrakcyjny przedstawiciel płci przeciwnej. Na przykład, czy interesuje panią, gdzie ja chodziłem do szkoły, albo jaki był stosunek mojej wychowawczyni do mnie?

- Pan nie jest typem przestępczym - odparowała panna Cunningham.

- A pani potrafi rozpoznać przestępcę na pierwszy rzut oka?

- Naturalnie.

Podszedł do nich profesor Liskeard i usiadł obok Poirota.

- Rozmawiacie o kryminalistach? Powinien pan przejrzeć kodeks karny Hammurabiego, panie Poirot. Tysiąc osiemset lat przed naszą erą. Nader interesujące. Człowiek, którego złapie się na kradzieży podczas pożaru, ma być wrzucony w ogień. Z upodobaniem patrzył przed siebie na elektryczny ruszt.

- Są jeszcze starsze prawa, sumeryjskie. Jeżeli kobieta ma męża i powie mu: "Nie jesteś moim mężem", ma być wrzucona do rzeki. Tańsze i prostsze niż sprawa rozwodowa. Jeśli jednak mąż odezwie się w ten sposób do swej żony, musi jej tylko wypłacić pewną miarę srebra. Jego nikt nie wrzuci do rzeki.

- Wciąż ta sama historia - powiedziała Alice Cunningham. - Inne prawo dla mężczyzn, inne dla kobiet.

- Kobiety, rzecz jasna, bardziej cenią wartość pieniądza - stwierdził profesor w zadumie. - Wie pan - dorzucił - lubię ten lokal. Przychodzę tu prawie co wieczór. Nie muszę za nic płacić. Hrabina to załatwia i bardzo to miłe z jej strony - w zamian, jak powiada, za porady w sprawie dekoracji wnętrza. Tyle że ten wystrój naprawdę nie ma ze mną nic wspólnego - nie wiedziałem, w jakim celu zadaje mi te pytania - i oczywiście ona i jej artysta wszystko pomieszali. Mam nadzieję, że nikt nigdy się nie dowie, że miałem choćby najmniejszy związek z tym paskudztwem. Chybabym tego nie przeżył. Ale to cudowna kobieta, zawsze twierdzą, że jest w babilońskim typie. Babilonki miały głowy do interesów, wie pan...

Słowa profesora utonęły w nagłej wrzawie. Doleciało słowo: "Policja", kobiety zerwały się z miejsc, nastąpił nieopisany harmider. Światła zgasły, podobnie jak i

ruszt. Za podkład dla tej wrzawy służyły słowa profesora, recytującego ze spokojem dalsze fragmenty praw Hammurabiego.

Kiedy światło znów się zapaliło, Herkules Poirot znajdował się już w połowie szerokich schodów. Policjanci przy drzwiach zasalutowali. Wyszedł na ulicę i skręcił za róg. Tam, przyklejony do ściany, stał mały, nieprzyjemnie pachnący człowiek z czerwonym nosem. Odezwał się wystraszonym, ochrypłym szeptem:

- Jestem, szefie. Czas na mnie?
- Tak. Do roboty.
- Kręci się tu kupa glin!
- Wszystko w porządku. Wiedzą o panu.
- Mam nadzieję, że nie będą się wtrącać?
- Nie będą. Jest pan pewien, że poradzi pan sobie z tym zadaniem? To zwierzę jest wielkie i dzikie.
- Przy mnie nie będzie dziki - stwierdził mały człowieczek z pewnością siebie. - Nie przy tym, co tu mam! Każdy pies pójdzie przez to za mną do piekła.
- W takim razie - oświadczył Herkules Poirot - musi też wyjść za panem z piekła.

VI

Nad ranem zadzwonił telefon. Poirot podniósł słuchawkę.

- Prosił pan, żebym do pana zadzwonił - odezwał się głos Jappa.
- Tak, rzeczywiście. Eh bien?
- Żadnych narkotyków... mamy tylko szmaragdy.
- Gdzie były?
- W kieszeni profesora Liskearda.
- Profesora Liskearda?
- Pana to też zaskoczyło? Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć! Był zdziwiony jak dziecko, gapił się na nie, powiedział, że nie ma bladego pojęcia, skąd się wzięły w jego kieszeni i niech mnie licho, ja mu wierzę! Varesco bez trudu mógł mu je podrzucić w ciemnościach. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś taki jak stary Liskeard bawił się w takie rzeczy. Należy do wszystkich tych nadętych towarzystw, ba, jest związany nawet z Muzeum Brytyjskim! Jedyne, na co wydaje pieniądze, to książki, i to zmurszałe starocie.
- Nie, on nie pasuje. Zaczynam myśleć, że się w ogóle pomyliliśmy co do tego klubu... tam nigdy nie było narkotyków.
- Ależ tak, przyjacielu, były tam tej nocy. Niech mi pan powie, czy nikt nie wyszedł tajnym wyjściem?
- Tak, księżę Henry Scandenberga i jego koniuszy... załedwie wczoraj przyjechali do Anglii. Vitamian Evans, minister. To cholerna robota, być ministrem laburzystowskim, tak trzeba uważać! Nikomu nie przeszkadza, że torysowski polityk wydaje pieniądze na hulaszczę życie, bo podatnicy myślą, że to są jego własne pieniądze... ale jeżeli chodzi o laburzystę, to zaraz każdy uważa, że wydaje on jego pieniądze! Co zresztą jest prawdą, mówiąc między nami. Ostatnia wyszła lady Beatrice Viner.... pojutrze wychodzi za tego zarozumiałego księcia Leominster. Nie wierzę, żeby ktoś z tego towarzystwa był w to zamieszany.
- I ma pan rację. A jednak, narkotyki były w klubie i ktoś je stamtąd zabrał.
- Kto?
- Ja, mon ami! - odrzekł cicho Poirot. Odłożył słuchawkę, przerywając potok słów Jappa. Jednocześnie rozległ się dzwonek u drzwi. Poirot wstał i otworzył. Do pokoju wpłynęła hrabina Rossakoff.
- Gdyby nie to, że jesteśmy niestety zbyt starzy, jakże by to było kompromitujące! -

wykrzyknęła. - Widzi pan, przychodzę zgodnie z tym, co pan napisał w liście. Zdaje się, że idzie za mną policjant, ale on może poczekać na ulicy. A więc, przyjacielu, w czym rzecz?

Poirot z galanterią uwolnił ją od futra z lisów.

- Dlaczego podrzuciła pani szmaragdy do kieszeni profesora Liskearda? - zapytał. - Ce n'est pas gentille, ce que vous avez fait là!*

Hrabina otworzyła szeroko oczy.

- Naturalnie, chciałam je włożyć do pańskiej kieszeni!

- Do mojej kieszeni?

- Oczywiście. Szybko podeszłam do stolika, przy którym pan zwykle siedzi, ale światła zgasły i sądzę, że przez nieuwagę włożyłam je do kieszeni profesora.

- A dlaczego chciała mi pani włożyć do kieszeni kradzione szmaragdy?

- Wydawało mi się - rozumie pan, musiałam coś szybko wymyślić - że to będzie najlepsze rozwiązanie!

- Doprawdy, Vero, jest pani impayable!*

- Ależ drogi przyjacielu, proszę tylko pomyśleć! Zjawia się policja, światła gasną - to nasz prywatny system dla dobra gości, którzy nie mogą sobie pozwolić na skandal - i czyjaś ręka zabiera moją torebkę ze stolika. Wyrwam ją z powrotem, ale czuję przez materiał, że w środku jest coś twardego. Wsuwam rękę do torebki, znajduję coś, w czym rozpoznaję dotykem klejnoty, i od razu wiem, kto je tam włożył!

- Doprawdy?

- Oczywiście, że wiem! To ten salaud*! Ta gnida, ten potwór, ta dwulicowa, podstępna żmija Paul Varesco!

- Czyli ten, który jest pani współnikiem?

- Tak, tak, to on jest właścicielem lokalu, to on wyłożył pieniądze. Do dziś dnia nie zdradziłam go... ja potrafię dochować tajemnicy! Ale teraz, kiedy mnie zdradził, kiedy spróbował wpłacić mnie w sprawę z policją, o, teraz wypłunę jego nazwisko, właśnie wypłunę!

- Proszę się uspokoić - rzekł Poirot. - Przejdźmy do drugiego pokoju.

Otworzył drzwi. Był to mały pokoik, który przez chwilę zdawał się być cały wypełniony psem. Cerber wydawał się nadmiernie wyrośnięty nawet w obszernym otoczeniu "Piekła", ale w małej jadalni Poirota wyglądał tak, jakby nic więcej poza nim tam nie było. A jednak czekał tam też mały i nieprzyjemnie pachnący człowieczek.

- Przyszliśmy tu, szefie, zgodnie z planem - odezwał się mały człowieczek zachrypniętym głosem.

- Dou dou! - zawołała hrabina. - Dou dou, mój aniołek!

Cerber uderzył ogonem o podłogę, ale się nie ruszył.

- Pozwoli pani przedstawić sobie pana Williama Higgsa - zawołał Poirot, przekrzykując grzmot uderzeń psiego ogona. - To mistrz w swoim fachu. Podczas brouhaha* tej nocy pan Higgs nakłonił Cerbera, aby wyszedł za nim z "Piekła".

- Pan go do tego nakłonił? - Hrabina z niedowierzaniem spoglądała na małą, szczupłą postać. - Ale jak? Jak?

Pan Higgs wstydliwie spuścił wzrok.

- To trudno powiedzieć przy damie. Ale jest takie coś, czemu żaden pies się nie oprze. Każdy pies pójdzie za mną, jeśli będę chciał. Oczywiście, pani rozumie, z sukami to już tak się nie da... nie, to już inna sprawa.

Hrabina Rossakolt odwróciła się do Poirota.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Wytresowany pies potrafi trzymać w pysku dowolny przedmiot, dopóki nie każe mu się go wypuścić - odrzekł powoli detektyw. - Będzie go trzymał całymi godzinami,

jeśli zajdzie potrzeba. Czy może pani teraz kazać wypuścić psa to, co trzyma?
Vera Rossakoff spojrzała na niego, odwróciła się i powiedziała dwa krótkie słowa.
Cerber otworzył wielką paszczę. Po chwili - co było naprawdę niepokojące - zdawało się, że język wypada mu z pyska...

Poirot zrobił krok w przód i podniósł małą paczuszkę, owiniętą w różową gąbczastą gumę. Rozwinął ją. W środku leżała paczuszka białego proszku.

- Co to jest? - zapytała ostro hrabina.

- Kokaina - odparł cicho Poirot. - Wydaje się, że jest jej tak niewiele, ale dla tych, którzy gotowi są zapłacić, jest warta tysiące funtów... Wystarczy tego, żeby zrujnować i zniszczyć życie setek ludzi...

Hrabina zaczerpnęła tchu.

- I pan myśli, że ja.... - krzyknęła. - Ależ nie, przysięgam, że to nie tak! W przeszłości bawiły mnie klejnoty, bibeloty, drobne ciekawostki... rozumie pan, to pomaga przejść przez życie. Zresztą, co w tym złego? Dlaczego jeden człowiek ma posiadać więcej niż drugi?

- Tak samo myślę o psach - wtrącił pan Higgs.

- Pani nie ma poczucia dobra ani zła - stwierdził detektyw ze smutkiem.

- Ale narkotyki, o nie! - ciągnęła hrabina. - One powodują nieszczęście, ból, degenerację! Nie miałam pojęcia, bladego pojęcia, że moje urocze, niewinne, rozkoszne "Piekło" wykorzystuje się do takich celów!

- Zgadza się z panią co do narkotyków - powiedział Higgs. - Podawanie narkotyków psom na wyścigach to brudna robota, o tak! Nigdy nie miałem z tym nic wspólnego i nigdy nie chcę!

- Niech pan powie, że mi wierzy, przyjacielu - błagała hrabina.

- Ależ oczywiście, że pani wierzę! Wszak nie żałowałem czasu i trudu, aby wykryć prawdziwego organizatora tego procederu. Czyż nie wykonywałem dwunastej pracy Herkulesa i nie wyprowadziłem Cerbera z piekła, żeby to udowodnić? Powiem pani, że nie lubię, kiedy ktoś próbuje zrzucić winę na moich przyjaciół! Tak, zrzucić winę, bo to właśnie pani miała być winna, gdyby sprawy się skomplikowały! To w pani torebce znaleziono by szmaragdy, a gdyby nawet ktoś okazał się tak sprytny jak ja, żeby doszukać się skrytki w pysku dzikiego psa... eh bien, w końcu to pani pies, prawda? Nawet jeżeli tolerował la petite Alice tak dalece, że aż słuchał jej poleceń! Tak, czas, żeby otworzyła pani oczy! Od początku nie podobała mi się ta młoda dama z jej naukowym żargonem i kostiumem z wielkimi kieszeniami. Tak, kieszeniami. To nienaturalne, żeby kobieta tak dalece nie dbała o swój wygląd! A co mi powiedziała? Że liczą się sprawy podstawowe. A co tu jest podstawą? Kieszenie. Kieszenie, w których mogła przenosić narkotyki i klejnoty... łatwo było jej dokonać wymiany podczas tańca ze swoim współnikiem, którego rzekomo uważała za kolejny ciekawy przypadek psychologiczny. I cóż za znakomita maskarada! Nikt nie będzie podejrzewał zapalnego naukowca z doktoratem z psychologii, noszącego okulary. Może rozprowadzać narkotyki, przyzwyczajając do nich swoich bogatych pacjentów i włożyć pieniądze w klub nocny, a także załatwić, że poprowadzi go ktoś z, powiedzmy, skazą na przeszłości. Ale ona lekceważy Herkulesa Poirot, uważa, że może go wyprowadzić w pole gadaniem o niańkach i kaftanikach! Eli bien, mam na nią oko. Światło gaśnie. Szybko wstaje od stołu i podchodzi do Cerbera. W ciemności słyszę, jak ona nadchodzi. Otwiera jego pysk i wciska mu paczkę, a ja - delikatnie, tak żeby nic nie poczuła - małymi nożyczkami wycinam kawałek materiału z jej rękawa. Dramatycznym ruchem wyciągnął skrawek materiału.

- Widzi pani - identyczny tweed w kratę. Dam go Jappowi, żeby dopasował go do reszty, dokonał aresztowania i wszyscy będą mówić, jak to znowu Scotland Yard okazał się sprytniejszy.

Hrabina Rossakoff wpatrywała się w niego z osłupieniem. Nagle zaczęła zawodzić niczym syrena okrętowa.

- Ależ mój Niki... Mój Niki. To będzie dla niego straszne... - Urwała. - A może nie, jak pan myśli?

- W Ameryce jest wiele innych dziewcząt - odparł Herkules Poirot.

- A gdyby nie pan, jego matka trafiłaby do więzienia... do więzienia, z obciętymi włosami, siedząc w celi i śmierdząc środkami odkażającymi! Pan jest cudowny, cudowny!

Rzucając się do przodu, porwała detektywa w ramiona i uściskała go z prawdziwie słowiańskim temperamentem. Pan Higgs obserwował to z uznaniem. Cerber uderzał ogonem o podłogę.

W trakcie tej radosnej sceny zabrzmiał dzwonek.

- Japp! - zakrzyknął Poirot, uwalniając się z objęć hrabiny.

- Chyba będzie lepiej, jeżeli przejdę do drugiego pokoju - zaproponowała hrabina. Przemknęła się przez drzwi. Poirot ruszył do drzwi wejściowych.

- Szeffie - szepnął z niepokojem pan Higgs - niech pan się lepiej przejrzy w lustrze. Poirot poszedł za jego radą i wzdrygnął się. Szminka i makijaż rozmazały się na jego twarzy w fantastyczny wzór.

- Jeżeli to pan Japp ze Scotland Yardu, to pomyśli sobie, co najgorsze, jak nic - rzekł pan Higgs.

Kiedy dzwonek znów zabrzmiał, a Poirot gorączkowo usiłował zetrzeć szkarłatny tłuszcz z czubków wąsów, Higgs zapytał:

- A co ze mną, też mam zniknąć? I co z tym piekielnym psem?

- Jeśli mnie pamięć nie myli - powiedział Poirot -to Cerber, wrócił do piekła.

- Jak pan chce - oświadczył Higgs. - Właściwie to nawet go polubiłem... ale nie zwędziłbym go, nie na stałe. Za bardzo rzuca się w oczy, jeśli mnie pan rozumie. I pomyśleć, ile bym musiał wydać na wołowinę albo koninę! Pewnie żre jak mały lew.

- Od lwa z Nemei do pojmania Cerbera - mruknął Poirot pod nosem. - Prace skończone.

* Gra słów: patience znaczy po angielsku "cierpliwość", impatience - "niecierpliwość" (przyp. tłum.)

* franc. Ależ tak, to jest myśl.

* franc. sędzia śledczy.

* franc. dobry Bóg.

* franc. mój stary.

* franc. O proszę!

* X-ray - ang. promień Rentgena

* franc. zakończenie sprawy

* franc. niezdolny do walki

* franc. Ależ skąd

* franc. zajęciem

* franc. Ależ oczywiście

* franc. scenka.

* franc. tu: No tak.

* franc. otoczenie.

* franc. wcale

* franc. O do diabła!

* franc. Czy coś się stało?

* franc. drobne rozczarowanie

* franc. matko

* franc. mniszkę

- * franc. kobietę dobrze urodzoną.
- * franc. kobietę światową
- * franc. uduchowioną
- * franc. Istne piekło
- * franc. Dobrze pomyślane!
- * franc. między nami.
- * franc. mieszcuch.
- * franc. To mój mały Dudu!
- * franc. Nie było to zbyt ładne z pani strony.
- * franc. nieoceniona
- * franc. łajdak
- * franc. hałasu